

MARJA Z PRZEZDZIECKICH WALEWSKA

POLACY w PARYŻU FLORENCJI I DREZNIE

SYLWETKI I WSPOMNIENIA

SŁOWO WSTĘPNE
MICHAŁA SOKOLNICKIEGO

WARSZAWA 1930
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

2-

POLACY
W PARYŻU, FLORENCJI I DREZNIE

MARJA Z PRZEZDZIECKICH WALEWSKA

POLACY W PARYŻU FLORENCJI I DREZNIE

SYLWETKI I WSPOMNIENIA

SŁOWO WSTĘPNE
MICHAŁA SOKOLNICKIEGO

WARSZAWA — 1930
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



245857



Filia Nr. 2

1947.213

CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie

SŁOWO WSTĘPNE.

Ilekoć przed moimi oczyma — a zdarza się to z biegiem czasu coraz to częściej — gaśnie lampa znajomego życia, przesywa serce mimowolny, nieukojony żal. Chciałoby się jeszcze powrócić do rozpoczętej ważnej rozmowy. Chciałoby się spojrzeć jeszcze chociażby jeden tylko raz w niezagaste, młode oczy. Jeszcze chwila tej rozmowy, jeszcze wymiana spojrzenia, a spotka się ważną człowieczą prawdę, a zazna się niewiadomej myśli, nieprzebytego uczucia. Są wszakże światy czarowne i tajemnice, które człowiek tylko na progu śmierci mógłby drugiemu człowiekowi powierzyć.

Ale zczęła ta chwila, zagast wzrok, minęła sposobność jedyne go mówienia. Jest już zapóźno.

W skromnym saloniku przy ulicy Mazowieckiej, pośród mnóstwa rozrzuconych rupieci, gdzie tu i ówdzie błyska jakiś szczątek lat wspaniałych, pani hrabina Walewska wita po raz ostatni swych gości ze spokojną radością — a jej już inne oczy błędzą chwilami poza ich twarze w dziedzinę upartej zadumy. Wokoło, w małym saloniku, zbiera się jedna z najciekawszych w Warszawie gromadek ludzi.

b-112/04p

Każdy jakby przybyły z innego świata, każdy drugiemu, chociażby dopiero poznanemu, ma coś do powiedzenia, coś do zwierzenia, o czymś go przekonywa, na coś chce nawrócić, o coś razem walczyć. — I niema prawie dwóch ludzi — z pomiędzy wielu tu spotkanych dam, artystów, polityków i błędnych rycerzy, którzyby stąd wyszli, nie wyniósłszy coś w duszach swoich wspólnego.

Salon pani Walewskiej...

Na tle wysokiego hotelu rysuje się przedemną jej już bardzo uspokojona, rzekłbym uroczysta postać. Zda się, tak dawno czekała na tę chwilę, na ostatnią chwilę. Trochę zesztyniały ruchy, oczy z leciutką pod rzęsami mgłą, szeroko otwarte, bardzo niebieskie, patrzą jeszcze dalej. I przez samotność i nieskładną beztreść tak krótkiej rozmowy — nie można męczyć — niewolno mówić dłużej — trzeba pozwolić wypocząć — przesuwają się milczące dotknięcie bardzo wychudłej, bardzo białej dłoni, łagodne pożegnanie Przyjaźni.

Kiedy w ostatnim roku jej życia, miałem możliwość spotykać częściej Panią Walewską, zamyślałem się nad tem wiele razy, co było tym jej dominującym pierwiastkiem, który skupiał i wiązał ludzi, wydobywał z nich zwoje myśli, dawał im promieniejącą od tej sędziwej postaci, duchową podniecie, i coraz więcej lubiłem w Pani Walewskiej rozpoznawać te głęboko gdzieś w pamięci wyżłobione rysy. Tak — była to polska dama, jedna z ostatnich, nieodrodna z tych tak dobrze znanych — z pośród księżn z czasów

Króla Stasia i Łazienek, z pomiędzy dam — patryjotek strzegących ognisk narodowych w Księstwie Warszawskim, i z czasów dam-żołnierzy, dam emigrantek i tułaczek, wygnanek polek, żywiących niezlomnego ducha narodu po każdej klęsce.

I kiedyś, spotkawszy u Pani Walewskiej jedną z młodych bojowniczek nowego, wojennego pokolenia, zrozumiałem tę rzecz taką prostą: oto ta właśnie dama polska, pani Walewska, związała przerwana przed tylu laty nić, dożyła zmartwychwstania Polski, i weszła w ten nowy nasz narodowy gmach, jako ta dawna pani do swego własnego domu i wchodziła pomiędzy nas młodszych — między innych jeszcze, najmłodszych, jak gdyby na odszukanie takiej dobrze zapamiętanej samej siebie.

Zazdrościłem wówczas Pani Walewskiej tego niezaznanego już w tym stopniu przez młodych szczęścia, — tego zrozumienia, czem jest Polska — już nie po jej stracie, jak kiedyś samotni, rozpaczeni poeci — ale po jej odzyskaniu. Rozumiałem wtedy jej oczu niegasnących pogodę, — oczu dawnej polskiej damy jakby z wpół wyblakłego portretu, który ożył wpośród żywej i zdrowej ojczyzny.

Nie znam rzeczy dla Polski ważniejszej nad te i poprzez i ponad pokolenia związki. Wszędzie się płaczą między nami nici tradycji. Zawsze są porwane, tu i ówdzie sterczą tylko strzepem, tam zadeptuje je proch ulic, tu ledwowiedzialne pękają i drą się co chwila. Niema ciągłości w wspomnieniach naszego narodu. Z poprzerywanej tkaniny zszywamy sobie ubiór.

Niema tych niezłomnych węzłów tradycji, któreby pokolenia za pokoleniem, życie nowe za dawnym życiem, rok rozpoczęty za rokiem ukończonym, wiązały w ogniwa, w łańcuchy, synom ojczyzny pozwalały poznawać własną matkę, synom ziemi dawnej zrozumieć narodowy charakter.

Im więcej myśleć o tem, tem głębszą staje się tragedia tego pół człowieka o pół obłąconej postaci, tragedia bez śladu zeszytych istnień, przypadłych dla narodowego dorobku pokoleń. W polskim salonie, na polskim zebraniu, człowiek zatrzymuje się mimowoli siebie pytając: jak znajdę dziś moje wczoraj? jak nawiążę to zagubione dopiero co połączenie? jak ocalę tradycję?

Tradycja to ten dom dawny pełny ładu i wdzięku, tradycja to więź uczuć co dnia więdnących jak zeschnięte liście ostatniej jesieni, przepadające bez śladu. Tradycja to pamięć zamierzeń niewypełnionych, to ślad walk zeszytych i daremnych. Ale to jeszcze nie tylko to wszystko.

Tradycja bowiem to ziemia z jej ciągłością i nieprzemiennością wiekami. Tradycja to charakter z jego wyżłobionym przez ciąg pokoleń rysem, barwą, oddźwiękiem. Tradycja — to nie tylko obrona siebie samego, lecz również i wiara, która poza samych siebie sięga, i z szeregu po sobie następujących i w proch grzebanych ludzi tworzy jedną jedyną i nieprzemijającą całość.

Oto są widoki, na które patrzyłem z tego otwartego dworu, zamkniętego jak w klatce w ciemnej

warszawskiej kamienicy. Oto są myśli tej niedokończonej, nigdy już nieprowadzonej rozmowy. I może są to też najwłaściwsze słowa, jakie można było napisać u wstępu do tych wspomnień, któremi Pani Walewska chciała, jak sama pięknie mówi: „oświecić promieniem kochania wyblakłe dagerotypy“.

Michał Sokolnicki.

POLACY W PARYŻU I WE FRANCJI

W dawnej Polsce, stawiając czworobok budynków gospodarczych, zawsze budowano starannie piękny okazały gmach, który się zwał skarbcem. W tym skarbcu składano wszelkie rzeczy wartościowe i pamiątkowe, i broń dawną, i silva rerum, miscellanea, rozmaite akta — właściwie wszystko co od zagłady ochronić pragniono. Pożar mógł tak samo nadwerężyć skarbiec, ale wówczas by wszystkich sił natężono, aby jego zawartość ocalić.

Każdy z nas taki skarbiec posiada w swojej głowie, ale na nieszczęście bardzo często pustkami on świeci. Jesteśmy, przyznajmy to sobie w głębi naszego ducha, leniwi do myślenia, do rozpamiętywania. „Mówię bom smutny i sam pełen winy“, stosuję to i do siebie. Więc nic zazwyczaj nie lubimy pogłębiać i tem mniej rozważać, starając się rozpamiętywaniem zdobyć jakąś prawdę. Wspomnienia samopas błakają się i nie są zarejestrowane i schowane w skarbcu pamięci. Gdy poddajemy się zdjęciu fotograficznemu, unieruchomiamy się na chwil kilka — tak samo powinniśmy w kliszy naszej myśli

głębszem zastanowieniem utrwaląc wrażenia. Szczególnie szkoda lat dziecinnych, tych obrazów, których tyle się przesunęło, — i których ślad został zatracony, gdyż uwaga ich nie rysowała w pamięci — na sposób akwaforty. Jednak zawsze zostają w głowie narzucone nam mimo naszej woli, stworzone przy słońcu wypadków, rozmaite fotografie ba, i nawet dagerotypy, w których czasem rozpoznać się trudno — ząb czasu tak je zniszczył, że są niemożliwie trudne do zrozumienia.

Wartoby kształcić lepiej pamięć dziecka. Z tego co widział powinienby dzieciak zdawać krótkie sprawozdanie i należałoby kazać mu to przechowywać w skarbcu pamięci. Wszak w Japonii mówią: „patrz i zapamiętaj coś widział“. Może dopiero w jesieni życia weźmie się dojrzały osobnik do odcyfrowania, do przejrzenia obrazów życiowych w zarniu zebranych, ale zawsze będą one świadectwem, żywym dokumentem czasu co przeszedł, a dokumenty takie są potrzebne, uczą nas często historii ducha ludzkiego w różnych jego przejawach.

Dziś w rozrzuconych obrazkach przechowywanych skarbcu pamięci i dość niedbale złożonych starałam się rozejrzeć — oświecić promieniem kochania wyblakłe dagerotypy, a sąd dojrzały dopiero wtedy jest władcą i posiadaczem dokumentów, kiedy się w nich rozeznąć może i gdy potrafi w analizie szczegółów odnaleźć syntezę.

Wydaje mi się że m się wychowywała w pociągu. Dopiero później, powróciwszy do kraju, w kilka lat

po wypadkach 1863 zapoznaliśmy się z rodzinną mową. Nie mniej wszakże kochałyśmy wszystko, co rodzinne i ojczyste, a moja pierwsza nauczycielka, córka generała Rybińskiego, gorąca patrijotka, a wychowanka St. Denis, więc zaledwie umiejąca po polsku — wlewała w nas przykładem, gorącością swych uczuć kult dla Napoleona i Ojczyzny.

Pamiętam Paryż w mem głębokiem dzieciństwie, jako miasto bez granic, gdzie dzieci grzeczne mają za rozrywkę marjonetki i jazdę w wózkach zaprzężonych białymi kózkami, gdzie mrowią się ludzie po ulicach a w kościołach cudownie grają i dają jeszcze, chyba jako nagrodę za przybycie, smaczne bułeczki.

To był sąd dziecka — dojrzały umysł stara się w materjale tym rozeznąć i z obrazków luźnych całość utworzyć.

W latach przedpowstaniowych Paryż miał kolonję polską dość liczną. Byli tam epigoni emigracji 1831. Hotel Lambert świecił powagą i dostojnością. Byli i przedstawiciele ruchów wolnościowych wszystkich trzech zaborów, z 1848, — mniej było, niż w następnych latach, młodzieży kształcącej się w kierunkach naukowych i artystycznych — ale liczny zato świat bawiący się, przybywający z rozmaitych dzielnic Polski, by się cieszyć jak dawniej mówiono, owocami cywilizacji — a jak dziś powiedzielibyśmy — owocami kultury. Trzeba powiedzieć, iż dla pierwszych z nich po wybuchu wojny włoskiej, polityka była atrakcją, — spodziewano

się zmian, myślano, że niepodległość Włoch jest hasłem do niepodległości wszelkich uciśnionych narodów i że zdala od cenzury rosyjskiej można będzie śledzić bieg wypadków i doczekać się upragnionego dla nas rezultatu.

Napoleon III wydawał się wszechwładnym dyktatorem Europy — kontynuatorem dzieła swego genialnego stryja — z tą różnicą, że wszelkie jego błędy poprawić zamierzał. Już dał tego dowód: zamiast tej wojny bez końca z dziedzicznym wrogiem — Anglią — z nią się połączył; sojusz zawarty doprowadził do sojuszu krwi, do zwycięstwa na Krymie.

Pokój został zawarty po wojnie krymskiej, ale mówiono: to pokój pozorny. Francja jest rycerzem Bożym — ma misję wszelkie krzywdy naprawić. Ona wydzwignie Polskę, ten bratni naród. Ci tak zwani Francuzi północy — przy pomocy Francji kraj swój zdobędą... Był to wtedy punkt kulminacyjny przyjaźni francusko-polskiej. Rok 1870 kres jej położył, mniemano bowiem, iż nieszcześliwej kampanji 1870 r. siła zbrojna Rosji byłaby przysłała z pomocą potężną i skuteczną, gdyby nie uraza za rok 1863 — i wynikłe stąd noty dyplomatyczne.

Jeden tylko przyjaciel moich rodziców, wnuk stryjeczny Tayleranda, mawiał, że Francja kocha Polaków, ale nie za jej sprawą może Polska zmartwychwstać. — „Tylko wojna między Prusami a Rosją zwróci wam Waszą Ojczyznę“. — Te słowa, więcej niż przed półwiekiem słyszane, dobrze zostały

zarejestrowane w skarbcu pamięci, gdyż je z całą intensywnością przechowałam. Widzimy teraz konieczność dziejową potrzebnej grobli, dla oddzielenia dwóch dziedzin.

Sprawdzają się słowa wówczas wyrzeczone.

Wtedy mówiono tylko, że Napoleon rozbije święte przymierze, osłabiając każde z trzech mocarstw z osobna. Kampanja krymska i austriacka były tego dowodem — oczekiwano z kolei na Prusy. Po szczęśliwej wygranej Dyktator świata oswabada Polskę. Były to zapatrywania całej kolonji polskiej, a nawet i świat bawiący się mógł mniemać, że służy sprawie narodowej, mając okazję obcowania z dworem, — i nigdy nie zapominając o wytkniętym celu przypominania zawsze obrazu nieszcześliwej w kajdanach Ojczyzny i zjednywania sobie sympatji zawsze w tym samym celu — aby tem samem ożywić uczucia przyjaźni ku swemu krajowi.

Polonia przedstawiana przez rodziny Zawiszów, Potockich, Pusłowskich, Niezabytowskich, Przedzieckich, spotykała się w Hotelu Lambert na częstych recepcjach — w kościele Wniebowzięcia, danym Polakom na użytek, i w prywatnych domach — poza tem widywano się na balach Tuileryjskich o ograniczonej liczbie osób i na wielkich balach tamże.

Przy spotkaniach Francuzi północy uprawiali rodzinną mowę...

Wiem że moi rodzice bywali często jako u krewnej swojej, u księżnej Ministrowej Lubeckiej. Nigdy

nas tam nie zabierano — widocznie dzieci nie lubiła — ale, jak słyszałam, robiła kolekcję porcelany, gromadziła antyki, bardzo była gościnna i doskonale miała dawać obiady.

Trzynastoletnia sierota Scypionówna, powierzona opiece ks. Drucko-Lubeckiego, została jego żoną. Obdarzył ją w dzień ślubu lalką... później zostali obdarzeni błogosławieństwem Bożem, a młody wiek w którym księżna zawarła ślub przyczynił się do znacznej różnicy lat między rodzeństwem. Najstarsza siostra od najmłodszej o 30 lat była starszą. Księżna przyjechała po zgonie małżonka Ministra Lubeckiego do Paryża na parę tygodni — została tam aż do śmierci. Kilku emigrantów starszej daty u niej przesiadywało — wśród nich wyróżniał się uprzejmy i dobrze ułożony pan Radowski, którego znałam i widywałam w Paryżu w latach 84—85, obraz kultury staropolskiej. Grzeczny, wytworny, nosił niezatarty stempel swej narodowości, nie zniszczony indyferentyzmem ani kosmopolityzmem. Dwie córki księżnej mężatki — przedstawiały ciekawe typy — obie panie Pusłowskie. Jedna z nich była żoną Ksawerego Pusłowskiego, Prezesa Tow. Dobroczynności, który niezatarte w kraju naszym zostawił ślady swej działalności. Był on mecenasem nie tylko literatury i sztuki — ile nauki. Każdy nowy wynalazek, ułatwiający operację lub rozpoznanie choroby w dziedzinie lekarskiej, sprowadzał do Warszawy i oddawał w ręce ludzi do tego powołanych. Lubiał żarty, był wesół i tą powierzchowną we-

sołością pokrywał wielką łatwość do rozrzewnienia i głębokie współczucie dla każdej niedoli ludzkiej. Pani Julja, jego żona, wielce charakterystyczna postać, — temperament ognisty ujarzmiony siłą woli — cały na usługach duszy gorącej, wytrwalej w dobrem, nie znającej kompromisu ze światowością, lub z tą monetą próżności tak zwykłej, że jej kurs bywa w świecie uprawniony. Pani Pusłowska przyjmowała czasem gości w kapeluszu, ubrana do wyjścia, aby tylko nie narazić służącego na uczynienie tego godziwego kłamstwa, „że pani wyjechała, że jej niema w domu“. Nigdy jej usta kłamstwem się nie skalaly, a dzień żaden nie przeszedł bez dobrego uczynku. Stadło to było tak serdecznie złączone wzajemnem przywiązaniem, że je do pary ptaszków zwanych „inséparables“ (nierozłącznymi) porównywano. Ten związek małżeński był żywym wciele niem wyznawanych przez oboje dogmatów. Dochody dzielili na trzy części. Jedną przeznaczali na utrzymanie własne, drugą dla ubogich krewnych, dla kształcącej się młodzieży, dla pomocy naukowych, — trzecia poświęcona była ku czci Bożej — dla ubogich kościołów, na przybory kościelne, na budowę nowych świątyń, podtrzymywanie klasztorów, rozkrzewianie wiary — przeważnie w naszym kraju. Tryb ich życia był pełen prostoty, acz odpowiedni zajmowanemu stanowisku. Lubili wedle rady Pisma świętego „uczciwych ludzi miewać u stołu swego“. Słynie z gościnności, gromadząc przyjaciół, znajomych na posiłkiienne i wieczorne. Obiady, czy



wieczorne herbatki bywały pretekstem do gromadzenia ludzi czynu i dobrej woli, — na których to zebraniach omawiano kwestje bieżące, i niejedna dobra myśl się zrodziła. Wielu to krewnym przybywali z pomocą, wiele zdolnej młodzieży wykształcili! Pan Pusłowski czuwał pilnie nad nowymi odkryciami w medycynie i zaraz sprowadzał do Warszawy każdy nowy przyrząd służący chirurgji lub celom lekarskim. Ostatniem dziełem jego było wybudowanie przy kościółku przez nich stawianym, pod wezwaniem ich patronów Julji i Ksawerego, klasztoru okalającego świątynię w ich parku, w Królikarni pod Warszawą, a przeznaczonego dla księży emerytów, aby w spokoju i na dobrej powietrzu mogli ostatek dni przepędzić. Rząd rosyjski ustawy w tym celu nie chciał zatwierdzić. Do Paryża państwo Pusłowscy przyjeżdżali dla widzenia się z księżną — przytem studjowali dzieła filantropijne i nie przesiadywali zbyt długo nad Sekwaną. Pani Genowefa Pusłowska była umysłu ruchliwego i przedsiębiorczego. Bawiła w Paryżu już, zdaje się jako wdowa. Podziwiano jej działalność na Litwie i sposób w jaki w dobrach ś. p. jej męża rozwijały się fabryki sukna nowo założone, nad któremi miał dozór nauczyciel jej synów pan Nury.

Od czasu do czasu zjeżdżająca do Paryża p. Augustowa Potocka zapoznawała się z bractwami Adoracji Przenajświętszego Sakramentu i rozdawnictwem kościelnych robót, aby to pierwsze zrzeszenie na niwie polskiej wprowadzić. Pani Jadwiga

z Jezierskich Pusłowska, pani Zawiszyna, należały do koterji dość licznej bawiących się Polaków.

Hr. Aleksandrowa z Tyzenhauzów Przeddziecka dla wychowania synów zamieszkała w Paryżu — bywała najczęściej tylko u Księżulinki, tak zwano księżnę Ministrową, a czas wolny od zajęć poświęcała malarstwu. Doszła do nadzwyczajnej techniki w akwareli, która podziw wprost wzbudzała. Jej poświęciłam całe studjum w kartkach z moich wspomnień — tu mimochodem o niej nadmieniam z powodu jej obecności w tych latach we Francji. Później za radą i wskazówką X. Aleksandra Jełowickiego przepięknie ilustrowała tekst bulli Papieskiej o Niepokalanem Poczęciu. Każdy naród ofiarowywał Stolicy Apostolskiej dopiero w tłumaczeniu z odpowiedniami ilustracjami Bullę w rodzinnej swej mowie. Polska, hr. Przeddzieckiej, była niezaprzeczeniem najpiękniejszym dziełem sztuki.

Księża Zmartwychwstańcy wyrosli z 31 r. Mówiono o nich, że wyszli z mieczem a wrócili z krzyżem.

Pierwszy zawiązek stanowili dzielni oficerowie wojska polskiego — Aleksander Jełowicki i Hieronim Kajsiwicz, do których się przyłączył Litwin, znany z wiedzy, Semenenko. Znane są do nich pisane listy Mickiewicza — jego słowa zachęty do wytrwania w kierunku służby Bożej. Pomocnikiem do tego dzieła był wygnaniec Janicki. Sam nie został księdzem, ale służył Bogu jako żołnierz świecki, niezwiązany ślubem, na usługach braci. Życie du-

chowe pogłębiło jego umysł, skąd płynęła mądrość życiowa. Dla ziomków w trudnych zawiłych kwestiach lub w niespodziewanych przykrościach jego rada bywała nieoceniona. Księżom Zmartwychwstańcom oddano w Paryżu rue Faubourg St. Honoré, kościółek Wniebowzięcia (Assomption). Wprowadzili tam czysto polskie nabożeństwo — miewali gorące kazania. Mówili przepiękną polszczyzną zaczerpniętą jakby z czasów złotego wieku — odgłos Skargi. Ludzie ci w dalszym ciągu czuli się bojownikami — szukali dusz i chcieli je podnieść do niebywałych szczytów doskonałości i poświęcenia. Ksiądz Jełowicki szczególnie miał namietność powoływania dusz do Zakonów. Gdy widział zarodki dobra, tak się zaczynał obawiać, że duch światowy na polu pięknie obsianem dobrami zamysłami, zasieje ziarna kłóli, lenistwa, zepsucia, iż chciał zaraz tę rolę odosobnić, żeby ze światem styczności nie miała. Logika, jak to często bywa, gdy się staje doktryną i nie rachuje się z życiem wprowadza na fałszywe tory, co też po części z nim uczyniła — a więc Leibnitz pewnie miał słuszość gdy mawiał: „Strzeżcie się logiki“. Dochodzi owa logika do niebywałych wyników. I w tem mocno się Ksiądz mylił, bo zamiast przyciągać — oddalał.. Mówił na kazalnicy z takim zapalem, iż roznoszono chętnie to co się przesadą wydawało, jako pożądany materiał do żartów.

Pewna anegdotka dobrze charakteryzuje jego działalność. Nasza bliska krewna miała służącego,

włościanina z Podola, który za jej namową oświadczywszy, iż chce zostać katolikiem, był przez nią posyłany do Ojca Aleksandra na naukę religii. Pani ta skwapliwie oczekiwała dnia, w którym młody katechumen będzie zaliczony do kościoła katolickiego, aby móc z nim powrócić do kraju. Otóż nie przewidywano końca nauki, ponieważ ten dzień był wciąż odkładany. Gdy się pani XX. dowiadywała od Bazylego czemu przyjęcie jego na łono kościoła katolickiego ulega wciąż zwłoce, — odpowiedział on, iż zapytywany przez O. Aleksandra czy mając teraz wpojone zasady wiary, zgodziłby się raczej na męczeństwo, niż dla ocalenia życia zostać odszczepieńcem — on wytrwale odpowiadał, iż na męczeństwo nie ma żadnej ochoty i dla tego zwłoka nie miała przewidywanego końca. Ksiądz czekał na to ciągle, aby uczeń jego w zasadzie przystał na męczeństwo. — „Ależ Bazyli, trzeba raz księdza zadowolnić, powiedz, że skoro zajdzie potrzeba z radością pozwolisz się umęczyć. Raz przecie powiedz jak się należy — bo wiesz, że na tę ceremonję przyjęcia cię do kościoła katolickiego ciągle czekam, a wyjazdu dłużej odłożyć już nie będę mogła!“ — tak doradziła Bazylemu pani jego. Wiem, że niebawem kościół katolicki przyjął za członka tego, który miał taką idjosynkrazję męczeństwa.

Ksiądz Kajsiewicz był złotoustym. Dawny żołnierz ze szramą na licu — wyglądał na bojownika Bożego. Mówił najczęściej nie z kazalnicy, ale opierając się na ołtarzu; bez frazesów, bez zwrotów reto-

rycznych. Ta prostota wyglądała uroczyście i dziwną miała powagę. W miarę mówienia rozgrzewał się — ale nigdy nie było emfazy ani zwrotów krzykliwych i uniesień wynikających z temperamentu. Przekonania, wyrobiona wytrawność, która nie zniszczyła prostoty ale ją tylko utrwalala — były jego osobistą cechą — o czym już mogłam sama sądzić w Rzymie w kilka lat później, przed Soborem.

Mówię o nich dlatego, że ludzie ci byli rzecznikami Ojczyzny.

Jeszcze będąc w stanie świeckim stworzyli oni we trzech, — ksiądz Kajsiewicz, dawny major W. P., A. Jełowicki, rotmistrz W. P., Litwin Semienko — Związek Zmartwychwstania, z czasem przeistoczony przez nich na Zakon Boży, i to z myślą, że stworzą modlitwę czynu, która obudzi Ojczyznę z letargu.

Wszyscy członkowie Polonji modlącej się, bawiącej się i wygnanej dobrowolnie czy z musu do Paryża, odnajdywali się w Hotelu Lambert — na przyjęciach tygodniowych — nie pomnę czy to w niedzielę czy sobotę — i na uroczystościach świątecznych. Do moich rodziców zaglądali często, szczególnie w sezonie letnim w Biarritz, księstwo Władysławowie Czartoryscy. Księżna była Hiszpanką, córką królowej Krystyny, wysoką, szczupłą brunetką, o wyrazistych rysach i imponującej postawie. Książę Władysław był arcymiły i piękny; nie zdając sobie wtedy sprawy z estetyki instynktownie patrzyło się na niego jak na zjawisko. Oczy ogromne

jak światy — wszystko ogarniały, nos cienki subtelny — usta ślicznie narysowane, — a przy uśmiechu, jakby cień gorczy lub niedostrzegalnej pogardy. Koloryt twarzy gorący — jakby południowca — myślę, że malując ten wizerunek potrzebaby do karminu sporej ilości dodać „rouge chair“; wzrost średni, ręce może zbyt małe, cała postać tchnęła niepospolitością i przypominała portrety renesansowe. Widzi się go w czarnym obcisłym aksamitnym staniku zwanym just au corps z białą kryzą u szyi, ze złotym łańcuchem na piersi. Nie miał może orlego rzutu — ale był wytrawnym bojownikiem życiowym. W Polsce, gdzie przeważnie widzimy tylko szkice na charaktery mistrzowskie, ale gdzie brak wizerunków wykończonych, stanowił w tym kierunku niezaprzeczenie wyjątek. Była to postać jednolita. Wszystkie zdolności ku temu się zbiegły, aby ułać ten charakter z brązu. — Nawet przesadzona oszczędność była wynikiem silnej woli, pragnącej być stróżem doczesnej mamony nervun rerum, — aby jej nie zabrakło gwoli świętego celu — służenia Ojczyźnie. Obowiązkowość jego była nadzwyczajną. Nazajutrz po ślubie wyjechał w Misji politycznej do Anglii, gdyż staremu księciu Adamowi bardzo zależało, by z okazji jakiegoś mitingu wypowiedział jego syn mowę, uwydatniającą sprawę Polski. Realizował zatem niezwykle u nas typ zrównoważonego i obliczalnego człowieka. Cześć miał niesłychaną dla danego słowa, nawet choć to słowo było ciężarem dla stron obu, i choć o wiele lepiej

byłoby je rozwiązać. Ale pod tym względem bano się nawet cienia nieformalności — i dlatego z bólem serca ówczesna familja nie przyjęła konkurów dla księżniczki Izy, Księcia Napoleona, syna byłego Króla Hieronima i kuzyna cesarza Napoleona III, czując się związaną poprzednią umową z rodziną Działyńskich. Był to układ rodzinny między Czartoryskimi a Działyńskimi z perspektywą małżeństwa — dla młodych.

Ostatniego potomka zasłużonego rodu Działyńskich i córki Czartoryskich nie wiązało żadne uczucie, — ledwie się znano i cienia większej sympatyj nie było. Godzono się przez cześć dla rodzin, a odzyskawszy swobodę każda osobistość z tej pary byłaby sobie inny los wybrała. Hr. Jan Działyński, z powodu przywiązania do rodziny, poświęcił swoją miłość, a książę Władysław, wynurzając się moim rodzicom żałował, że gdy książę Napoleon zjawił się jako konkurent do ręki siostry, (której mówiąc nawiasem miał się podobać) nie można go już było przyjąć, — a dla czynników politycznych byłoby bardzo pożądanem mieć szwagra na tem stanowisku. Trzeba cnoty, ale nadmiar jej jest zbyteczny, mówi przysłowie francuskie. Przedewszystkiem w życiu dla uniknięcia nieporozumień trzeba szczerze się porozumieć, — nie należy zapominać, że szczerłość jest kluczem do szczęścia. Księżniczka Iza, późniejsza pani Działyńska, wyglądała na królowę z bajki. Bóg ją chyba stworzył, aby dać wyobrażenie niewieściego uroku. Kibić miała wyjątkową,

linja pleców była giętka i prosta. Układ — królowej pełen godności, a nie sztywny. Oko szafirowe z pod ciemnej łukowej brwi intensywnie patrzyło — łuk nosa wyrażał powagę, dolna warga jakby z umysłu wystająca dla dodania szczypty dumy, — taką się okazywała ta postać imponująca niezwykle wyrazem, o cichym, lekkim chodzie. Zajmowała się gorliwie pensjonatem, gdzie się wychowywały córki emigrantów i wszelkimi sprawami dobroczynnemi, związanemi z kolonją polską. Miała pracownię ozdobioną ściennymi malowidłami i rzezbami własnej roboty. Schody do niej wiodące były też zdobne jej rzeźbą. Pan Jan Działyński, ostatni potomek prastarego rodu, miał wielką cześć dla swej małżonki. Był on jednym z najudatniejszych typów Polski. Przedarł się był do powstania, skąd potrafił wrócić do Paryża, gdy partję rozpuszczono. Kurnik, siedziba pod każdym względem nadzwyczajna, był pod sekwestrem Pruskim.

Księżna Adamowa Czartoryska, której dziecinne moje oczy nie oglądały i którą znalazłam tylko z opowiadania, miała być nadzwyczaj żywą, rozmowną i bardzo przystępną. Gościnność jej była przysłowiową: każdego nowego znajomego rada była przyjąć, ułatwiając mu rozmowę, zapoznając go z członkami rodziny i z wybitnymi gośćmi. Opowiadała barwnie o swej ucieczce z Polski w r. 1831, dokonanej w części konno, unosząc ze sobą ostatnią latorośl, księżniczkę Izę, która jeszcze roku nie miała. W Hotelu Lambert panowała decentralizacja

w centralizacji. Księżna matka miała mieszkanie zajmowane od czasu nabycia tej siedziby, z niedawno zgasłym księciem Adamem. Księstwo Witoldowstwo mieszkali w jednym skrzydle — Księstwo Władysławowstwo w drugim. Państwo Działyńscy mieli swój apartament, a w okazałej oficynie mieścił się pensjonat. Wszyscy więc żyli osobno i wspólnie; gromadzono się na południowe śniadania i obiady, czasem i na wieczór. Księżna z synowemi w najlepszej żyła zgodzie, ale Księżnej Witoldowej z domu Grocholskiej mówiła: „Ta jest naszą“, Księżna Władysławowa znana jako księżna Amparo, była córką królowej Krystyny Hiszpańskiej. Była ona pełna temperamentu, żywa w obejściu, dość sympatyczna. Stosunek jej z rodziną męża był poprawny, lecz większą serdecznością się nie odznaczał. Dość pewna siebie nie kępowała się wcale, aby oderwać męża, zwanym przez nią Ladis, zajętego poważną rozmową, dla przysunięcia fotelu, podania książki, szala lub taburetu. On zawsze z uśmiechem, pełen galanterji stawał na jej rozkazy.

Księżna Marja Witoldowa miała charakter nieporównanie miły, równy i wesoły.

Figle jej się ciągle trzymały, często się przebiegała dla wzbudzenia śmiechu tak, że jej nie poznawano, lub miłym żarciem rozweselała towarzystwo, szczególnie domowe kółko. To też, jak to mówią, na rękach ją noszono. Przyszła karmelitanka miała zapas wesołości, jakby z silnego akumulatora elektrycznego do rozdania.

Późniejsza adeptka św. Teresy świeciła jak i ona radością. Tej radości udzielała i rodzinie i towarzystwu. Jaśniała nią na wentach w Hotelu Lambert, urządzanych zwykle na Zakład św. Kazimierza, który był przytułkiem dla osieroconych tego świata i wygnanych synów Ojczyzny, dla dzieci bez opieki, dla opiekunek polskich dzieci. Tam życia dokończył jak święty, Norwid, znakomity poeta, wielki rysownik, przedewszystkiem nieporównany charakter. Umierał zapoznany, bez środków i bez zółci. On krwawemi stopy doszedł do wyżyn największego piękna... do przebaczenia win; był pisarzem, rysownikiem, ale po nad wszystko był człowiekiem. Choć znał swoją wartość, wiedział, że dopiero za jakie pół wieku poznają go i rozumieją. Bratowa jego mi mówiła, że lubował się w swem ubóstwie, a nie chcąc rodzinie ciężać, schronił się do przytułku. Do Hotelu Lambert przybywały sławy polskie, jak Ludwik Wołowski, wielki ekonomista, bardzo przez Francuzów ceniony, wytworny światowiec, pełen werwy i dowcipu, a zakochany w swej nauce, w gospodarstwie społecznem, którą nazywał duszą świata. Był jednym z tych, o których mogłam sądzić dopiero w kilka lat później, gdy się dziecko na dziewczynkę przekształciło.

Zjawiał się tam również Gaszyński, poeta, gdy z południa z Aix, przybywał na krótko do Paryża. Nawskróś rozmiłowany w Pięknie — prawdziwy kapłan ideału, cieszący się sławą swego wielkiego przyjaciela Zygmunta, a nietylko cienia zazdrości nie

znający, ale tak doń przywiązany, że gdyby sam był zdobył większą chwałę, byłby ją zawsze chciał przypisać genialnemu druhowi. On był tylko jego wspomnieniem, był żywym komentatorem jego myśli. Cieszył się jego wielkością. Chciał być światła jego roznosicielem. I przyjaźń jego była wykwitem poezji, ujawnieniem piękna.

Rodakowski i Kapliński słynęli na polu malarstwa, jako portreciści — obaj bardzo w Paryskim Salonie cenieni. Rodakowski bardziej realista, pendzel mężniejszy — ton silniejszy. Kapliński subtelniejszy — pełen miękkości i nieporównanego wdzięku.

Oto widywane przez moich rodziców i spotykane często osobistości.

Ale trafiali się jeszcze epigoni 31 roku, ludzie, którzy debatowali nad ówczesną możliwością zbawienia Ojczyzny, utraconej błędami popełnionymi. Ci ludzie wciąż biadali nad przyczyną upadku powstania listopadowego i utratą z niem wszelkich nadziei.

Garstką tą kierował ostatni wódz polski z 1831 r., generał Rybiński.

Był jeszcze jeden polski dom, który wszystkich rodaków do siebie przygarniał. Był to salon pani Kisielewowej z domu Potockiej, córki Szczęsnego i znanej z portretu, uroczej Greczynki. Wiemy, iż szeroka swoboda rozwinęła u Polaków piętno indywidualności. Przysłowie mówiło: „Co głowa, to rozum“. W istocie co wzrok to spojrzenie inne, —

wielka różnorodność w typach, co wywoływało zawsze zaciekawienie — antydot przeciw nudzie. Te przesuwające się postacie stanowiły cały szereg odmiennych krajobrazów. Kilka rysów było wspólnych, głęboka religijność, miłość Ojczyzny, przywiązanie do swoich, — a na tem tle rysowały się zupełnie odmienne charaktery.

Pani Kisieleff była takim oryginalnym typem. Bacznie religijna, a tak gorliwa, że przekraczała granice zwykłej pobożności, — była z tem wszystkiem największym kobietą-graczem, jaką znały czasy przeszłe i obecne i pewnie przyszłe. Grę uprawiała wedle francuskiego przysłowia „qu'il y a avec le ciel des accommodements“, że „mogą być z Niebem pewne układy“.

Czuła się zawsze Polką, z mężem rozstała się niebawem po ślubie, a zdaje się, że to obce nazwisko z musu noszone, wielce jej ciążyło. Przyjmowała graczy i nie graczy, księży, publicystów i wszystkich Francuzów ożywionych sympatją dla Polski. Kalinka, historyk, przyszły Ojciec Walerjan, spotykał się tam z francuskim, katolickim publicystą Ludwikiem Venillot'em. Świat modny się tam łączył z licznymi przedstawicielami literatury, sztuki, z wielkimi graczami i z tymi, co politykę nadewszystko uprawiali. Kwestje te bowiem agitowały się gorliwie. Wszystkie partje Polskie polityczne się tam spotykały i przywykano podobno do szermierki. Szczególnie obiady dyplomatyczno-polityczne bywały z wielką uwagą przez panią Kisieleff układane. Kie-

dyś Ludwik Venillot, sławny francuski publicysta, został powołany do prowadzenia do stołu pani Augustowej Potockiej, właścicielki Wilanowa, która omawiając o wiele później to spotkanie przypomniała z jakim oburzeniem i zdziwieniem mawiał jej redaktor „Univers“, że ona nie dość jest przejęta troską o doczesnem stanowisku papieża. Kwestja doczesnej władzy papieskiej była uważana przez Włochów za szkopuł do zjednoczenia Italji, a pani Potocka stawiała kwestję bytu swej Ojczyzny na pierwszym planie zamiast się niepokoić przyszłością stolicy apostolskiej. — Przez panią, zawołał gniewnie Venillot, tylko Polka przemawia! — Przy jednym stoliku odbywała się partja wista, przy drugim zabawiano się grą hazardową, najczęściej tak zwanym bakiem (baccarat). — Opodal na kanapie siedziało kilku tak zwanych causerów, — czemu byśmy ich nie nazwali rozmawiaczami? Treścią rozmowy była dyskusja: „Co może Napoleon uczynić dla Polski“ — jak najlepiej w tym kierunku wyzyskać sytuację i jak w tej mierze działać należy. Odrywała się od czasu do czasu od zielonego stolika gospodyni, żeby się przysłuchiwać tym rozmowom. Niekiedy przyprowadzał do pani Kisieleff jej siostrzeniec, hr. Konstanty Branicki, amerykańnina Hume'a, cieszącego się sławą nadzwyczajnego medjum, a mieszkającego w domu polskim pana Aleksandra Komara. Wtedy tworzone drugie cercele i kilku adeptów spirytyzmu okalało z p. Humem okrągły stolik opodal. Opowiadano, że przy takim seansie

ksiądz Semenenko, Zmartwychwstaniec, rzucił na wznoszący się w górę stół poświęcony krzyż. Stół podobno z niesłychanym łoskotem miał upaść na ziemię ku zdumieniu wszystkich uczestników zebrań. Różnorodnie przedstawiał się salon pani Kisieleff. Przeważnie była to kuźnia narad, w celu wywarcia wpływu na cesarza dla sprawy Polski. Zatrzymaliśmy się dłużej nad wizerunkiem tej pani, bo w tej galerji obrazów, przedstawia ona wielce oryginalny typ, — samorodny — a czasem komiczny, gdyż posłuszeństwo nadmierne dla kościoła nie tamowało jej namiętności do gry. Mając gorliwość katolicką, któraby życie za wiarę oddała, nie pozbywała się mimo gorącej wiary — nadmiernego upodobania do hazardu. W stosunku z ludźmi przenikliwa, przezorność graniczyła z naiwnością dziecięcą. Wielka hojność, dobroć serca, miłość Ojczyzny i swoich, a swoją drogą nie wyzyskane skarby wiedzy uwiłdoczyły tak zwaną przez Sienkiewicza „improductivité slave“.

Ludwik Wołowski w Paryżu najwięcej przebywał w domu hr. Ksawerego Branickiego. Ten, poznawszy się na jego wielkich zdolnościach, był mu pomocą w utworzeniu „Crédit Foncier“ na wzór Tow. Kredytowego Ziemskiego w Warszawie, której to instytucji głównym został akcjonariuszem. Dała ona aureolę sławy i dobrobytu Wołowskiemu, powiększyła fortunę hr. Branickiego.

Wołowski, którego Francuzi na rękach nosili, był typem wytwornego gentlemana, człowieka znają-

cego ludzi i mającego głęboką cześć dla ideału. Z dumą i rozrzewnieniem wspominał o najpiękniejszym dniu życia, spełnienia przysięgi w szkole podchorążych.

Przyjaciółom był serdecznie oddany. Cześć miał dla naszych wieszczów Adama i Zygmunta. U hr. Ksawerego często się zjawiał, namówił go do założenia wspólnie z innymi kapitalistami „Le Crédit Foncier” na wzór Tow. Kredytowego Polskiego, który wedle niego był największą koncepcją geniuszu Polskiego, objawioną przez Lubeckiego. — Hr. Ksawery stał się głównym założycielem tego przedsięwzięcia, które mu przyniosło wielką fortunę. U swego kuzyna, Branickiego, zamieszkiwał, przyjeżdżając do Paryża — Roger Raczyński. Świetlany meteor, pełen życia, silnego ducha, z wrażliwością dziecięcą, a rozumem iście męskim pracował w zakresie filozofii.

Wielki patryjota słynął z ofiarności skierowanej przede wszystkim ku celom ojczystym. Wspomagał rodaków. Żadna bieda koło niego nie przeszła, nie będąc zasiloną — datkiem, radą, słowem, czynem.

Ludwik Wołowski z Ksawerym Branickim bywali częstymi gośćmi Ks. Napoleona, gdzie kwestję Polski często omawiano i rozpatrywano zawsze z największą życzliwością. Wszystkie jednak rozbieżne umysły, oddalone od siebie natury, łączyły się w jednym uczuciu, — wierzono w Napoleona, i że on będzie naprawcą wiekowej krzywdy, że Polakom zwróci Ojczyznę.

Świat bawiący się, mający ciągły kontakt z dworem, czuł się poniekąd przedstawicielem myśli dyplomatycznej, miał śledzić i utrzymywać puls sympatii dla narodu, którego był zresztą poniekąd przedstawicielem, miał być na straży interesów Polski i czuwać, aby wpływy przeciwne nie wzięły góry.

Bawiono się znakomicie w świecie cesarskim; — opowiadał mój ojciec, że poprzedni dwór Ludwika Filipa bawić się nie umiał.

Wiem, że mój ojciec odbywał podróż, która z urzędu była dawniej wykończeniem wykształcenia i że niejedną charakterystyczną anegdotkę opowiadał — jak na przykład ulicznicy paryscy w r. 1842 proponowali cudzoziemskim turystom i przejeżdżającym widzieć króla. Przyjemność tę na pięć franków taksowali. Gdy mieli zapłatę obiecaną, tak zaczęli krzyczeć i wołać na wszystkie strony: „Niech żyje król”, iż niebawem postać dobrodusznego króla pojawiała się na balkonie, a zapłata przyrzeczona szła do ich kieszeni.

Guizot, zdaje się, opowiada, że ile razy Ludwik Filip przed motłochem się kłaniał, tyle razy przy najśłodszy uśmiechu powiedział przez zęby: „kanalje, lotry”. Będąc wówczas w Paryżu, ojciec mój przypatrywał się ludziom i rzeczom, miał więc skalę porównawczą co do oceny rządów Napoleona III. Dwór ten otoczony nimbem famy przeszłej, teraźniejszej i przyszłej, cieszył się popularnością — acz wielką świecił powagą, silny rozprzestrzeniał

urok. Napoleon zasadę narodowościową wprowadzał w życie.

Polska była wcieleniem tej zasady — narodem uciemiężonym, prześladowanym, żądnym życia i prawo wielkie doń mającem. Popularność tej idei była powszechną.

Rok 1862 otwierał erę nadziei, był żywym świadectwem, że polska sprawa egzystuje. Nie tylko tli w umysłach, ale taką miłość wzbudza, iż męczennicy za nią giną. Był to niejako *eksperyment ludzkości*.

Ludzkość czynem dowiodła, iż może się wznieść do wyżyn Idealu. Uwidoczniło się, iż nie samym chlebem człowiek żyje, ale że chleb swobody, chleb poświęcenia jest mu potrzebny, a wtedy tylko czuje się jednostką użyteczną i pożądaną, gdy może się ubiegać o krzyż zasługi. Francja tak tym przykładem została wstrząśniętą, iż ustami poety przemówiła: „Polsko jeszcze jeden strumień płynie tej krwi niezwalczonej, tak dobrze Bogu i Ojczyźnie znanej. Nigdy Twe syny, Twe męczenniki, do których się na kolanach modłę nie mieli tak zasłużonego wielkiego prawa do posiadania swej Ojczyzny, jak w tej chwili, gdy modlili się na kolanach o swobodę, pod ciosami dzikich oprawców“. Wszystkie pisma, wszystkie partje, czy katolicki Veuillot w Univers, czy ultra-demokratyczny Floquet, cała partja republikańska wszelkich odcieni w dziennikach, które się miały przerobić później na „Lanterne“ i na „Intransigeant“, wszyscy się złączyli, żeby witać Pol-

skę jako męczennicę, jako zbolalą siostrę i zapowiadać jej erę wolności i swobody.

Montalembert stanął jako szermierz Polski. Ojciec Gratry z punktu widzenia religijnego kreślił „Méditations politiques sur la Pologne“. Na kazalnicy proboszcz Magdaleny, późniejszy zakładnik komuny, gilotynowany przez nią, Ksiądz Deguerri — w przepięknym kazaniu porównywał Polskę do Chrystusa i — Polskie dzieci uczył, jak miłować należy Ojczyznę.

Być Polakiem, polką w ówczesnym czasie, było to mieć patent do sympatji. Piękna i zdolna pani Kalergis, późniejsza pani Muchanowa, z domu hr. Nesselrode, lecz córka G. Gutowskiej z domu, uchodziła za Polkę, — to był wówczas modny sztandar. Dla Moskali, jako dla ciemężycieli, miano tylko uczucie odrazy... Ogniskiem polskości było Palais Royal, siedziba księcia Napoleona, żonatego z córką Wiktora Emanuela... Cóżby to było, gdyby Polkę miał za żonę... Tam formalnie przewidywano odbudowę Polski, tą kwestją gorąco się zajmowano. Napoleon III bardzo życzliwie mówił o Polsce, na kwestję Polski zapatrywał się jak na konieczność, którą rozwiązać należy ku uczczeniu sprawiedliwości; ale mało o tem mówił. Europa cała patrzyła na niego jak na wyrocznię. Był to człowiek zagadkowy, kiedyś przeceniony, dziś niedoceniony. Jego natura złożona była z samych przeciwieństw. Był fatalistą... a w potrzebie, nie okoliczności go nosiły — ale on je tworzył — tak jak w nocy 2-go grudnia, gdzie

sfinks okazał się człowiekiem czynu. Zamach stanu uwięziony powodzeniem wówczas, gdy był uważany za arbitra Europy, wcale mu glorii nie umniejszył — nawet legitymiści uwzględniali ten postępek, ze względu na obawę życiową przed sztandarem czerwonym — przed terorem. Wiktora Hugo nikt nie słuchał i złorzeczenia przeciw Napoleonowi zwały się pamfletami szaleńca.

Przytaczam tu opowiadanie przez usta moich rodziców słyszane i głoszone zdania najgorszych przeciwników Napoleona. Oni się wszyscy mieli chwalić, że w głośnym plebiscycie w 1850 r. głosy swe oddali cesarzowi ze względu zawsze na to widmo teroru. Dwór francuski jaśniał w całej pełni. Morry — autor — suggestjoner zamachu stanu, spokrewniony z Napoleonem, był ministrem spraw wewnętrznych, Walewski, spokrewniony z dworem — spraw zagranicznych. Pierwszy się zajmował finansowymi sprawami — sam doszedłszy do fortuny, pomagał i drugim w tej mierze. Uchodził za najbardziej zażyłego doradcę Napoleona, żonę miał Rossjanę, bardzo ładną, ale choć księżniczka Trubetskaja z domu, nie chwaliła się tem pochodzeniem. Przyjęcia dawali przepiękne, na które dwór uczęszczał. Walewski Aleksander, pełnomocnik rządu Polskiego w 1830 i wysłannik jego do Anglii, gdzie miał za pracownika Aleksandra Wielopolskiego, z nim doszedł do wysokiego stanowiska doznał mnóstwa niefortunnych przygód.

Gniazdo Walewskich, Walewice, zostało mu za-

pisane przez senatora Atanazego Walewskiego, znanego z Łączyńską, z którego to gniazda Walewscy od wieku XIV wywodząc się, nazwisko przybrali; później mu je skonfiskowano za udział w Rządzie Polskim i na licytacji sprzedano je po 31 r. Musiał młody patriota wojować z biedą. Opowiadał podobno, że próbował wszelkich karjer, że życie mu szło jak po grudzie — dopóki się nie zapoznał z Thiersem. Historyk Napoleona I-go okazał mu nieklamana sympatię. Ten zdolny człowiek, adwokat i historyk, będąc wówczas ministrem Ludwika Filipa mógł mu znaleźć stanowisko dyplomatyczne drugorzędne lecz niemniej pożądane i tem dał mu możliwość okazania w Ameryce południowej, w Buenos Aires zdaje się, swych zdolności na tem polu. Od tego czasu młody dyplomata w rozmaite miejsca bywał wysyłany. Bawiąc jakiś czas we Florencji, uległ czarowi urodziwej Włoszki, hrabianki Ricci, i choć była zupełnie bez mienia, a on nic innego nie posiadał krom stanowiska, wszelako wierząc, iż radę przy pracy zawsze sobie dać może, zaślubił uroczą istotę, która za czasów drugiego Cesarstwa wielką rolę odgrywała. Dawała ona ton modzie i zabawom. Walewski mówił bardzo dobrze po polsku, ale przyznawał się, że teraz, gdy przyjął narodowość francuską i służy Francji, interesa rodzinnego kraju podlegają dlań zwierzchnictwu, czyli pierwszeństwu tej drugiej przybranej ojczyzny. Niemniej gorąco interesowały go sprawy polskie. U Francuzów miał wyrobione stanowisko człowieka charakteru sły-

nącego z bezinteresowności, który nigdy, choćby mógł, nie nadużyje zaufania okazywanego mu przez dostojnego kuzyna, Napoleona III. Bo też istniała kamarylla otaczająca Cesarza, i której celem jedynym był złoty cielec-mamona — robienie interesów. Napoleon tem grzeszył, iż odmawiać nie umiał szczególnie wtedy, kiedy miał dla tego, który o coś prosił, obowiązki wdzięczności. Uważał za swego najlepszego przyjaciela D-ra Conneau, zbawcę swego. Wszyscy zresztą znali tę historję. Wiedziano że książę Ludwik Napoleon przez rząd Ludwika Filipa ujęty przy niedoszłym zamachu powstańczym, którym dowodził obroniony od śmierci przez złotoustego adwokata Berryer'a, będąc w Ham, w więzieniu został cudownym sposobem ocalony przez Dra Conneau. Mularze bielili więzienie, doktor za jednego z nich przebrany podszedł do kraciastego okna celi, gdzie leżał książę, posługując się piłą, umiał je otworzyć, księciu podać odzież mularza, aby mógł stamtąd zaraz powędrować i zbiedz do Anglii, a sam usadowił się w łóżku niedoszłego cesarza... Conneau później, gdy był mocen wszystko otrzymać, nigdy nie nadużył położenia; znaleźli się jednak inni, którzy frymarczyli wszystkim czem mogli. Między innemi cytowano generała Fleury — i te sprawy pieniężne bardzo drugiemu Cesarstwu na popularności zaszkodziły. Tak się przedstawiały rzeczy na dworze francuskim wśród lat 1861—1862, kiedy wypadki Warszawskie zaczęły ściągać uwagę całego świata. Klaczko pisywał artykuły bardzo po-

czytne, które polemikę wywoływały. Mazade w *Revue des Deux Mondes* wtórował mu również.

Francja była wówczas arbitrem Europy, nie dziw że Polacy przesiadywali nad Sekwaną, i że powołani i niepowołani oczekiwali wyroku Sfinksa, który ostatniego słowa w tej sprawie nie wypowiedział.

Cesarzowa Eugenia ogromną sympatją obdarzała Polaków. Piękna hiszpanka była przeciwstawieniem swego małżonka; o ile on miał wzrok mglisty, acz łagodny, ruchy powolne i niedbale, — o tyle ona miała w spojrzeniu wiele intensywności, w ruchach dużo żywości, a w słowach nadmierną obfitość. Organ jej głosu był donośny, lecz nie krzykliwy; oczy Andaluzki z powieką spuszczoną byłyby nadawały dużo smętku uroczej twarzy, gdyby nie jej złoty uśmiech, który zaprzeczał smętkowi oczu.

Nie będziemy poruszać jaki był stosunek wewnętrzny małżeństwa. Na zewnątrz przedstawiał się mile, a to przecież wystarcza. Dwie Polki, słynne z urody, (dwie siostry: pani Swieykowska, późniejsza Margrabina de Noailles i pani Liza Przezdziecka), szczególnie były zaszczycone względami pary cesarskiej, — a one bywając na dworze, czuły się jakby wysłanniczkami w specjalnej misji wywiadowczej na dworze Dyktatora Europy.

W roku 1862 państwo Karolostwo Przezdzieccy zostali zaproszeni do Compiègne na serję polowań, gdzie ich zatrzymano przez dwa tygodnie. Tam me-

morjał pisany przez hr. Karola Przeddzieckiego, otrzymawszy uznanie kolonji polskiej i księcia W. Czartoryskiego, został wręczony przez panią Przeddziecką Cesarzowej, a za jej pośrednictwem doszedł do rąk Cesarza... Stąd w tej kwestji często się zawiązywała rozmowa. Często stamtąd propagowane były nadzieje... Tu trzeba zaznaczyć jedność, zgodność w duchu polskim. Ludzie nie mający z sobą nic wspólnego, łączyli się w imię bratniej idei. Mierosławski był założycielem szkoły wojskowej dla Polaków w Cuneo pod Genuą, Władysław Czartoryski komisarzem Rządu Narodowego.

Tak idea łączyła wszystkich Polaków, nawet tych, których nic między sobą nie wiązało. W tych latach 62—63 przedstawiciele Polonji bawiącej się i działającej ciągnęli za parą cesarską naprzód do Biarritz, a potem wielu z nich bywało często zapraszanych do Compiègne — jesienią, do Fontainebleau — latem. Zjawił się wtedy w 62 roku na sezon kąpielowy w Biarritz pewien dyplomata. Pod pozorem dobroduszości wzrok tego człowieka z pod krzaczastej brwi sięgał bystro i przenikliwie. Opo-
wiedział mój ojciec, iż przyszły pogromca Francji grał wtedy rolę wielbiciela Cesarza, jego dworu i całej tej pięknej krainy. Nie poznano się na farbowanych lisach. Przyszły dyktator Niemiec używał wielkiego miru u Dworu, to też należał do zebrań, tak zwanych intymnych w Willi Eugenji. Któż byłby przypuszczał, że on żywiąc zamiar ujarzminienia kiedyś Francji, używał tego czasu dla studjowania

organizmu narodu i sposobów opanowania go, tworząc zawczasu sieć szpiegów! Wszystko umiejętnie śledził, a nabyte wiadomości służyły mu do układania naprzód planów ku zwycięstwu swej idei.

Wieczorami w willi Eugenji bawiono się urządzając szarady. Dzielilo się towarzystwo na dwa obozy — jeden przedstawiał ową szaradę — drugi miał obowiązek odgadnięcia słowa. Cesarzowa Eugenia bardzo tę zabawę lubiła, przebierała się z ochotą za starszą matronę — i przejęta swą rolą jak najlepiej starała się ją oddać. Cesarz w szaradach uczestniczył jako siła odgadująca. Ale zato w grach innych, gdzie składano fanty, dawał przykład posłuszeństwa. Mówili mi moi Rodzice, że jego pamięć była skarbnicą, że się z fantów wywiązywał, deklamując piękne wiersze. Kiedyś cały ustęp Schillera, zdaje się że ze „Zbójców“ na pamięć powiedział, a potem mętne oko wpadło w zadumę i jał przypominać, że tak skwapliwe zabrał się do studjowania Schillera, gdy oboje z matką w nadziei lepszych czasów przebywali w Ahrenberg, w zamku królowej Hortensji w Szwajcarji. Domownikiem cesarskiej pary był akademik Mérimée, który po upadku cesarstwa taki był zboląły, że wkrótce życie zakończył. Był on nauczycielem Cesarzowej Eugenji, która lubiła przypominać, że jej dał pierwszą lekcję języka francuskiego, że od niego się wyuczyła tej mowy, którą ona miała przyjąć za mowę rodowitą, jako żona Naczelnika kraju

(ayant epousé le chef de l'Etat), a matka jego przyszłego władcy.

Cesarzowa słynęła z towarzyskości, była uprzejmą w obcowaniu z ludźmi i równą, nie podlegającą fantazjom ani humorom, co największą było jej zasługą. Bo nie trzeba zapominać, iż w czasach powołenia była na rękach noszoną; niemiłosiernie jej schlebiano. Nie miała owego niewolnika, który Rzymskim Cesarzom i triumfatorom przypominał, że są tylko ludźmi; ona tylko z łaski zdrowego rozumu umiała zachować równowagę.

Cóż dziwnego, że piękna, młoda, miła, lubiła za nadto może się bawić. Wszystko ją interesowało — miała poczucie Piękna, ale nad wszelkie sztuki przekładała poezję i wogóle literaturę.

Z Biarritz urządziła wycieczki do Hiszpanji. Tam w San Sebastian gotowali jej rodacy gorące przyjęcie: na jej przybycie miasto znienacka zostało iluminowane a giorno. Piękne Hiszpanki na balkonach w czarnych zawojach z tradycyjnym wachlarzem witały ją okrzykami pełnymi entuzjazmu.

W Biarritz był też dla cesarskiej pary czas odpoczynku. Cesarz sam tylko z merem i jego towarzyszem chodził po mieście w cylindrze, w surducie z guzikiem legji honorowej, — urządzano wtedy nowe drogi i wysadzano tamaryszkiem wydmy piaszczyste. Cesarz kupował najgorsze grunta w okolicach poto tylko, by je użyźnić. Pod tym wzglę-

dem ogromne oddawał usługi rolnictwu francuskiemu.

Chcemy tu wykazać z jakiego to ogniska Polska się spodziewała otrzymać nieco iskier świetlnych.

W r. 1863 wybuchło powstanie. We Francji Polacy, cała Polonia wszystkich sfer i partji gorliwie ją śledzić augura, — co powie i jakie da nieszczęśliwemu narodowi prognostyki do życia.

Powiew poezji romantycznej, który nawiedził Europę, rozbudził szlachetne instynkty, — na nowo powołał je do działania, chciał wskazać, że Piękno zrozumiane podziwiane ma się urzeczywistnić czynem. Krasiński wołał: „gińcie me pieśni“ — „wstańcie czyny moje“! Śpiewak Grecji Byron umiał zginać dla niego. Była to chwila, że ożyło rycerstwo ducha. Jeśli Gratry tłómaczył, że narody są jak indywidua obowiązane do pełnienia dekalogu i do prawości — to co nas dziś dziwi, pochopność do wierzenia, że wbrew własnemu interesowi ku uczczeniu sprawiedliwości, za starszym rycerzem ludzkości — za Francją, pośpieszą narody ku oswobodzeniu nieszczęsnej Polski, nikogo wówczas nie dziwiło. Ta zasada na nieszczęście zaczynała tracić kurs, zwyciężała tymczasem inna — zasada interesu. Ten bałwan, któremu, jak mówi Mickiewicz w księgach Pielgrzymstwa, klaniała się Anglja, owdlał wtedy całym światem. Zdetronizował on poezję, rycerskość, zaczął rządzić samowładnie narzucając maksymę: „Cel uświęca środki“. Jednostki Polskie, przebywające w r. 1863 w Biarritz i uczęszczające

na zabawy dworskie, czyhały zawsze na sposobność przemówienia słowa za Ojczyzną. Delegatką tych życzeń bywała najczęściej przez rodaków wybrana dobrze widziana u dworu hr. Liza Przezdziecka. W 1863 r. rola jej nabrała znaczenia. Napoleon pracował nad tem aby powstanie Polski zostało uznane za stronę wojującą. Tryumf jego polityki uwidocznił się, gdy potrafił do tego kroku skłonić Anglię. Szło później o przyłączenie do tego sojuszu Austrii. Z początku sprzyjała ona tej myśli, i przyrzekała swe uczestnictwo. Noty dyplomatyczne wspólnie redagowane i podpisane miały być przedstawione Rosji. Xiążę Władysław Czartoryski z małżonką bawił w Biarritz dla śledzenia biegu wypadków, tyczących się Polski. Jednak, czuwając nad sprawą wołał, aby moja matka, należąc do liczby gości ciągle zapraszanych do Willi Eugenji, dowiadywała się od czasu od czasu jaka aura naszym nadziejom przyświeca, jak stoją rokowania co do Polski. Cesarz jej kiedyś powiedział: „Nous faisons un effort diplomatique pour tâcher d'obtenir que le Polonais insurgés soient considérés comme des beligèrens” — (czynimy wysiłek dyplomatyczny starając się, aby powstanie Polskie uznane zostało za stronę wojującą). — Przed końcem pobytu cesarskiej pary wielkie zaszło rozczarowanie. Po wycieczce w góry odbytej z cesarżową, wracano na późną kolację do Willi Eugenji. Cesarz pracował w swoim gabinecie przy biurku z jednym z ministrów. Wchodząc do ogólnego salonu, gdzie goście byli zebrani przy ce-

sarzowej, podając rękę pani Przezdzieckiej rzekł do niej „Mauvaises nouvelles pour Vous, l'Autriche triche, elle vous abandonne”. („Złe dla was wieści: Austria oszukuje, ona was opuszcza”). „Ale Najjaśniejszy Panie, odpowiadała rozmówczyni, nic przecie niema jeszcze straconego”. — „Nie wiem, zakończył Napoleon, czy można będzie dalej prowadzić rokowania”. — Wszystko więc szło na opak. W Compiègne lepszych wieści nie było. Cesarz jednak z pół uśmiechem zawsze miał mówić: „Co robić, — trzeba teraz wytrwać, a może sprawy się polepszą”. (Que faire, il faut durer — et peut-être que les choses iront au mieux). — Francja nie chciała dać czynnej pomocy. Hasła rewolucji francuskiej, walki za sprawiedliwość dawno minęły. Idee romantyczne pomagania każdej sprawiedliwej i szlachetnej sprawie, jeśli w słownym wokabularzu jeszcze kurs miały, z czynu zostały wykreślone. — Sprawa Polski jeszcze tliła, ale powoli grzebać ją zaczynano. Rouher, ówczesny minister spraw wewnętrznych, nie taił swej sympatji dla Polski. Salon jego był żywą propagandą. Córką jego nawet się po polsku nauczyła. Niestety nic już wpłynąć nie mogło na zmianę kierunku w opinji publicznej.

Moi rodzice na wiosnę 1864 r. będąc w Paryżu zostali zaproszeni do Dworu na obiad w St. Cloud. Dowiedziawszy się o tem pośpiesza do nich X. Władysław Czartoryski. Był bardzo blady i mocno zaniepokojony. „Z Warszawy, mówił, przyjechali znany społecznik Ludwik Górski, radca Kłobukow-

ski, stworzony na dyplomata i dzielny, o zacnem sercu, finansista Leopold Kronenberg. Chcą wiedzieć, czy mimo odstępstwa Austrii, arogancji Rosji, może być nadzieja iż Francja nas nie opuści i że dla naszej sprawy cesarz coś uczyni". Powierzył zatem mojej matce wybadanie arbitra Europy i umówiono się z moimi rodzicami, że trio przybyłe z Warszawy, wraz z nim oczekiwać będzie ich powrotu z St. Cloud w jakimś hotelu opodal Champs Elysées.

Po obiedzie w St. Cloud pani Przeddziecka oczekiwała sposobności zbliżenia się do tak wówczas zwanego „Sfinksa“. Przy cesarzowej uczyniono cercle. Cesarz tylko krążył opodal, gniotąc w rękę papierosa. Polka wstała i zbliżywszy się do niego złożyła ręce jak do modlitwy — prosząc jak o łaskę o minutę rozmowy. — Napoleon wskazał otwarty balkon i oboje tam się skierowali. „Czy jest dla nas jeszcze jaka nadzieja?“ zagadnęła pani Przeddziecka. Cesarz tym razem był zasepiony. „Nie widzę żadnej“, odparł. „A może choć jakiś błysk na przyszłość?“, pytała dalej. „Nic tymczasem nie widzę“, sformułował Napoleon. — Po dworskim ukłonie rozmówczyni odeszła. Smutne to było posłannictwo dać wszelkiej nadziei dymisję.

W hotelu czekał na panią Przeddziecką triumwirat przybyły z Warszawy. Oczy ich pytały: Więc cóż? — Odpowiedź była dla nich tak złowrogą, tak straszną, iż pan Kłobukowski miał zemdleć. Ludwika Górskiego wygląd był przerażający, niby czoło-

wieka rażonego atakiem apoplektycznym, żrenice Kronenberga zajaśniały blaskiem niepohamowanego oburzenia. Xiążę Władysław Czartoryski zbladł jak człowiek na śmierć skazany. Rozpacz, która wszystkich ogarnęła u każdego objawiała się inaczej.

Zaproszeni do Fontainebleau i w r. 64 Polacy zawsze się tam wstawiali w myśli, iż coś się może da uzyskać dla sprawy Polskiej. Pan Przedziecki dwa razy podawał memorjały aprobowane przez kolonję polską. Wiem, że choć te zabawy dla przebywających Polaków niespokojnych o los kraju były goryczą zaprawione, nie mniej musieli w nich uczestniczyć, czatując zawsze na sposobną chwilę do przemówienia za Ojczyzną.

O stopniu cywilizacji najlepiej sądzić można ze sposobu w jaki ludzie się bawią. Pisząc historję kultury obyczajowej Europy, przednie miejsce by się dało dworowi Napoleona III. Umiano się tam bawić wytwornie i z pożytkiem dal umysłowości. W najwyższym stopniu kwitł intelektualizm — prawda, że uczestnikami zabaw byli ludzie jak Oktawjusz Feuillet, Edmund About, Flaubert.

Ci pierwsi już zajaśniali w pełni blasku talentu, trzeci zaś dopiero był wschodzącą gwiazdą. Tu przypatrzmy się chwilę owemu sposobowi rozumnemu zabawiania się wogóle. Oktawjusz Feuillet był cichym, wytwornym i pełnym subtelności rozmówcą. About, pełen werwy i humoru uchodził nie bez

racji za złośliwego, upatrując wszędzie stronę komiczną.

Trzeci Flaubert był artystą słowa — on naturalizm uprawiał w sztuce — mając cześć dla formy. Jak jubiler układa z myślą i z mazołem cenne kamienie do orbit, tak i on ślęczył nad każdym wyrażeniem, chcąc zawsze dojść do doskonałości. W życiu zaś codziennym nie krępował się wcale — ruchy miał nie salonowe, ale rewolucyjne, potrafił gestykulując rękami, trącać sąsiadów.

Najczęściej Otawjusz Feuillet bywał impresariem wieczornych zabaw, szczególnie, gdy chodziło o uczczenie jakiejś rocznicy — n. p. imienin cesarzowej. Urządzał szarady. Składały się na nie umyślnie z tej okazji pisane jednoaktówki — obrazy, w których występowały ładne kobiety i wiersze okolicznościowe. Publiczność odgadywała szarady.

Powstanie żywot kończyło. Rząd Narodowy jeszcze istniał, więc jeszcze się ludzono. Jeszcze Polacy myśleli, że jedno słowo Napoleona może przywrócić nadzieję.

Trauguttowi, dyktatorowi Rządu Narodowego, który mimo niesłychanych trudności przedostał się do Fontainebleau do cesarza po wskazówkę — raczej po rozkaz co czynić należy — odpowiedział: „Trwajcie, wytrwajcie a pomoc przyjdzie — tylko trwajcie“.

Godzina niepodległości państwa nie była jeszcze wybiła — wszystkie wysiłki okazywały się daremne. Te nasiona krwi i poświęcenia miały dać plon do-

piero na przyszłość. One były okupem gnuśności — zdrady dawniejszej. Męczeństwo powołało wszystkie dusze polskie do pracy, dla wspólnej idei, ażeby dać świadectwo życia i stać jak rycerz gotujący się do pasowania, do otrzymania odznaki zakonu rycerskiego, dzierżąc chorągiew Niepodległości Państwa.

GENERAL RYBIŃSKI

Z czasów najgłębszego dzieciństwa, w zakątku muzeum pamięci wisi starodawny wizerunek. Jestto postać jakoby wiarusa — prosta, a imponująca: Mężczyzna — wysoki, siwy o ogolonej twarzy, którego lata nie pochylily. Ostatni wódz Polski z 1831 roku. Miałam lat cztery, gdy jego córka została naszą nauczycielką. Pamiętam jak oczekiwała błogiej chwili przyjazdu do Paryża, aby ujrzeć ubóstwianego ojca. Za czasów drugiego cesarstwa, przed włoską wojną, stanęliśmy w nadsekwańskim grodzie.

Generalowi Rybińskiemu, z całej dawnej glorii pozostał tylko jeden obraz, gdzie wśród białych namiotów sam był portretowany. Opodal stał adjutant, zdala żołnierze. Mieszkał stary wojak (rue Pigalle) na szóstym piętrze nad antresolem. Przy nim jego synowie. Cała rodzina uwieńczona była imionami słowiańskimi. Jeden z synów nazywał się Władybój — drugi Ziemomysł. — z córek jedna Lechia, druga Bożenna.

Wiedziałam, że nasza nauczycielka panna Bożenna miała bezgraniczne uwielbienie dla tego z ni-

kim nieporównanego ojca. O wiele później zostało jej uczucie, — słowa nam wypowiedziane — pojęte. Były one zarejestrowane w fonografii pamięci... dopiero wiek dojrzały wydobywając starą melodię, potrafi się jej przysłuchać, i wtedy ją rozumie... Panna Rybińska podzielała zapatrywania ojca, pewne przesady i uprzedzenia — bo do rzędu zdrajców, co zgubili Ojczyznę zaliczał generał Ks. Czartoryskich. Im to przypisywano tragiczny koniec 1830 r. Od tego czasu prawda wyświeciła fakty i sprawiedliwość historii je przekazała. Ale w tym czasie dziwić się nie można, iż zbolełe serca widziały fakta i ludzi w innym oświeceniu. Pozory służyły za przyczynę. Fanatyczne pewne pojęcia, gdy się stają drugą naturą, podobne są do tej powłoki na oczach, zwanej kataraktą, nic się wtedy nie widzi, wzrok się w czucie przeobraża, a to czucie przekształca się w namiętność. Zapominano o tem, że Czartoryscy miłości Ojczyzny dawali ciągle dowody. Jednym z ostatnich była konfiskata olbrzymiego majątku — Puław, której powodem było stanowisko patriotyczne Księcia Adama. Swoją drogą panna Bożenna miała rację opowiadać z uwielbieniem, jak jej ojciec z godnością graniczącą z oburzeniem odrzucił zasilek, który młodzi wówczas Książęta przyszli mu ofiarować. „Lepiej głód cierpieć, nędzę, jak się do tego stopnia poniżać, by swą godność sprzedawać, — ojciec tak myślał — my tak samo. Kompromisy z sumieniem nie istnieją“.

Dziś dobrze pojmuję, iż Książę Czartoryski chciał

generałowi dopomóc, a czynił to poprostu powodowany wielką wyrozumiałością z dobrego serca, aby stary wojak nie musiał walczyć z nędzą. Te niesłuszne uprzedzenia generała, były rodzajem Creda, za które każdej chwili gotów był oddać życie.

Generał należał do ludzi co się liczą ze sobą, — co szanują słowo wyrzeczone, wypowiedziane zdanie i wstydzić się nie chcą za czyn nieodpowiedni ich przekonaniu. — Sędziwy wojak kult miał dla Napoleona bezbrzeżny. W bitwie pod Friedland cesarz zauważył polskiego porucznika, a zawoławszy go zdjął krzyż Legji Honorowej z własnej piersi — i zawiesił go na szyi młodego oficera, mówiąc słowa: „Młodzieńcze, zasłużyłeś się Ojczyźnie — cześć zdobyłeś!” (Jeune Homme vous avez mérité de Patrie et de l'honneur). Ile razy generał o tem wspominał, tyle razy łza zabłysła u jego powieki.

Generał był bardzo do żony przywiązany; opowiadał, że jako młodziutki oficer dostał kwaterek w Polsce na wsi, gdzie upodobał sobie milutką, trzyletnią córeczkę goszczących go właścicieli dworu. Po obiedzie miał przywilej dawania jej kawałka ciasteczka moczonego w kawie, tak zwanego kanarka. Zarzem nazywał ją swoją żoną. W siedemnaście lat potem służba wojenna zagnała pułkownika w te same strony, i wówczas uroczą panną Eufemją oddała serce i rękę dzielnemu obrońcy Ojczyzny.

Kochano wtedy ideał, z Bohdanem uganiało się za Idealem Wiary, Cnoty, Miłości i Swobody. Marzeniem było wcielić Piękno w duszy, chciano dojść

postępowaniem do posiadania tego skarbu, którego ani rdza, ani mole nie uszkodzą.

I cały ówczesny nastrój temu odpowiadał: pieśni śpiewane przy harfie lub gitarze, sztychy wiszące na ścianach; zawsze w nich widniał bohater, lub wspomnienie pięknego czynu. Nawet strój kobiecy był prosty i pełen wdzięku.

I wyobrażenia moja maluje ówczesną Polską dziewczę, może bohdankę generała, w muslinowej białej sukni, przepasanej różową szarfą, świeża róża we włosach. Śpiewa Krakowiaki, lub „Bywaj dziewczę zdrowe“, a słowa pieśni bezmyślnie nie płyną, odtwarza je dusza, a zbytek serca jak mówi poeta, spływa łzą.

Z tego małżeństwa zawartego przed rokiem 1830 (pewnie w r. 1828) było pociech dziesięcioro. Generalowa uciekała w 1831 r. z dwojgiem drobnych dzieci i jednym wiszącym u piersi. Przez całe życie spełniała zadanie wygłoszone w Piśmie Świętem: „Dobra żona męża korona“, osładzała mu gorycz zawodów, tęsknotę wygnania. — Nie skarżyła się nigdy, choć ją nurtowała lat kilka choroba, która ją zabrała w r. 1848.

Generał żył bardzo długo. Nie wiem jak się zapamiętał na rok 1863 — miałyśmy wtedy inną nauczycielkę i straciliśmy z oczu ostatniego wodza z r. 1830. Wiem, że pisywał wiele o rzeczach wojskowych, fachowych i coś w rodzaju pamiętnika.

Wierzył. — Kochał. — Czekał.

Ilekróć w Albumie pamięci sięgam do stronnice dawno minionych dni, z radością odchylam wizerunki tam odbite tych ludzi, których życie było protestem przeciwko fali materjalizmu i którzy hołd oddawali prawdzie, w czyn wprowadzając wyznawane zasady.

Z grona tych ludzi, wybitniejszych przedstawicieli dawnej emigracji, z którymi miałam szczęście w zaraniu życia się spotkać, silnem piętnem zarysowała się w młodej wyobraźni postać Ludwika Wołowskiego.

Miał wówczas lat pięćdziesiąt kilka, twarz niepospolitą zarówno dla swej szpetoty, jak oryginalnego wyglądu.

Oczy wypukłe, za duże, miały spojrzenie długie, mgliste, pełne życzliwości. Nos miał zakręt, rasę semicką, potrosze przypominający, ale był pełen wyrazu, dokończał to, czego nie dopowiedziały oczy i nadawał piętno refleksji, skupienia. Usta wąskie mówiły o woli, o dokładności i o pewnem ścieśnieniu siebie i drugich w karbach obowiązkowości. Pa-

miętał jak się śmiano z jego sterczących uszu; zdaniem osób kompetentnych ten defekt powinien był być już za czasów dzieciństwa zwalczony, a mnie się zdawało, iż dlatego były dziwnym sposobem utworzone i uchylały się od głowy, aby lepiej wszystko chwytać i być niejako symbolem ciekawości intelektualnej.

Ludwik Wołowski, w sezonach letnich 67 i 69, w angielskim surducie z wysokim cylindrem, czyściutko ogolony, przy małych bokobrodach, z różą u pętlicy, wyglądał na dżentlemana międzynarodowego, odznaczającego się wytworną powierzchowną elegancją.

Ale wielki ekonomista miał pozór tylko salonowca wielko-swiatowego. W istocie rzeczy był całkiem inny. Nic w nim szablonowego nie było, lub przypominającego wystawę sklepową; nic na pokaz. Był to człowiek niespospolity, o duszy gorącej i kraj swój kochający uczuciem młodem, sercem serdecznem. W obejściu miał prostotę dziecka, w pożyciu zaś łagodność w stal ukutą i pełen był do szpiku kości gorącego ducha.

Miał około lat sześćdziesięciu, kiedy nam opowiadał dzieje swej młodości, i ową noc pamiętną, która o jego losie zdecydowała¹.

— „Czyż to było rozsądne, zagadnął ktoś ze star-

¹ Ludwik Wołowski należał do Szkoły Podchorążych i brał czynny udział w powstaniu listopadowem, a po jego upadku wyemigrował do Francji.

szych, w osiemnastym roku życia wiązać się przysięga, aby ochłonawszy później żałować kroku?"

— „Szczęśliwy jestem, odparł, i lża mu się zakreśliła w oku, z nieszczęście, przygód i z zapasów z życiem, które były wynikiem, jak się panu zdaje, owej przysięgi. Pamiętać proszę, że nic nie zostawia tak przyjemnego wspomnienia jak przeświadczenie spełnionego obowiązku. Życie wówczas tylko jest coś warte, gdy je możemy dla dobra zużytkować". — I opowiadając dzieje bohaterskiego poświęcenia (w 1830) wyglądał jak pieśniarz, roztkliwiony wspomnieniem przeżytej pieśni!

— „To tak się dawno stało, a pan to tak dobrze pamięta, wtrąciła jedna z nas".

— „Bo się prawdziwie żyło", odrzekł, dla niego zaś życie oznaczało przejmować wrażenia wszelkimi władzami i wyrzyc na płycie serca i umysłu wzniosłe uczucia, które się w czyny zamieniają.

Mówiono nam, że w wielkiej był zażyłości z Adamem Mickiewiczem, jako spokrewniony z żoną jego, oraz wielkim przyjacielem Zygmunta Krasińskiego.

O tym ostatnim słyszałyśmy zawsze, iż obdarzony darem intuicji już w dzieciństwie swoim odgadywał ludzi, a późniejsze wypadki przepowiadał.

Jedna z nas zapytała go tedy nieśmiało, czy rzeczywiście Krasiński mimo, że był poetą i przyzwyczajonym do kierowania się tylko wyobraźnią, sądził rzeczy tak na trzeźwo, iż z logicznego ich biegu mógł wywnioskować przyszłe wypadki, czy też miał

jakiś osobny do tego dar — rodzaju przeczucia, za pomocą którego wszystko przewidywał?"

Uśmiechnął się dobrotliwie i odpowiedział z powagą: „Mademoiselle" les latins appelaient les poètes des voyants, et ils avaient raison", łacini nazywali poetów — jasnowidzami i nie mylili się. I o darze poezji mówić zaczyna. „Dar to Boży, dar z nieba, kto dar ten piastuje i rozwija jest przewodniczącym duchem, jest jasnowidzem wśród ciemnej świata areny".

„Ale, mówi druga z nas, pan znał Mickiewicza, niech pan coś o nim powie?"

„Znałem go i uwielbiałem, bo nigdzie nie dostrzegłem takiej prawdy, ujętej w formę prostoty. Był dobry, niewinny jak dziecko, przy rozumie nadoświadczeńszego męża. Razem borykaliśmy się z życiem i razem dźwigaliśmy brzemię rodzinnych obowiązków. Mickiewicza Marynia miała wtedy lat parę, tyle co moja córka. Kiedyś zaszedł do mnie zadwolony, rozjaśniony, trzymając w ręku jakiś banknot.

„Masz, rzekł do mnie, musisz to schować, to tysiąc franków, pieniędzy w domu utrzymać nie potrafię, zawsze zajrzy do nas potrzeba ta lub owa, a tu trzeba być twardym na zachcianki teraz, mając obowiązki bliższe, więc ci przyniosłem pierwszy raz w życiu zaoszczędzony grosz, abys go trzymał dla mnie na czarną godzinę".

„A ja to oddam żonie do przechowania", odrzekłem. Mickiewicz śpiesznie mnie pożegnał dążąc do

Collège de France. Nasza mała córeczka siedziała przy mnie, przypatrując się obrazkom. Wtem zadzwoniono — poszedłem drzwi otworzyć, interesanta wziąłem do przyległego pokoju zostawiając dziecinę na parę chwil samą. W kilka minut potem byliśmy zebrani w bawialni. „Mam dla ciebie powiedziałem żonie, banknot Adama na tysiąc franków do przechowania, złóż go zaraz, bo to skarb przyjaciela“. Mówiąc to dojrzałem w przestrachu, że na biurku już nie leżał ów zostawiony przeze mnie papier wartościowy... Zaczynamy oboje szukać w gorączkowym niepokoju, spostrzegamy ze zdumieniem i bolesną zgrozą, że znikł w ręku dwuletniej córeczki, która jeszcze trzyma wycięte skrawki.

Była chwila istic rozpaczliwa, ale przykry wypadek stał się bodźcem do większej pracy.

„Cóż, rzekłem do żony, niema rady, trzeba tylko podwoić starania i zarobić ów stracony banknot; tylko trzeba by najlepszy z ludzi, Mickiewicz o tym wypadku nigdy się nie dowiedział“. „Nie troszcz się, odrzekł moja żona, Bóg nam dopomoże — niech nam tylko zachowa energję i zdrowie.

Bóg tę stratę powróci!

O, były to ciężkie czasy, i więcej niż ciężkie, bo trzeba było walczyć i o byt rodzinny i służyć idei!

A teraz przybywał dług nowy. Dzięki Bogu, Mickiewicz przez długi czas oń się nie upomniął, a gdy kiedyś przy pogawędce pałac fajkę Adam z prawdziwą ulgą w sercu przypominał sobie o tym depozycie, mogłem z najwyższym zadowoleniem, któ-

rego przyczyny się nie domyślał, odnieść powierzoną mi kwotę.

Ciężka to była ta walka, ciężka. Zdawało się nie-raz, że wszystko jest na dobrej drodze, tymczasem najlepiej, najsumiennie obliczona kombinacja okazywała się plonną.

I syzyfową pracę z dnia na dzień trzeba było rozpoczynać.

— Bo też taka trudna to nauka, której się pan poświęcił — ta ekonomja polityczna“, przerwała mowę jedna z nas

— Trudna, odparł, — a zarazem wdzięczna, bo to nauka nauk, jakby encyklopedia wszystkich, gospodarstwo społeczne.

Jest najpraktyczniejszą, bo uczy używania dóbr tego świata. Była wtedy w kolebce, dziś się rozwija, a we Francji uchodzi za nauk mistrzynię, za ich królowę.

— To chyba nie dla kobiet ta nauka, — wtrąca znowu jedna z nas. — Dlaczego nie, każda rzecz jest trudna i każda rzecz łatwą stać się może. Wszystko zależy od sposobu jej przełożenia. Czytałyście pannie i nawet wiem, że was zajęły moje broszurki „de la Monnaie“ i „du travail des enfans dans les manufactures“. (O monecie i o pracy dzieci w fabrykach). Wiem z tego co z ust waszych słyszałem, żeście pojęły wybornie kwestję tam wyjaśnione. W pierwszej książeczce udowadnia się doskonałość wymiany, za pomocą ogólnego środka monety.

W drugiej broszurce mówi się o wzięciu

w opiekę dzieciństwa, aby młody krzew nie ponosił ciężaru drzewa, aby się stopniowo mógł rozwinać i stać się drzewem użytecznym. Ekonomia polityczna jest więc ochronną w podwójnym celu, dla dobra jednostki i dla dobra ogółu. Dotyka wszelkich potrzeb, chce być nie tylko szafarką pracy, ale ogólną szafarką serca, umysłu władz duszy.

Ona też udowadnia, że kapitał czasu jest nieocenionym skarbem. Jeśli wolicie, wskazuje prawdę utartego zdania: czas to pieniądz. Tej nauce, ciągnął dalej Wołowski, która mi się wydaje syntezą wszelkich nauk, wynikiem nauk, poświęciłem całe życie — i tego poświęcenia nie żałuję.

Ale początki mego zawodu były więcej niż trudne. Dwa razy dla rozpowszechnienia naszych idei z Leonem Faucherem¹⁾ zakładaliśmy pismo, dwa razy musieliśmy je zwinąć ze stratą, dla braku poparcia przez ogół. I tak długo trzeba było iść pod wiatr przykrości. Nareszcie rządy drugiego cesarstwa ułatwiły nam wprowadzenie w czyn idei, którą by można nazwać najpiękniejszą tego wieku.

Była ona pomysłem księcia Aleksandra Drucko-Lubeckiego. Aby podnieść kongresówkę zubożałą wojnami Napoleońskimi i umóžebnić pracę na roli, stworzył Tow. Kred. Ziemskie. To samo Tow. Kred. głównie za pomocą dostarczonych funduszy ziomka mego hr. Ksawerego Branickiego założyłem

¹⁾ Leon Faucher, szwagier Wołowskiego, ekonomista słynny swego czasu.

w Paryżu, wzorując się na tym sławnym pierwowzorze. Instytucji tej zawdzięczam i moją popularność i nasz dobrobyt.

Łatwym, miłym i towarzyskim okazywał się Wołowski. Dla nas wydawał się wzorem najwyższej cywilizacji.

Rano w kościele widywaliśmy go przelotnie; później na wodach zawsze prowadził rozmowę, zajmującą dla towarzysza, bo za wymianę zdań płacił monetą złotą cennych uwag lub wiadomości; wieczorem znowu w eleganckim poobiednim stroju, zawsze z różą u pętlicy, w popielatym cylindrze, szukał kwiatów — rozmowy, z młodymi.

Uczył nas mimochodem — bez pedanterji, o wszystko potraçał. Wracając razem w noc gwiaździstą, mówił nam o niezliczonem ciał niebieskich królestwie, a potem od ogromów przechodziliśmy do świata atomów.

Z świata widzialnego przechodziliśmy do dziwów niewidzialnych i ogarniał nas rodzaj zachwyty, podziwialiśmy dzieła miłości Bożej.

Oto odbicie ulotnych chwil przepędzonych z Ludwikiem Wołowskim. Wiem, że cieszył się uznaniem nie tylko u rodaków, ale i w przybranej ojczyźnie. Francję kochał jak drugą matkę, — to też bolały go jej klęski, przejęty był kwestjami ekonomicznymi, — rezultatem wojny. Chciał zapobiedz złemu, znaleźć środki pieniężne; w tym celu pisał, konferował, pracował.

Na życie patrzył różowo i to go nie zawiodło. Wi-

dział dobro i zło, a choć zło czasem przeważa, on się tem nie zrażał.

Do końca życia dzierzył pióro. Zapał nie odstępował go nigdy. Przeszedł do wieczności, kochając: świat — ludzi — zostawiając nieskazitelne wspomnienie człowieka, który spełnił zadanie życiowe.

Umiał widzieć.

Umiał kochać.

Umiał pracować.

SYLWETKA WOŁYNIAKA

W Paryżu wśród emigrantów ciekawą i arcymilą była postać hr. Narcyza Olizara. Białą jak gołąb, czyściutko ogolony, trzymający się prosto. Dziwnie łagodny smutek przebijał się w głębokiem spojrzeniu jego ciemnych oczu. Może w pół uśmiechu rysującym się w kącikach ust, był i cień goryczy. Natomiast w wyrazie twarzy było jakieś dziwne bezgraniczne wyrozumienie i tęsknota bezbrzeżna, — nie do opisania. Lecz o tem nie mówił, widać, że czuł dostojęstwo bólu, — a rząd jego wewnętrzny był silny — i bronił przystępu do owego wewnętrznego królestwa. Na zewnątrz zaś starał się w miarę być rozmownym, pozornie wszystkim się interesował — umiał być aktualnym, i był, jak mówiono dawniej, łatwym gościem do zabawienia. Nie lubił mówić o kolejach, które przeszedł; były to minione chwile dla niego zanadto rozdzierające. Jakże było smutne to wegetowanie na beznadziejnym posterunku i dla byłego milionera uganianie się za pracą na chleb powszedni. A nieraz sobie przypominał, że krótkowidztwo i niedołęstwo swoich uniemożliwiły uda-

nie się projektu, który on sam podał rządowi polskiemu w 1831 r.

Senator Olizar, piastujący urząd kasztelana, będąc czynnym członkiem Towarzystwa Kosynierów, umyślił przeprowadzić organizację powstania Wołyńskiego. Sprawa której wróżyć można było całkowite powodzenie i która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, byłaby musiała się udać, na nieszczęście w samym zarodku została zniszczona. Odżałować nie można, że nie sam Olizar rządził, że brak sprężystości u władzy, którą zastał, zwlekania bez końca, zamiast czynu, ciągle bezowocne narady — wszystko sparaliżowało, zdaniem znawców ów plan idealny, — inaczej urzeczywistniony — stałby się nieprzewidzianą i znakomitą dywersją, zrobioną wojskom rosyjskim i ogromną pomocą dla armji Królestwa Kongresowego.

O tem wszystkiem milczał. W pamiętnikach tylko to opisuje i szczerym nad wyraz będąc ze sobą, radby część winy w tem niedołężnem prowadzeniu wziąć na siebie, z której czytelnik nieparteczny zupełnie go rozgrzesza.

Działalność jego na Wołyniu przygód jest pełną.

Kilka razy w więzieniu nie może sobie darować chwil wzruszenia wobec tych, którzy go wówczas otaczali i nie byli godni widzieć łzy, — gdyż na straży bólu, jak wyraża się Olizar, powinna stać duma męczennika patrioty.

W pamiętnikach jego jest ciekawa odyseja roz-

maitych przejść więziennych, osobliwie ostatni etap wzbudza zainteresowanie.

Dawniejszy ordynans hr. Olizara, późniejszy kamerdynier jego, Alzateczyk rodem, niejaki Krantz, prośbami i zaklęciami błagalnemi zmusza poniekąd pana swego do ucieczki.¹ Sam zaś ów wierny domownik zajął jako niby obłożnie chory łóżko kasztelana. Rosjanie wzięli Krantza za hrabiego Olizara i wysłali na Sybir. Tam się ożenił — i w kilka lat później, gdy poznano pomyłkę, wrócił z tego wygnania z dwojgiem dzieci i doznał gościnnego przyjęcia oraz otrzymał zajęcie w domu siostrzeńca hr. Olizara, hr. Mieczysława Przezdzieckiego. Tam cichy a nieznany bohater zakończył życie.

Pan Narcyz pędził życie czynne, żonaty po raz wtóry z Despotzenowiczówną pragnął swą pracą przyczynić się do zdobycia pewnego dobrobytu dla małżonki. Ślicznie malował, szczególnie widoki wołyńskie, — te bywały sprzedawane na wystawach i malarz dawał utrzymanie wygnańcowi, albo jak mówiono utrzymywał pisarza, — bo wcale nieźle kasztelan Olizar pisywał — kreślił z humorem obrazki w młodości pisane. Wyszły z pod jego pióra „Pamiętniki oryginała“ potem pamiętniki poważne z r. 1831.

Skończył sumienny i pracowity żywot w poznańskim w Sadach w 1862 roku, wówczas gdy wyda-

¹ Tu dodać trzeba, iż Olizar nie przewidywał bohaterskiego fortelu, na który się ów Krantz zdobył.

wało się, że znowu wolność zaświeci na ziemi polskiej.

Co najczęściej nas w nim uderza, to ten hart ducha, który mu nie pozwolił poddać się apatji i melancholji. On walczy z temi chorobami, ale je zwycięża, bo wierzy iż każda ofiara dla kraju to siew potrzebny — który w przyszłości setnym plonem Ojczyznę obdarzyć może. Chwila porywu jest krótka, ale poryw utrwalić, dać mu formę stałego, nigdy nie żalowanego poświęcenia, to prawdziwe bohaterstwo.

Cześć takim ludziom — oni są dźwignią ducha narodowego, im też zawdzięcza Ojczyzna lepszą przyszłość! Oni byli siewem Jej niepodległości.

POLACY WE FLORENCJI

Nad brzegami Arna, gdzie rozsiadła się urocza Florencja przebywali też nasi wygnańcy. Pod niebem włoskiem chronili się ci, nad którymi wróg chciał swą zemstę wyrzucić, a dołączali się do nich i dobrowolni tułacze, ludzie zamożni, szukający wytchnienia — zdala od kraju, od doliny łez, gdzie panowało prześladowanie.

Roger Raczyński, którego okoliczności polityczne zmusiły do wyjazdu, wraz ze swoją małżonką tworzył ognisko wielce patryotyczne — tam przebywała siostra jego żony, piękna pani Liza Przezdziecka wraz z małżonkiem, tam się chronił lirnik wioskowy — Lenartowicz. Ludzie oddychali miłością Ojczyzny i pocieszali się, że tak źle być nie może, iż jakoś to będzie. Polacy są optymistami. Radzono nad dolą wygnanej braci, choć nie przewidywano ciosów, które miały spaść na kraj cały, i tego, że męka półwiekowa będzie zapłatą odruchu za wolnością; wierzono zawsze, iż kiedyś zawitać musi niepodległość.

Teofil¹ Lenartowicz był naprawdę wybranym duchem, dobrze nosił swe imię, będąc lubownikiem rzeczy Boskich na ziemi i poetą w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Odtwarzał on bowiem każde piękno, które umiłował, oddawał każdy dźwięk wzbudzający współczucie — ale bynajmniej nie od-ruchowo — w pełni władz ducha. Teraz nie mamy czasu zatrzymywać się nad sylwetką, o której reminiscencje notuje się osobno. Witamy go przelotnie, jako jednego z tych duchów, którzy najwięcej umiłowali Tę „co nie zginęła“. Był rzeczywiście jednym z tych, co w świecie Ducha ciąglem miłości nawoływaniem, przyczynili się do złożenia dla niej niespożytych skarbów, dających wiarę, nadzieję i otuchę do przetrzymania chwil gorzkich beznadziejnego stanu.

Robią Lenartowiczowi zarzut, iż nie był orłem, ale nie wszyscy są powołani do stanu orlego. On był Bożym skowronkiem, zachęcającym rolnika do pracy. Nie kuł posągów ze spiżu, ani z marmuru, ale umiał jak ongiś Lucca della Robbia z prostej gliny tyle wydobyć efektów, których sam nie szukał, oddając prawdę w jej słonecznym blasku.

Miły był w obcowaniu, chociaż niezwykle, bo lubił się wpatrywać z serdecznem zaciekawieniem. Gospodarz domu sprawiał mu najmiłsze wrażenie. Bo też to był człowiek niepospolity — ten pan Roger Raczyński. Pamięć fenomenalna, rzutkość nad-

¹ Teofil znaczy po grecku — lubownik rzeczy boskich.

zwyczajna — głębia myśli niesłychana, a zarazem trzymał się przy niej dowcip pełen werwy. Na biedę ludzką, bez rozrzewnienia patrzeć nie mógł — a gdy pomagał, to miał iście sposób rycerski dawania odrazu ile tylko mógł, najczęściej więcej niż mógł w najdelikatniejszej formie.

Pisał ciągle i ustawicznie gromadził materiały, z których miało powstać wielkie dzieło poświęcone nowożytnej filozofji. Fragmenty onego dzieła zostały złożone wolą zapisodawcy u jego szwagra Margrabiego de Noailles. Dla rozrywki lubił zajmować się kuchnią, występował w roli kucharza, wymyślając sosy historyczne, filozoficzne, do codziennych potraw, a częstując nimi przyjaciół zaprawiał wszystko solą atycką i niezrównanym humorem.

Państwo Raczyńscy podejmowali liczny zastęp gości. Żona jego Konstancja była osobą niepospolitą, może dlatego, że ta niepospolitość była dla niej „terra incognita“ i że miała się tylko za kandydatkę do kraju Idealu. Ignorowała, że już oddawna go zamieszkiwała. Obcowanie miała pełne prostoty, patrzyła bystro, dociekliwie, może trochę ostro, jeno uśmiech łagodził oną ostrość, która była tylko natężeniem nie tyle wzroku fizycznego, ile przedewszystkiem duchowego. Jej mąż był słońcem — z taką przyjemnością mówiła o czarze jaki jego umysł wywierał i o większym jeszcze, który się odczuwa, patrząc, jaki jest dobry. Cała Polonia tam się schodziła, Sapiehowie, Radziwiłłowie. Kto tylko do Florencji zaglądał, musiał przestąpić progi tego salonu

i zająć się sprawą pro publico bono, to jest tem, co leżało na sercu — o Ojczyźnie pomówić, o sposobie pomagania ziomkom.

Na jednym z takich wieczorów zdarzyło się dziwne spotkanie. Pewnej niedzieli, wśród licznych gości zjawilo się indywiduum nawpół dziko wyglądający, broda długa, suknia plugawa, jak zbój z balady Mickiewicza, przytem wzrok utopisty, niebywała tusza. Był to sławny socjalista Bakunin.

Uderzony tą dziwną fizjonomją, książę Dino — wielki dworak, wytworny, którego piersi zdobiły dekoracje rozmaitych dworów, zbliża się do gospodarza i pyta się po cichu „skąd się wziął ten bandyta?“ Zanim hr. R. zdołał odpowiedzieć, ów bandyta odciągnął go na bok gwałtownie, wołając z wyrzutem: „Skąd się ten szpieg wyrwał?“ Nie mamy czasu w krótkiej pogawędce zatrzymywać się nad Bakuninem. Zjawił się we Florencji, po długiej wędrówce poprzedzonej ucieczką z Syberji. Tam przeżył kilka lat w katordze, później zostawszy w tych stronach osiedleńcem ożenił się z polką sybiraczką, urodzoną z rodziców Polaków na Syberję zesłanych. Pani Bakuninowa była bardzo przystojną, bardzo białą z dziwnie podsiniałemi oczyma.

Mówiono, że ta cera i te sine oczy były właściwością klimatu, w którym się urodziła i wychowała. Opowiadała ona naszej nauczycielce, że oboje z mężem innemi drogami uciekali. Miała wszystkie adresy i wskazówki dokąd i do kogo się udać. Całą Europę przejechała zanim się dowiedziała, — zdaje

się w Kopenhadze — że jej mąż szczęśliwie zbiegł przez Chiny i że Hertzen, wódz rosyjskich socjalistów mieszkający w Londynie, ma jej dać stosowne informacje, gdzie należy go odnaleźć. Ponownie więc tam jedzie, nareszcie nie pamiętam, czy we Włoszech, czy we Francji, łączy się z mężem. Przybyli wtedy do Florencji. Bakunin szukał gruntu nie do budowania, ale raczej do burzenia. Ta rosyjska partja socjalistyczna chciała dowieść Polakom, że im nietylko sprzyja, ale z całej duszy jest oddaną. Przekonano się potem, że Hertzen i Bakunin Polskę uważali jako dogodne narzędzie. Chcieli się nią tylko posługiwać.

Na tych zebraniach starsi rozmowę prowadzili o kwestjach społecznych, dzieci i młodzi zabawiali się w sekretarza, do którego bardzo często przyłączali się przedstawiciele sztuki i literatury. Była to zabawa umysłowa, rozrywka z pożytkiem — bo rozum nie gnuśniał, dowcip się zaostrzał.

Pan Teofil z panem Rogerem najserdeczniejszą byli związani przyjaźnią. Hr. R. z tą duszą ognistą, która rozum zapalała entuzjazmem, poetę uwielbiał, Lenartowicz zaś oceniał go, najsubtelniej szlachetność rozumiał — stąd do nikogo nie miał tyle zaufania, co do niego. Ta przyjaźń była podnietą do życia dla poety i rodzajem podpory w trudnych warunkach. Te chwile razem spędzone — to jak oaza w życiu Pana Teofila. Hr. R. było pilno skończyć dzieło rozpoczęte o filozofji wszechświata, wyruszył do Paryża, aby je uzupełnić i dopilnować wydania.

Żonę zostawił we Florencji i syna, dom cały i wedle projektu miano się spotkać w maju. Tymczasem cios niespodziany spadł na rodzinę. Hr. R. nagle zachorował, a choroba odrazu okazała się śmiertelną. Żona i syn powiadomieni nie zdołali na czas przybyć. Dowiedzieli się tylko, że Bogu ducha oddał z Nim zespolony w najwyższych uczuciach chrześcijańskiej miłości. Zgon przedwczesny tego człowieka był wielką stratą i dla rodziny i dla społeczeństwa. Ta śmierć niespodziana była ciosem dla wdowy, dla syna. Dla kraju był to ubytek siły żywotnej i hojnej.

Kolonja polska we Florencji jeszcze się rozszerzała. Przebywali tam pp. Orpiszewscy — ona Wodzińska z domu, pierwsza miłość króla Muzyki, i króla Poezji. Na tych wieczorach Polonji u hr. Karolostwa Przezdzieckich, gdzie i dzieci również zaczynały być dopuszczane, często zasiadała do fortepianu pani Orpiszewska, gra jej była poezją wytworną, subtelną, pełną finezji, to też cicho sobie szeptano, że Marja z Wodzińskich była pierwszą miłością Szopena i najlepszą jego uczennicą. Więc nie dziw, że dźwiękami tak czaruje. Przypominano sobie, że kiedyś i Słowacki był pod jej urokiem i przyglądano się ciekawie tej, która „patrzała okiem co widzi”. Niestety śladów piękności nie było... być nie mogło, gdyż nigdy ładną nie była, tylko w wyrazie twarzy widniała cecha roztropnej dobroci. Postawę przy słusznym wzroście miała pełną dostojeństwa i powagi. Mąż jej pan Władysław Orpiszewski był naj-

milszym z dyletantów i może najlepszym i najbardziej skupionym ze słuchaczy. Z takiego słuchacza cieszył się nasz poeta, który czytając swe przepiękne i miłością Ojczyzny przepełnione poezje lubił znajdować echo wśród rodaków. Nie pochodziło to u Lenartowicza z samolubstwa: chciał, ażeby zrozumiano myśl, odczuto jego własne uczucie. Teofil — mówiła pani Lenartowiczowa — wtedy czytać może, gdy czuje, że będzie pojęty, że się odzywa do serc bratnich. Pani Lenartowiczowa z Szymanowskich, siostra przyrodnia matki Celiny Mickiewiczowej, zmuszoną została przez kolonję polską do przestąpienia jej progów. Na kilka lat przed powstaniem przybyła z Warszawy do Włoch dla kształcenia się w malarstwie. Miała zamiar poświęcić się sztuce. Pan Teofil poznał artystkę, nastąpiła bliższa znajomość, wspólny afekt i związek małżeński zawarty między poetą i malarką stał się dźwignią wzajemnej pracy. Ona to miała w fizjonomji wyraz męski, — czuć było niepospolitą siłę ducha, która żadnej słabości nie ulega. Stracili pp. Lenartowiczowie ukochanego synka Jasia przy ząbkowaniu, ona, która każdą radość jak boleść umiała odczuć podwójnie, musiała zapomnieć o sobie, stać się pielęgniarzką duchową i fizyczną Teofila, którego ten cios był złamał.

Nie mógł pisać, był w takim stanie rozstroju, ten ból stał się dlań mistrzem rzeźby; tylko wieczorami odczytywał utwory, spowiedź w Cytadeli, i inne na czasie, które łzy wywoływały u słuchaczy.

Pamiętam, że czytał „Naszą dolę“, obrazek powstaniowy, którego treści nie przypominam sobie, wiem, że się bez końca nad tem płakało. Wkrótce ożywił te wieczory inny żywioł, — żywioł czynu, generał Bosak (hr. Hauke), Bosak, znany wódz powstaniowy — ów co najświetniej dotrzymywał słowa Napoleonowi, bo przetrwał rok prawie, a broń złożył dopiero, gdy zabrakło ludzi, amunicji i wtedy na gorzki poszedł chleb wygnania, niewolę caratu. Bosak był pełen werwy i animuszu — postać miał wielce charakterystyczną. Patrząc nań przychodziło na myśli, iż był rezultatem wieków swobody. Czoło wymowne, szerokie, męzne a silne, oczy o mocnem spojrzeniu — postać marsowa o łagodnym wyrazie. Przed jego ujrzeniem, jakie to były u nas dzieci zapaly i entuzjazmy — bohatera się zobaczy; a ów bohater wcale na trójnogu nie siedział, mówił i obcował z ludźmi, ot, tak sobie, jak zwykły człowiek.

Schodzili się państwo Bosak na te wieczorki wśród kolonji polskiej. Ona postać wysoka i dorodna, pełna uroku i dystynkcji, ślicznie grająca na fortepianie. Szkoda, że nikt wówczas nie zapisywał tego, co się od niej usłyszało, że dopiero po latach tyłu wydobywa się to, co przechował fonograf pamięci.

Bosak, mówiąc po polsku, miał akcent bardzo rosyjski. Opowiadał, że wychowany w Petersburgu, nic o prawdziwej Ojczyźnie swej nie wiedział i dopiero to, co krótkowidze zwą przypadkiem, daleko-

widze kierunkiem Opatrzności, uczyniło zeń potrjotę. Gdy przyjechał w jakichś służbowych interesach na Podole, — był bowiem oficerem rosyjskim, — zetknął się z polskością, zbudziła się w nim struna dotąd mu nie znana, — pojął, że jest Polakiem i że ma obowiązki względem prześladowanej ojczyzny... i miłość się zrodziła dla ojczyzny w kajdanach. Uczucie to, jak opowiadał, zostało wywołane śpiewami patryjotycznymi. Ten śpiew rozbrzmiewał głosem młodych panienek, w domu, gdzie gościł — a w jednej z nich — w terażniejszej swej żonie nasz bohater przyznawał, że nie tracąc czasu zakochał się po uszy. Nastąpił ślub, a wkrótce po nim rozłąka... zrzucił zniechędzony mundur, stał się owym sławnym, legendowym, niezwyciężonym generałem Bosakiem.

A tam różnie się działo, to lepiej, to gorzej, ale ciągle brzmiała rada napoleońska wytrwać i wytrwać się potrafiło.

Bosak nadzwyczaj skromny, słysząc pochwały rodaków nad tem, jak potrafił przy tej słabej garstce trzymać nieprzyjaciela w szachu dodawał: „Łaska Boża, miałem szczęście“. Rzeczywiście zatarto się to w pamięci, ale generał Bosak do 10 miesięcy nie tylko się ostro trzymał, ale szczęśliwie na nieprzyjaciela napadał i wyrobił sobie u nich miano niezwyciężonego. Pozostała garstka, nie chcąc się poddać, musiała się rozsypać i dotrzeć do granicy.

I zrozumieć nie mogli dlaczego ten wódz nie zwyciężony, zamiast w tak trudnych warunkach

walczyć, nie wołał przy tak wielkich stosunkach zrywać laurów w służbie cesarskiej.

Bosak był bardzo wyrozumiały — miar dar być zgodnym. „Jakże, mówił — napadać na ten lub ów stan, wszędzie ludzie dobrzy i niedobrzy — i wśród chłopów i mieszczan — i wśród obywateli i szlachty i magnaterji; — kasty złej niema, ludzie bywają wszędzie zepsuci — ale trzeba od zepsucia chronić, dając dobry przykład“. Z dwoma księżmi przybyłymi z powstania ks. J. Drohojowskim i ks. Wołyńskim, zapalonymi patriotami, toczyły się te rozmowy. Pełen wiary w przyszłość wybrał się do Garibaldiego do Capri w odwiedziny, bo uważano za pioniera Wolności i Swobody, a Mickiewicz mówił: że gdzie tylko o swobodę walczą — tam jest miejsce Polaka. Więc nic dziwnego, że chciał powitać i uczcić szermierza swobody.

Na przyszłość miał Bosak rozmaite plany — chciał koniecznie zostać artystą malarzem i myślał, że tym zawodem zdobędzie dla rodziny, którą założył, chleb powszedni. Niedawno z takim trudem z żoną się byli złączyli. Krewnym będąc ludzi zamożnych, osiadłych na książęcych tronach, straciwszy mienie, od tych możnych tego świata nie mógł zasięgnąć pomocy, bo tam dla swego heroizmu, dla swego poświęcenia był źle widziany. Dobra żona — męża korona — umiała dumnie znieść wieniec niedostatku, spowity kwiatami miłości Ojczyzny, nigdy się nie skarżyła i nikt nie mógł się domyśleć, jak życie w tych warunkach mogło być trudne. Ona lu-

dziom tylko róże pokazywała życzliwości i przyjaźni — ciernie zaś zakrywała i zachowywała dla siebie.

Wraz z Garibaldim pośpieszył Bosak, jako rzecznik swobody, do Francji i tam granat przeciął mu w r. 1870 nić życia.

Życie poświęcał dla kraju — zapisał je złotemi zgłoskami na płycie historii — czeka tylko, aby je nowy Askenazy uwiecznił.

Bosak był pełen animuszu i rzadkim objawem energii życiowej. Miesiące walki nie zużyły jego żywotności, wierzył, iż to świadectwo krwi nie będzie bezowocne, że się kiedyś przyda. Patrząc w przeszłość rozumiemy teraz, że nadszedł plon krwawego posiewu i mówić możemy, iż winy ojców odkupywaliśmy krwią i łzami i że straciwszy Ojczyznę, myśłą, słowem i czynem żyło się, aby ją na nowo zdobyć poświęceniem. Te trochę wspomnień przeszłości wykaże może, iż na obczyźnie Polska w swoich dzieciach żyła, bo w tej galerji typów każdy żywym był świadectwem czci i miłości dla tej idei — przedstawiał te ogniwa ciągle łączące przeszłość z przyszłością, gdyż błędów się wyrzekając, chciano współuczestniczyć w prawdziwej idei Polski, w jej powołaniu, by zajęła przeznaczone jej przez Opatrzność wśród ludów miejsce *Rycerza sprawiedliwości*.

KILKA SŁÓW O LENARTOWICZU

Lenartowicz był w sile wieku kiedyśmy go poznali. Widywałyśmy go nieraz przelotnie w r. 1864 u naszego wuja Rogera Raczyńskiego, w salonie bowiem zjawiał się na krótko i zaraz przechodził do gabinetu gospodarza, gdzie zamknięci obydwaj na godzin kilka toczyli ważne rozprawy, dla nas dzieci niedostępne. Mówiono nam, że to wielki poeta polski. Ciotka powtarzała, że powinien on mieć dla Polski to samo znaczenie co Lamartine dla Francji. Oczy dzieci patrzyły nań ciekawie, chcąc sobie uświadomić, jak też poeta wyglądać może. Wydaje się zawsze, osobliwie w młodym wieku, że coś z twórczości wewnętrznej uwydatniać się musi na zewnątrz. Dlatego to wzrok tak skwapliwie uchwycić pragnie wszystkie cechy niepospolitego osobnika. Odnajduję te wrażenia złożone w skarbcu pamięci w starej tece, gdzie się przechowują wspomnienia z dwóch zim, przepędzonych w dzieciństwie w uroczej Florencji.

Miasto kwiatów rozłożyło się nad Arnem, okolonem malowniczymi wzgórkami, na których ręka

ludzka wzniosła budynki tak dobrze z tłem zharmozowane, jak n. p. kościół i klasztor San Miniato, że niewiadomo czy tło dla nich zostało dobrane, czy też się one do niego dostosowały. W grodzie tym piękno tak wszędzie wszystko otacza, że niem oddychać trzeba, to też się z niem zespalamy tak ściśle, iż niepodobnem nam się zdaje móc obcować z brzydota.

Wyciagniemy tedy z teki owej portret naszego poety.

Wysoki, barczysty, w czarny, najczęściej welwetowy żakiet odziany, co uwydatniało jeszcze bardziej śniadość oblicza, przypominał z postaci renesansowe portrety. Zarost krótko w szpic ostrzyżony, czaszka prawie, że z włosów czarnych оголоcona, niezwyklej objętości, czoło jasne, pod którym się chroniły wydatne brwi krucze i ciemne, głęboko osadzone oczy. Żrenice umiały patrzeć ciekawie, a nawet intensywnie, nos prosty, grubością nie raziący, wyrażał pewną logiczność, usta o subtelny rysunku zapowiadały, że wszystko odczuć i wysłowić mogą. Broda zaokrąglona, na której widniał czarny zarost uwydatniała silną wolę. Spojrzenie jego pełne było wdzięku i przyciągającej siły. Był to niby słodki nacisk na słuchacza, do którego przemawiał, by wejść do domku jego ducha, a zwłaszcza podczas odczytywania głośnego wierszy swoich chciał tym wzrokiem niejako zniewolić audytorjum do współżycia z nim przez chwil parę, dla zrozumienia jego myśli i wzniesienia się z nim razem do

niewidzialnej, nienamacalnej, ale odczutej dziedziny Wiecznego Piękną.

Czasem znowu uśmiechał się figlarnie ze szczerością dziecka z doświadczeniem znawcy, który komizm spostrzegał w każdej niezwyklej sytuacji. Całą gamę uczuć posiadał ów barczysty człowiek, liryzm pochodzący z rzewności — wesołość mającą ujście w dowcipie okraszającym jego rozmowę. Miał zawsze trafny sposób ujęcia komicznych stron życia, określając je jednym dobraniem słowem. Patrzałyśmy na poetę, jako na twór osobiwy i ze wszechmiar ciekawy. On miał dla nas spojrzenie łaskawe i pełne życzliwości. Takim się nam ukazał w 1864 roku gdyśmy go ciągle spotykały w mieszkaniu państwa Rogerów Raczyńskich. Nie wiem czy słuchy doszły, że Lenartowicz żonaty, czy się tego domyślano. Wiem, że ten problem rozwiązała nasza matka, radząc zaraz przytem, aby się zapoznano z małżonką poety. Pamiętam przelotnie tylko chwile, gdzie i nas zabrano do państwa Lenartowiczów i gdzieśmy widziały jak malutkiego Jasia, będącego jeszcze u piersi, poeta brał na ręce i z uмиłowaniem nosił, pieścił, a gdy patrzył z uśmiechem na dziecięcą widać było, że trzyma swoje osobiste, prawdziwe szczęście. Pani Lenartowiczowa była dobrą malarką, wisiały ładne jej portrety. Poety podobna była doskonałą. Jej zaś z wizerunku poznać nie było można. Te parę lat zmieniły sposób uczesania, jak mówiła i stąd różnica. Myślę, iż raczej jej wyraz został przeistoczony. Zamiast jak w obrazie cze-

goś w nim niedomówionego w łagodnym wzroku ciekawego zapytania o przyszłość, patrzyła prosto i silnie, jak mówi poeta, „by prosto i jasno przed narodem stać“. Przy mężu wydawała się światłą prozą starannie i z precyzją wykończoną. Mówiła książkowo; w mowie jej bowiem nie brakowało ani przecinków, ani średników, nawet nawiasów. Wzrostu średniego o piwnych oczach, drobnych rysach i małej twarzy, uszłaby wśród tłumu niespostrzeżenie. Nic wydatnego w tej postaci nie było. Lecz gdy się tylko odezwała swym metalicznym, a nie krzykliwym głosem, mogła ściągnąć uwagę. U niej próżnych słów nie było, każde miało mądre znaczenie, było celowem zapytywaniem, lub światłą i dobitną odpowiedzią. Kontur rysunku tej niepospolitej osobistości, może był trochę za ostry — ale śmiały i pełen wyrazu.

Po przebytej zimie, gdzieśmy jako dzieci przelotnie widywały te starsze osoby, — śmierć prawie nagle skosiła pana Rogera Raczyńskiego, moja matka pojechała do Paryża do siostry. Latem byłyśmy nad morzem. Państwo Teofilowie wyjechali z Jankiem. Polonia we Florencji się rozeszła. Ściągnęliśmy do Florencji jesienią. Państwo Lenartowiczowie doznali strasznego ciosu. Wracali bez Janka. Dzieciatko przy ząbkowaniu dokończyło krótkiego żywota. Lenartowicz był niepokieszony. Innym zdawał się być człowiekiem.

Przybyło mu ćwierć wieku, tak postarzał go ów ból serdeczny. Pani Lenartowiczowa niemniej cier-

piała, starała się jednak od tej pory być żyjącem „sursum corda“, nie dając się żalowi opanować.

— „Teofil — mawiała (między nami nigdy inaczej się o nim nie wyrażając) — pisywać nie mógł, zabraniał mu tego lekarz, zanadto go to rozrzuwniało, wieczorami dawałam mu lekcje rysunku, niezwykle okazywał zdolności, a pewien nasz znajomy rzeźbiarz odwiedzający go niekiedy, widząc, jak sztuki plastyczne lubi, jakim jest ich znawcą i miłośnikiem przyniósł mu pewnego razu trochę gliny, aby pod jego kierunkiem coś lepił — ot tak dla rozrywki. Ta pierwsza robota tak mu się znakomicie udała, że zachwycił swego mistrza, który przekonał się, że Teofil chwytą podobieństwa i jest w stanie wykonywać w rzeźbie medaljonowe portrety. Obecnie chciałby mieć przyjemność uwiecznić swych rodaków, byłoby to dla niego doskonałą wprawą, za fatygę pozowania z przyjemnością każdemu pozostawi medaljon odlany z gliny, wyrzeźbiony profil w gipsie, w razie zaś, gdy ktoś nie będzie z roboty zadowolony, Teofil zachowa wizerunek nieudany sobie na pamiątkę“. — Sprawę tę zacna kobieta polecała mojej matce, również i naszej nauczycielce, aby tą drogą pracy rozrywkowej ułatwić poecie powrót do zdrowia. Jakoż rzeźba stała się dla Lenartowicza skutecznem lekarstwem, zajęcie to uspokoiło jego system nerwowy, dając mu zarazem możność zbliżenia się do sympatyczniejszych mu członków kolonji polskiej.

Na takich posiedzeniach zawiązała się przyjaźń

między nim a Sołtanem. Pan Sołtan wówczas przebywający we Florencji, jako były powstaniec i emigrant, był synem Adama Sołtana, jednego z najserdeczniejszych przyjaciół Zygmunta Krasińskiego. Ów czysty, nieposzlakowany charakter, zupełny brak żalu za utraconemi w powstaniu rozległemi dobrami, zadowolenie sumienia ze spełnionego obowiązku, poświęcenie dla idei, wszystkie te cechy wzbudzały uznanie i szacunek u poety.

Lenartowicz, sam żyjący ideą ukochał ją i tworzył dla niej; miłował szczerze lud, wcielał się tedy w widziane w młodości obrazy, niektóre ozłacał pendzlem wyobraźni, jak „Wiochna“, „Błogosławieni“, „Zachwycenie“, „Jagody“, te utwory bowiem brały początek z owej miłości wielkiej, która je wszystkie opromieniała. Wydaje mi się, że w poezji naszej przypomina on Lukkę Della Robbia, twórcę najwdzięczniejsze arcydzieła z prostej gliny, postacie wdziękiem prostoty i szczerego uczucia przemawiające.

Choć wówczas pisać nie był w stanie, wszakże na prośby rodaków w dobranem ich gronie odczytywał swoje dawne wiersze. Czynił to w osobliwy sposób. Podnosząc oczy przy czytaniu wpatrywał się w jednego ze słuchaczy, jakgdyby pragnął go przeszyć wzrokiem i uświadomić sobie jego uczucia i myśli.

Pamiętam, że tak się wcielał w opisywane przez siebie postacie, iż czytając wiersz ulotny „Stary Józef skrzypki stroi“, wymawiając refren każdej

zwrotki „Stary Józef skrzypki stroi“ miał lzy w oczach, tak się rozrzewniał nad niedolą pogodnie znośną owego starego Józefa. Czy sobie tę postać przypominał, czy utworzywszy ją w wyobraźni tak ją sobie upodobał, niewiadomo.

Większość słuchaczy wydziwić się nie mogła wzrokowi poety szukającemu uznania i rozrzewnienia nad własnym utworem. Po latach wielu dopiero rozumiem go.

Lenartowicz był indywidualnością nie zamkniętą w sobie, szukał współczucia i swoje wymarzone postacie obdarzał realnem życiem, rozczulał się nad ich dolą. Była to natura nadwrażliwa i przeczulona w stosunku do każdego przejawu piękna. Kiedy pani Orpiszewska (Marja Wodzińska) zasiadła do fortepianu, stającego w narożnym kącie salonu, poeta, promieniał wielkiem szczęściem...

Wcielał się w melodię, którą słyszał, wchłaniał ją, i dośpiewywał w duszy. U siebie w domu był najgościnniejszym z gospodarzy. Pokazywał nam drogocenną księgę z pamiątek złożoną, zwaną „silva rerum“, gdzie widniał autograf Mickiewicza — słowo Juliusza, kilka listów Bohdana i jeszcze innych dostojników literatury i nauki, a to wszystko chował z prawdziwym pietyzmem. Pani Lenartowiczowa, wobec ciężkiego stanu męża, czynność swoją podwajała. Była zarazem Martą i Marją — wychodząc rano czyniła potrzebne zakupy. Po rannem przygotowaniu śniadania, szła na lekcje, które dawała wśród kolonji Polskiej, rysunku, języków i muzyki.

Bardzo dobrze grała przyrodnia siostra pani Celiny Mickiewiczowej (z domu Szymanowska), trochę może sucho, ale zawsze z rytmem w zgodzie. Wpadała, do domu, ażeby na prędcie Teofilowi befsztyk usmażyć, i biegła znów albo na lekcję, lub by malować z natury jakiś obstalowany portret. Wracając do mieszkania, aby zająć się obiadem, a później wieczorem, żeby rozerwać poetę, lubiła go zaprowadzić na gawędkę do której z rodzin rodaków, chrońących ciężar ciężkiej dla Polski doli w uroczej Florencji. Miała zmysł pedagogiczny, i jej wykład był doskonały, zwięzły i gruntowny. Trochę przy końcu lekcji, zwykła była rozmawiać, wtedy z naszej strony dochodziły pytania o Mickiewicza. Żywiła dla niego prawdziwą cześć i bezgraniczne uwielbienie. „Osobliwą — mawiała — miał we wszystkim dystynkcję. Każde słowo, ruch każdy był objawem szlachetności wewnętrznej. Nigdy nie zapomnę jego nagłego wyjazdu, tu lzy zaświeciły w jej źrenicach, — wyjechał od nas w piątek i 13-go żeby nie wrócić; darmośmy, ja, starsza córka Marynia, i dzieci prosiły, żeby się tego dnia nie puszczał w drogę, nie chciał na to uważać. Ta data została zapowiedzią nieszczęścia“.

Późną jesienią zjawił się we Florencji generał Bosak, bohater powstania. Przyjechał z młodą żoną jako emigrant. Lenartowicz zbliżył się do poety do czynu i wkrótce bratnia przyjaźń zakwitła między tymi dwoma ludźmi. Poeta, który był myślicielem studiował wyraz twarzy i każdy ruch wojaka. Przy-

jażn została zawarta w imieniu idei, była więc opartą, na podwalinie trwałości. Teofil zazwyczaj pragnął, aby Poeta Czynu jak najwięcej opowiadał, chciał zawsze coś usłyszeć o bojach, o smutkach, o nadziejach rozwianych. W duszy zaś jego rysowały się wrażenia, które potem przenosił na lutnię.

Było to genezą niektórych wierszy z owych czasów, a potem większego poemaciku „Nasza dola”. A po śmierci Janka pierwszy wiersz, który strokany jego ojciec napisał, powstał dla uczczenia Bosaka.

W drugą rocznicę powstania, medaljon z gipsu składką rodaków odlany w bronzie, miał być z owym wierszem wypowiedzianym przez twórcę, ofiarowany bohaterowi...

Dnia tego w gościnnych salonach hr. Dzieduszyckiej, osiadłej we Florencji, której córka wyszła za męża za Włocha p. Capelli'ego, zebrało się dość Polonji. Państwo Karolostwo Przeddzieccy z dziećmi. pp. Orpiszewscy, pani to owa sławna Marja z Wodzińskich, która niegdyś była natchnieniem poety tonów i poety słowa. Państwo Sierakowscy z północnych stref Polski, księża powstańcy Drohojowski i Wołyński, i kilka innych osób, których już dziś nazwisk nie pamiętam. Skoro się wszyscy zeszli, poeta zagaił uroczystość. Zbliżając się do Bosaka powiedział mu — ofiarowując odlew imieniem rodaków — ów piękny wiersz, którego dotąd nie wydano i który tu przytaczamy.

Silni poczuciem naszej świętej sprawy,
Zawsze gotowi uczcić czyny męstwa.
Myśmy pragnęli wśród wolnej Warszawy,
Twe czoło laurem ozdobić zwycięstwa.
Tam Cię powitać mieli, Generale,
Twoi rodacy, twojej sławy świadki.
Niezliczonego tłumu wrzące fale,
Starce i dzieci, rozczulone matki.

W pośród powodzi kwiatów, łez, wesela,
Jakiżby zachwyt opromieniał lica,
Gdyby swojego brata i mściciela.
Ujrzała wolna, powstańcza stolica.

Zda się, że słyszę z okrzykiem legionów,
Zmartwych-powstałych niby tchnieniem cudów,
Wśród błogosławieństw, przy odgłosie dzwonów,
Imię Bosaka, grzmiące w ustach ludu.

I orzeł biały w zwycięskim polocie,
Nad promienistą skronią bohatera,
By dać świadectwo zasługom i cnocie,
Swe nieskalane skrzydła rozpościera.

Lecz czylim we śnie? Czy mnie oko myli?
Ciebie to widzę obrońco swobody?
W najokropniejszej doświadczenia chwili,
W tułaczem gronie, wśród obcej zagrody?

A gdzież są nasze powstańcze zastępy?
Na ich wspomnienie krew ścina się w żyłach.
Hordy tatarów, jak złowrogie sepy,
Na ich chwalebnych uczują mogiłach.

Ojczyzna nasza w płomieniach i dymie,
A grom po gromie w pierś naszą uderza,
Zatarte nawet będzie Polski imię,
Taki jest wyrok świętego przymierza.

Ale na próżno zbrodnia, szyszac z Boga,
Chce zgładzić ślady wiekopomnych czynów,
Polska nie zginie — dopóki na wroga,
Wydawać będzie takich jak ty synów!

Czuwajmy tylko z tą niezłomną wiarą,
Że wkrótce naszych praw nikt nie zaprzeczy,
Że przemoc, piekła, z swą potrójną marą.
Zginie w ludowej ostatecznej sieczy!
I dla wygnańców zabłyszczą nadzieje,
Jako Bożego tryumfu oznaka,
Gdy na sztandarach ludów zajaśnieje,
Szlachetne imię dzielnego Bosaka!

Po odczytaniu pięknego i podniosłego wiersza, po uścisku poety myśli z poetą czynu, wszyscy obecni zbliżyli się do generała Bosaka hołd oddając chwalebnych dni w walce, w nadziei, że miecz w pochwie długo rdzewieć nie będzie i że znów go wydostanie dla wydobycia Ojczyzny z niewoli.

Nastroj był ciepły, uroczysty i pełen zarazem prostoty.

Lenartowicz w podniosłem był usposobieniu, przedstawiał rozanielonego rycerza myśli i słowa. On każdą mowę piękną rozumiał, to też gdy uproszono panią Orpiszewską, aby zasiadła do fortepianu, śpiew duszy Szopena, wydobyty przez nią z instrumentu, rozrzewnił go bezmiernie, a tryumfalny polonez szlachetnego pochodzenia Polski, kroczący gościńcem Prawdy, uniósł go krótkotrwałym szczęściem, bo tą chwilą podniecony cieszył się misją swego narodu.

Coraz częściej ukazywał się Lenartowicz w domach polskich — przebywał to u państwa Karolostwa Przeddzieckich, to u państwa Orpiszewskich

lub u Hauków, a zawsze go proszono o czytanie jego utworów.

Pamiętam ów sławny wieczór u państwa Przeddzieckich, gdy miał czytać dłuższy poemat, „Nasza dola“. Scenę tę mógłby być rysunek Grottgera upamiętnić. — Nie pomnę już treści tego obrazka powstaniowego, — wiem, że był nader smutny i że wszyscy łzy mieli w sercach, a niektóre osoby na dobre się rozplakały.

Pan P. — bardzo zresztą miły i dobry człowiek, — spóźnił się na zebranie. Uchyliwszy tedy drzwi, prowadzące z sieni do salonu, niespostrzeżenie słuchał a potem pocichu wszedł. Był to człowiek spostrzegawczy, u którego rozum zboczył w stronę ironji. Trochę sceptyk, zawsze podejrzewał o brak szczerości we wszystkich wzruszeniach, miał je za wymuszone. To też jego lodowate spojrzenie, pytające wymownie o powód rozrzewnienia, zmroziło wszystkich. Poemat był odczytany, ale poeta nie mógł już się o nim wysłowić i wypowiedzieć, skąd wziął oną treść i jako w nim leży symbolika. Zwykle po przeczytaniu utworu pan Teofil omawiał jego powstanie, coś czasem opowiadał z dawnych wspomnień. U nas będąc raz w małym kółku przypatrywał się sofie z dość dużymi poręczami i wtedy jął przypominać, że w Warszawie, gdy był skromnym urzędnikiem i częstym gościem u Entuzjastek, posiadał taką kanapę i bardzo szczęśliwie, bo pod każdą poręczą była ukryta szufladka, gdzie się chowały patriotyczne odezwy, niecenzuralne papiery

i utwory. Gdy wtedy rewizję robiono, wszystko przetrzesiono, nawet siennik z pod łóżka, a jego szufladki uszły uwadze szukających zbirów. Odczytywał Lenartowicz obrazki z Włoch, zachwycił się wiarą szczerą i pełną ufności ludu, którą wymalował w ślicznym wierszu p. t. „Madonna“, gdzie ukazuje młodą dziewczynę, strojącą posąg Madonny i polecającą jej wszelkie nadzieje i troski.

Daj Boże, aby się znalazł w Polsce skrzętny wydawca, któryby zebrał te wszystkie perły porozrzucane tu i ówdzie i wykazał całą działalność literacką Lenartowicza. Pan Roger Raczyński mówił z entuzjazmem o jego rapsodach o królu Janie III, które nigdy, o ile wiem, światła druku nie ujrzały. Podobno, że wiersz był silny o tonie męskim i szlachetnym. Poeta mógł pokazać, że lutnię nie tylko w tonie lirycznym nastroić umie, ale że potrafi z niej wydobyć dźwięki pełne siły, bijące jak gromy i, dochodzące do głębi duszy, mocą swą druzgocącą.

Gdzie się podziały one rapsody? Gdzie możnaby je odnaleźć?

Lenartowicz miał dowcip kojący, dyskretny, czasem figlarny.

„Jakże mogli geniusze być zakochani w pani z Wodzińskich Orpiszewskiej, która nigdy ładną nie była“ — powiedział ktoś. Lenartowicz na to — wzniósł oczy w górę mówiąc: „O niezbadane głębie serca ludzkiego!“

W pewnej rodzinie znowu, semickiego pochodzenia, goszczono wysoką figurę, której odwiedziny

stanowiły wielki zaszczyt pod względem snobistycznym. — „To dopiero radość w Izraelu!“ — szepnął po cichu Lenartowicz. — Widząc kiedyś dwie rodaczki, nieodstępne towarzyszki mieszkające razem, z których jedna nieco rozwielmóżniona w kształtach dźwigała zbyt wielki ciężar ciała przy rumianych policzkach i rozweselonem obliczu, druga zaś sucha jak szczapa odznaczała się chudością zbytnią i srogim wyrazem twarzy, poeta określił je trafnie: „Oto idzie tłusty Czwartek z chudą Sobotą“ — i od tej pory cała kolonja polska określała je tem przewiśkiem.

Lenartowicz studjował dużo. Pochłaniała go literatura Wschodu, Epopeja Ramayana była mu przedmiotem uwielbienia. Kochał się w sztuce i wchłaniał piękno, stojąc zapatrzone przy słynnych wrotach florenckich rzeźby Giobertiego. Uwielbiał ową twórczość pełną prostoty, nie szukającą podziwu, a oddającą silnie odczutą prawdę.

Zbliżył się bardzo do naszej nauczycielki-emigrantki, siostry Narbuta, którą nazywał siostrzyczką. Z nią i z nami odbywał przechadzki. Pamiętam, że idąc z nami do ogrodu Boboli, trochę oddalonego od centrum miasta, radził nam spocząć na murawie, co sam uczynił, a nawpół leżąc rozkoszował się śpiewem ptasząt. „Gdybym był mocarzem, to zrobiłbym dla tych nicponiów poetów, namioty lub szałas w ogrodzie, a oni, nie wyężdżając zasobu sił, dla zdobycia chleba powszedniego, którzyby im był zapewniony, mogliby odpowiadać swo-

jemu powołaniu, śpiewając uwielbiać Piękno — zaczawszy i kończąc na wiecznem Pięknie“.

Widywałyśmy poetę i małżonkę jego w kościele św. Wawrzyńca, ulubionym przez nich przybytku modlitwy. Pamiętam, żeśmy tam raz spotkały państwa Lenartowiczów u stołu Pańskiego. Nigdy nie zapomnę błęgiego wyrazu poety. Wydawał mi się otoczony niewidzialną aureolą. Promieniował od niego spokój i uczucie bezgranicznej miłości, za nim szła pani Zofja, pełna jak zawsze uwagi i dobrej woli.

Poeta nasz miał oceniać Włochów, to też wielu z nich przywiązał do siebie węzłami trwałej przyjaźni. Poznano wartość jego i powołano go na świeżo utworzoną katedrę literatury polskiej przy uniwersytecie w Bolonii. Lenartowicz potrafił wykazać posłannictwo swego narodu i literatury polskiej, podnoszącej ducha w ciemną noc niewoli. To też wykłady jego były należycie cenione, były jakoby szkołą propagandy polskiej, rozpowszechniając wśród społeczeństwa włoskiego pojęcie o arcydziełach poezji i beletrystyki polskiej.

Nieco później grom niespodzianie trafił w naszego poetę. Nieporównana towarzyszką, opiekunką, przyjaciółką, matką i zbawicielką, Zofja z Szymanowskich Lenartowiczowa zakończyła zupełnie niespodzianie ziemską pielgrzymkę.

Państwo Maciejostwo Mielżyńscy, zaprosili ją do Miłosławia, gdzie miała dostać sporo portretowych obstalunków. Wiadomo, jaką rolę odgrywali w kraju dziedzice tego mienia i tej siedziby. Dla

polskich rozbitków życiowych, ten dom był prawdziwą ostoją. Chętnie tam przybyła małżonka naszego poety. Wzięła się zaraz do pracy, a używając dość spacerów przy pięknej pogodzie, potrosze odzyskiwała spokój; może to były pierwsze chwile od śmierci Janka, gdzie nie pędzona wirem życiowych obowiązków, obawą o drogie zdrowie Tofila, mogła wśród przyjaciół odetchnąć swobodnie, myśląc o lepszym jutrze. Najniespodziewaniej w świecie zażębiła się, ostre zapalenie płuc przecięło nić zanego żywota.

Można było zrozumieć, jaki to był cios dla jej męża. Nie został złamany, ale został niepokieszony.

Odtąd pan Teofil sam borykać się musiał w życiu, niedoceniony przez swoich, żyć dla Ojczyzny, a od społeczeństwa nie doznawać ani pamięci, ani najmniejszego dowodu zasłużonego współczucia.

W kilka lat potem, po mojem zamążpójściu, mieszkaliśmy w Warszawie i dotąd darować sobie nie mogę, że nie dzwoniła w dzwon alarmowy, by zbudzić społeczeństwo do pożytecznej akcji względem florenckiego wygnańca. Można było wywołać sympatję, wydać jego dzieła. Mimo mej chęci podniesienia głosu czułam się za młodą i nie uprawnioną żadną zasługą, ani wiekiem, aby tym razem móc podjąć inicjatywę. Mówię, „żem winny i sam pełen winy“, bo w takich razach oglądać się nie można, czy krok taki ujdzie czy nie, bo gdy dom się pali, należy na alarm dzwonić.

Tymczasem poeta żył w trudzie — mawiał, że

rzeźbiarz utrzymuje poetę, ale środki były szczupłe, zdrowie wątłe, a smutek i zniechęcenie miały prawo do nawiedzania samotnika, któremu sił w znoju ciągle ubywało. Przyjazd do Włoch Kornela Ujejskiego było chwilą radosną dla pana Teofila. Pamiętam fotografię dwóch poetów — przyodziających w czamarki, pod którą poeta-Lenartowicz napisał dziarski wiersz, posyłając tę podobiznę pani z Narbutów Monczuńskiej. Wojna wszystkie te pamiątki zniszczyła. Posiadałam i ja wiersz pana Teofila, napisany w imienniku. Zginął wśród pożogi wojennej. Żałuję, że nie przechowałam go w archiwum pamięci. Przypominam, że się rozpoczynał od tych słów: „Niech cię dym ukraińskiej wioski, więcej zachwyca niżli błękit włoski“, i że był serdeczną namową do kochania prześladowanego kraju, do oddania mu kwiatów uczuć i przechowania przede wszystkim cechy młodości, *szczerości*.

Ciężkie dni nadchodziły dla osamotnionego wygnańca. Duch jego obcując w samotności i coraz więcej z Bogiem, jeszcze zmęźniał. Nie skarżył się, nigdy o nic nie prosił, mimo, że trudności coraz większe piętrzyły się nad jego głową. Wydawcy polskie ziemie mu nie dawały, śliczne płaskorzeźby miały mały pokup. Był szczęśliwy, gdy przyjezdni rodacy prosili go o lekcję dla dzieci. Mędrzec-filozof zniżał się nieraz do umysłowości dzieci, mających lat osiem, lub dziewięć, które uczył pisać po polsku, czasem nawet czytać, chwytając sposobność nauczania ojczystych dziejów, zapalając młode umysły do

miłowania „Tej co nie zginęła“ i do stanięcia kiedyś w obronie jej praw nigdy nie przestarzałych.

Takim uczniem ośmioletnim był niegdyś Mieczysław Orłowski, który ostatnio, jako człowiek już niemłody i nie w wieku dla wojaczki, przybył z Paryża w 1920 r., by zaciągnąć się, jako ochotnik, w czasie inwazji bolszewickiej.

Poecie coraz smutniej było na horyzoncie życiowym — zasłona melancholji okryła swą opone prace ranków i wieczorków. Czuł się osłabiony, ale temu nie przeciwdziałał, nie brał żadnych środków dla wzmocnienia organizmu, nie było komu myśleć o tem i przypominać mu, a sam pochłonięty ideą nie miał czasu pamiętać o sobie. Duch się wzmagał i rósł, ciało zaś się ugięło pod brzemieniem smutków i niedostatku. O chorobie poety nikt nie mówił, nikt nie wiedział. Pewnego wieczora, po zwykłej modlitwie położył się do łóżka — zasnął jak zwykle, choć zmęczony, zawsze złączony z Bogiem.

Tylko rano, gdy służąca weszła do pokoju i zbliżyła się do pana, przekonała się, że duch uleciał do wiecznego kraju — bo ciało było martwe. Dusza snąć była już dojrzałą dla Nieba — Anioł śmierci przyszedł ją zabrać.

Zwłoki poety-patrjoty, myśliciela, rzeźbiarza, sprowadzono do grobu zasłużonych w Krakowie. Leżą na Skałce. Za życia był zapoznany, zrozumiano jego wartość po zgonie.

Teraz powinien stanąć pomnik z jego dzieł ukuty — nie tyle ku chwale pracownika — ile ku chwale Jego Narodu.

POLACY W DREZNIE

W owym czasie popowstaniowym, gdy ciemna zasłona spada na sprawę polską, a w kraju sroży się prześladowanie, — trzymają stale sztandar kultury narodowej, jakby delegaci myśli polskiej, wybitne jednostki, które stanowią ogniwa łączące tradycję z postępem. Dobrze sobie o nich przypomnieć — bo trzeba wiązać nici przeszłości z teraźniejszością, żeby zachować co było dobrem i przekazywać dalszą robotę przyszłości. Wielki był napływ emigracji polskiej we Francji, w Paryżu nad Sekwaną i nad Łabą w Dreźnie.

W tem ostatniem mieście dużo było polskich rodzin przebywających dla kształcenia dzieci, młodzieży, w naukach lub sztukach pięknych. Wygnańcy przybywali, ci ostatni, co musieli uchodzić pod ogniem uganiających się za nimi Moskali. Była jeszcze emigracja dobrowolna ludzi majątnych, którzy w czasie zaburzeń krajowych schronili się w niedalekiem od kraju rodzinnego mieście, i oni też byli tam potrzebni, bo mogli rozwijać pożyteczną działalność względem szukających schronienia wy-

chodźców — ci ostatni tylko pracy żądali. Pamiętam, że jeden z majątnych ludzi z Ukrainy, pan Piotrowski, był szczęśliwy gdy mu znaleziono miejsce subiekta sklepowego w jednej z większych drezdeńskich firm. Pozbywano się przesądów — nie tylko szablą, pługiem i piórem praca uszlachetnia — ale ducha podnieść można przy czynnościach naszym aspiracjom przeciwnych. Obowiązkowość jest wykształceniem ducha, — a drogą do wyżyn jest poświęcenie.

Drezno było jakby stacją wybraną przez Polaków; jeszcze od 1832, epoki odwiedzin tam Mickiewicza, utrzymywała się zrazu pewna z nad Wisły kompanijka. Garstka Polaków później się powiększała, — rodziny przyjeżdżały dla wychowywania dzieci, kształcenia młodzieży. Do punktu kulminacyjnego doszła kolonja polska w okresie popowstaniowym i nawet po tych ciężkich latach do 1870. W końcu r. 1865, najdawniej tam osiadły filar Polonji, Gustaw hr. Olizar, rzucił cień smutku w grono rodaków swym ubytkiem, śmiercią swą, która żal powszechny wywołała. Ponieważ to był typ polskiej dawnej kultury, arcymiły, towarzyski i gładki człowiek, warto mu mimochodem parę słów poświęcić zanim do jego sylwetki dojdziemy.

Ojciec jego był właścicielem rozległych dóbr na Wołyniu i Ukrainie, żonaty z litwinką, Szczytówną. Mimo odległości i braku komunikacji, umiano się widywać i małżeństwa wśród szlachty kojarzyły się często o paręset mil oddalenia. Synowie tego

szczepu, Narcyz i Gustaw Olizarowie, zostali najstarszymi i z największą troskliwością od lat dziecinnych wychowani. Mieli tę dawną ogładę zwaną przez nas encyklopedyczną, którą niestety specjalizacja zupełnie wyrugowała. Zapomniano, teraz, że na wzór człowieka fizycznego, składającego się z tylu licznych pierwiastków, człowiek duchowy, ma w całokształcie rozwinąć wszystkie dane zasoby i wszystkie władze.

Młodzi Olizarowie, którzy w dzieciństwie stracili matkę, mieli nauczyciela Włocha. Kultura włoska, zaznaczyć to tu należy, zawsze dodatni wpływ na Polskę wywierała. Widzimy to w epoce Odrodzenia i wszędzie i zawsze aż do naszych czasów w pojęciu kwestji polskiej, przez Włochów, uwidocznia się pewne duchowe pokrewieństwo, które rodzi zrozumienie. Włoch ów, acz przywiązany do polskiej rodziny i do Polaków, tęsknił za Ojczyzną. — Młodzi poczęli ojca gorąco namawiać na wjazd do Włoch. Ten zaś rad był im dogodzić, ale wszak była w domu córka, a z młodą panią trudno się wybrać... i do tego z fraucymierem żeńskim, — nie sposób! Więc piętnastoletnia panna Adelaida, uroczą blondyneczką, grającą wprawdzie na klawikordzie, haftującą pięknie na krośnach, rysującą zręcznie kwiatki i ptaszki, z buzią uśmiechniętą, jak każda dobrze wychowana panna, musi wpierw być za mąż wydana... I bez telegrafu wieść o tem postanowieniu się rozeszła, telegram ustny ją przyniósł do nieco podżyłego hr. Kon-

stantego Przeddzieckiego, wnuka Antoniego, kancelarza litewskiego, dziedzica rozległych włości i świeżo obranego marszałka szlachty podolskiej. Pięknością nie słynął — lecz zdrowego rozumu miał dużo, duszę dobrą i znany był z ofiarności. W dzień jego przybycia Adelci się śniło, że oknem dzik skoczył do jej pokoju, któremu została na pastwę oddana. P. Przeddziecki przyjechał jako konkurent, a ponieważ cała rodzina była za tem „nec Hercules contra plures“, walczyć z losem młodzieńca Olizarówna nie umiała. Brat Narcyz, aby przezwyciężyć jej obawy, powtarzał, iż małżeństwo jest wieńcem z róż, który łatwiej zdjąć aniżeli włożyć.

Wydano tedy Adelcie za mąż wbrew jej woli, a do tego postanowienia, jak twierdzi Gustaw Olizar w swych pamiętnikach wielce się przyczynił krewny Olizarów, ceniony i poważany przez całą Polskę Tadeusz Czacki. Olizar w swych pamiętnikach o Włochu owym, sprawcy podróży młodzieńców do słonecznej Italji, nie wspomina wcale, wymienia tylko doktora Kossowicza, który jakoby miał namówić chorego ich ojca na ową podróż dla poratowania zdrowia. Jego jako szesnastolatniego wyrostka zabrał z uczelni krzemienieckiej, aby im w drodze towarzyszył.

Był on nieporównanym naratorem, lubiącym się zastanawiać nad zmianą obyczajów i opowiadającym autentyczne anegdotki z tego czasu, gdzie było w złym guście dobrze wyglądać lub zdrowiem słyszeć i gdzie panna, która podobać się chciała, mu-

siała być mizerną, bladą, i choć potrosze pokaszliwać. Nie dbając o zdrowie chodziła w powiewnych szatach, z musu owijając się w boa. Zapatrzona w przestrzeń, gardząca prozą życia, czekała aby ryccerz jaki zrozumiał jej wyższość i do nóg jej upadł...

Śmiał się z tych dziwactw pan Gustaw, przekładając wedle Platona nad urodę — zdrowie. Brata swego Narcyza wielce kochał, — los tego brata był o wiele cięższy od jego losu, bo pan Narcyz nic ze spuścizny ojcowskiej nie zachował. Ogromny majątek został skonfiskowany gdy odkryto, że jego posiadacz, zarazem marszałek szlachty kasztelan Podolski był na czele organizacji insurekcji na Wołyniu.

Obaj bracia Olizarowie zostawili osobiste pamiętniki. Narcyz był humorystą. Pełną werwy i humoru jest jego książka „Pamiętniki oryginała”. Przytem ładnie malował, — lubował się szczególnie w krajobrazach podolskich. Improwizowany malarz pracował dla biednego tułacza — ale poświęcenia swego nie pożałował nigdy, nawet, gdy mu najciężej było utrzymywać siebie i żonę i gdy komunikacje za czasów Mikołaja były tak utrudnione, że nie pozwalały rodzinie przyjść mu z pomocą. Duch wyższy umiał zdobyć się na pogodę wśród goryczy życiowej, a spokój taki to nie zastój, to ustalone powtórzenie, albo zwycięstwo ducha. Ten brat, do którego pan Gustaw Olizar był tak przywiązany zgasł na parę lat przed nim w Sadach w Poznańskim. Gustaw zaś aż do ostatnich lat życia wszyst-

kie uczucia rodzinne bardzo żywo odczuwał. Przypominał sobie siostrę z rozrzewnieniem — lubił wnuczki tejże siostry i wogóle lubił z młodzieżą obcować, uczestniczył w jej zabawach. Z temiż wnuczkami grywał w sekretarza, urządzał szarady. Miał też jeden nieporównany a dziwny talent. — Nie wycinał, ale wprost wydzierał, nie nożyczkami, ale palcami rozmaite sylwetki lub rodzajowe sceny — najczęściej tworzył ilustracje do bajek Lafontaine'a, a to nietylko zręcznie, ale z precyzją najlepszego rysunku. Zaziębiwszy się zachorował; wiedział, że ta choroba, to ostatni jego etap na ziemi i nawet ją z uśmiechem przyjmował. Polecając się miłosierdziu Bożemu — ducha wyzionął. Kolonja polska w Dreźnie odczuła pełne sieroctwo. Szkoda było tej barwnej indywidualności, zabrakło tej żyjącej kroniki i tej powagi zawsze uśmiechniętej, miłującej życie, dającej radość.

Drezno następniemi laty ciągle się Polonią zapelniało. Kto mógł wyrywał się z Litwy zbolalej prześladowaniem Murawiewa, z zachodnich prowincyj, uciśnionych rządami satrapy Bezaka. W Dreźnie oddychano przeważnie atmosferą sztuki, przejmując się arcydziełami prześwietnej galerji, lub doskonałą muzyką zawsze nad Łabą uprawianą. W latach powstaniowych w hotelu Bellevue przy table d'hôte był stół polski, gdzie rozbrzmiewała nasza mowa i gdzie się ludzie ze wszelkich dzielnic Polski spotykali. Rodziny całe z dziećmi tam zasiadały. Dzieciom mówić nie było wolno, tylko w cichości spożywać

co nałożono na talerz. Mało się zostało w słuchu i w pamięci z migawkowych obrazów, ale jeden mi się okazuje nimbem otoczony cudowności i nad nim wiek a szczególnie sąd dojrzały zastanowić się lubi.

Pewnego dnia powstał szmer, szept coraz głośniejszy: „Ireneusz Załuski przyjechał — zaraz tu będzie!“ Mimowoli spojrzano się na zarezerwowane miejsce. Przyszedł niebawem młody mężczyzna — sąd późniejszy twierdzi, że wyglądał na starszego niż wiek wskazywał — i usiadł wśród znajomych. Miał fizjonomję z kontrastów złożoną. Oko ciemne, brew jak na czarno malowana, koloryt surowy, ciepły — a włosy z najjaśniejszej blond barwy. Kontrast nie był dysonansem — wszystko się harmonizowało. Oko bystre, a uśmiech szczery, wesoły, jakby śmiech dziecka. Nie wiem o czym z początku przy tym gwarnym stole rozmawiano — pewnie o rzeczach obojętnych, ale dziecko zapamiętało rozmowę późniejszą o której sąd dopiero po wielu latach później został wydany. Jakiś głos tubalny wygolonego szlachcica, któremu tylko stroju polskiego brakowało, aby być żyjącym wizerunkiem dawnej przeszłości, — zagrzmiął: „No więc Mości Dobrodzieju powiedz jakim sposobem mogłeś coś podobnego uczynić — to coś nadludzkiego“. Załuski się uśmiechnął: Jemu się to widać bardzo prostem wydawało. Ponieważ nie było odpowiedzi, chórem zaczęto się odzywać: „Ależ mów, opowiedz pan, to fakt nadzwyczajny, to takie ciekawe“. My małe strzygłyśmy uszami. Załuski jakby od niechcenia odezwał się: „Wyniosłem go oknem

z więzienia na barana i takim sposobem ledwo jakie parę mil zrobiwszy, odstawiłem do Krzeszowic“. Szeptano: „Nadzwyczajne, cudowne“. Załuski się nie przejmował, uważał to za bardzo proste. — „Ale panie, mówił ktoś z boku, to nie rzecz zwykła, to się nie zdarza, to czyn nadzwyczajny, to na cudowność zakrawa“. „Nic dziwnego, spokojnie odpowiedział, jeśli to cud, to jest cud Matki Boskiej, bo do niej się modliłem, i Jej tę sprawę bardzo gorąco poleciłem, a potem w dzień Jej święta wybrałem Wniebowzięcie, żeby dnia tego tam się zjawić i uczynić co kazał obowiązek“. „To nad-obowiązek!“ „Obowiązek w miłości braterskiej nie zna granic, ale to pewna, że nicby się nie było udało, gdyby nie pomoc Matki Boskiej“.

Musiały być uśmiechy lekko ironizujące, skierowane w stronę tak zwanego bohatera, gdyż on stwierdzał coraz bardziej donośnie, stanowczo, że to cud otrzymany za pośrednictwem Matki Boskiej.

W owym czasie, który miał być zapowiedzią ery pozytywistycznej, panował duch negacji, czyli zwolna obalający cały gmach wiary, zaczynając od wierchołka. Wiem, że nawet dzieci odczuwały ten powiew, bośmy zdziwione przebąkiwały, że era cudów się skończyła — że teraz cudów niema.

To więzienie było w małym parterowym domku, którego strzegły warty na zewnątrz, a do którego to izdebki napewno ktoś od wewnątrz od czasu do czasu zaglądać musiał. Otóż dnia tego wszyscy spali, rannego, leżącego tam brata wziął pan Ireneusz na

barki uspiwszy przedtem czujność straży — wódką i wyszedł z owym słodkim ciężarem oknem. Nikt się zaraz nie spostrzegł, mógł więc go donieść o mil parę lub kilka do Krzeszowic, do hrabiostwa Adamów Potockich. Tam z całą pieczołowitością zajęto się chorym, który dzięki troskliwemu pielęgowaniu wygoił się z ran i wrócił do zdrowia.

Ireneusz z rozczeniem mówił o bracie i wogóle o całym rodzeństwie. Był on przykładem miłości braterskiej, uważał, iż ten czyn wyprowadzenia brata z niewoli był li-tylko najprostszym obowiązkiem. Zresztą miał zdrowie i siły potemu — to też z przyjemnością pokazywał muskuły, które były godne podziwu; mięśnie, kości, ścignął miał atlety i były wyrobione nie tylko do sportów lecz i do wszelkich atletycznych pokazów. Opowiadał, iż mając lat 14, zagrożony był suchotami i rodzina wysłała go do krewnych do Rzymu a tam przy bajecznej hygienie, żywiąc się przeważnie surowym mięsem i marchwią — wrócił do kwitnącego stanu zdrowia. Jako młody chłopak chodził do pracowni słynnego rzeźbiarza, do sędziwego w owe czasy Teneraniego, w kilka lat potem wrócił do kraju jako rzeźbiarz i jako siłacz. Była to natura renesansowa. Zdolności miał wszechstronne znakomite — głos tenora, słuch nadzwyczajny i z jego pomocą wygrywał na fortepianie brzdąkając jednym palcem pochwytnie, posłyszane melodje, a wszystkie wyśpiewywał. Wszystkiego zaznał młody rzeźbiarz. — Zakochawszy się w jakiejś amazonce podążył za nią

do cyrku. I rozmaite sztuki cyrkowe uprawiał — i z całym kompletem cyrkowców odbywał różnorodne wycieczki, popisując się konno, na linie, dopóki go fantazja nie skierowała na inne tory. Węć później podróżował i chciwy wrażeń, zbierając pieśni ludowe w Szwecji, Danji — nawet w mroźnej Laponii. Dobytek swój wiernie przechowywał, językami tymi władał, ale pismu nic nie powierzał, sam miał wstręt do pisania, do wszelkich reguł gramatycznych. Mówił biegle językami, ale pisać poprawnie nie umiał w żadnym. Zналиśmy go w tej fazie, gdy wrócił do rzeźbiarstwa, gdzie chciał w tej sztuce imię sobie wyrobić, ku sławie Ojczyzny. I Ireneusz Polonus byłby się stał jednym z filarów światowej rzeźby, gdyby dnie jego nie zostały najniespodziewaniej przecięte.

W kilka lat później, gdy dochodził do sławy, znany będąc i w Wiedniu, gdzie robił biusty cesarza i cesarzowej, powstał w Dreźnie zatarg, który wspólni znajomi zamiast ułagodzić — rozognili. Przyszło do pojedynku.

Zaśki strzelał doskonale. Przeciwnik zaś nie umiał wcale strzelać. Ireneusz ugodzony w nogę, z rany, która po kilku tygodniach gangrenę przyniosła — życie zakończył, po chrześcijańsku, w braterskim uścisku z przeciwnikiem, a choć życia żałował zgadzać się umiał z wolą Bożą, z objęć życia wyszedł jako życia zwycięzca.

Do Dreznia jeszcze po 64 roku zawitali niektórzy weterani z 30 roku. Oni choć krwawymi łzami bo-

leli nad ostatecznym upadkiem powstania, jednak nie tracili nadziei, przekazując następnym pokoleniom ową Nadzieję pochodnię.

Aleksander Potocki był typem prawdziwego dobrego obywatela. Był on żyjącym zaprzeczeniem wszelkiej blagi, nawet tej, która jest tolerowaną, która się zwie egzageracją i jest kłamstwem porządnym ludzi. Oczy jego miały szczere intensywne spojrzenie — on chciał widzieć sprawiedliwie, uczciwie, dokładnie — więc mówiąc tak samo patrzył w oczy swemu rozmówcy, nie chce nic zataić, ani nawet własnego wrażenia. Rzadko kiedy spotykałam taki wzrok dokładny. Choć mało mówił, to nie bywała prostoduszność, która się w nim nie zatarła, potrafiła się oprzeć zetknięciu ze złymi ludźmi i z rozmaitymi życiowymi zawodami.

Aleksander Potocki był również synem Szczęsnego i Greczynki. Uczestnik 30 roku — skonfiskowano mu sławną przez Trębackiego opiewaną Zofijówkę. Na emigracji rodzina płaciła mu małą pensję — z tej się utrzymywał jak najskromniej, aby jak najwięcej móc dawać braciom emigrantom.

Był to przyjaciel Słowackiego, który tak o nim w listach serdecznie wspomina i który bodaj wierszemu dedykował. W żadnej sztuce nie celował, oficer wojsk polskich, nie był wielkim wodzem, nie został adeptem Muz lub Nauk, więc niczem się nie wślawił. Jednak zasłynął w sztuce życia. Mistrzynią była kraina Dobra, stamtąd się nigdy nie oddalił a wszystko co czynił uważał za takie błahe, takie na-

turalne, że ten jego sąd o osobie był jakby magnetyczną siłą, która jak niegdyś wróżka w bajce każde jego zajęcie, stąpienie na tym ludzkim padole otaczała aureolą, nimbem jasnym, pochodzącym z tego pełnego prostoty stanu ducha.

Sredniego wzrostu, prawie łysy, przy koronie kręcących się ciemnych czarnych włosów — dwa węgle w oczach, nos prosty — usta foremne wąsem okolone, gdzieniegdzie srebrne nitki przetykały się wśród kruczonych włosów. Rano miewał pełno interesantów, minister bez teki, musiał radzić, szukać zajęcia, dzielić się chlebem. Po południu odwiedzał znajomych, ale nigdy z próżnymi rękami tam gdzie były dzieci lub panienki się nie pokazywał; czyniono rewizję po kieszeniach, wyjmowano cukierki, ciastka, puszkę z lodami. Czem mógł służyć wygnancom i należał do akcji, którą czyniono, aby doli biedaków ulżyć — znajdował pracę, robotę, zajęcie. Szlachta już nie gardziła łokciem — wnukowie buńczucznych wodzów stepowych byli szczęśliwi gdy im ofiarowywano posady subiektów.

Pan Aleksander Potocki był jednym z najgorętszych czynników w wyszukiwaniu pracy, a zawsze był pewny, że nic nie zrobił. Tak dalece był przekonany, że gdy się rozchorował, zarówno w kościele katolickim, jak w ewangelickim, w bożnicy nawet, modlono się za zdrowie tak użytecznego członka społecznego. Wiem z opowiadania, iż uczyniono starania, aby rząd mu oddał Zofijówkę. Miał tylko podpisać akt prośby i zarazem akt skrucy, żałując

współuczestnictwa w rewolucji 31 roku, i przyrzeczenie, że w żadnej patriotycznej akcji udziału brać nie będzie. Podpisu swego pan Aleksander dać nie chciał a gdy przyjaciel jął go namawiać — jednym słowem odpowiedział „Targowica“. Plamę tę, dodać, zmasać należy. Mienia nie zostawił, *ale imieniu cześć przywrócił*. Mimowoli zatrzymaliśmy się nad sylwetką człowieka, który nie był twórcą w żadnym kierunku, ale którego użyteczna działalność może twórców natchnąć i być podniętą do pracy twórczej.

Rok 1869 był rozkwitem polskiego życia towarzyskiego — tyle żywiołów, tyle starszyny, rodzin tyle i młodzieży — zupełnie jak w pięknie obmyślanym krajobrazie wszystkie plany, perspektywa przeszłości, góry z daleka widziane — drzewa rozłożyste świata dojrzałego i jaskrawe kwiaty pierwszego planu — kwiaty kwitnące, polska młodzież.

Bawił tam wtedy pan Maciej Mielżyński, z którym podlotki nie rozmawiały, ale o którym wiedziano, że jest bez skazy i że cześć u każdego wzbudzić musi. Wysoki, rosły, szczupły, o siwym wąsie, o rysach regularnych, w czamarkę odziany — przedstawiał wzór na posąg z brązu — dodatni typ polski, przedstawiciel Polonii w szlachetnym stylu. Jego obranym zawodem było być na czele ministerjum pomocy dla rodaków. To dzieło on stworzył. Wogóle ludzie unikają ciężarów życiowych — on je przeciwnie wyszukiwał. Dla niego było to wygrana mieć szansę stania się pomocnym komuś z ziomków. Szczególniejszym był patronem młodzieży —

nigdy nikomu z młodych nie odmówił sposobności kształcenia się. Wiedziano o tem i do niego się garniono, a on sam wyszukiwał młodych kandydatów dla ułatwienia im drogi życia. U nas w kraju, gdzie wrażenia wybujałe nie są pod dyrektywą rozumu, jego wysoka roztropność stanowiła wyjątek. U niego życie nie poszło samopas, zostało w karby woli ujęte i rozwinęło się wedle programu określonego na podkładzie uczuciowym, przez rozum. Dlatego ta postać tchnie takim życiem i jest tak młodą, gdyż cechą młodości jest zawsze identyfikowanie się nasze z pracą, zespolenie się nasze z obowiązkiem, z raz obranym zawodem życiowym. Niema wtedy znudzenia, zniechęcenia i zmęczenia, które nadają cechę starości.

U państwa Mielżyńskich zjawiał się generał Kołaczkowski z żoną, Józef Ignacy Kraszewski i przygodni goście polscy w Dreźnie, jak Aleksander Przezdziecki i wielu innych.

Generał Kołaczkowski to typ ujmujący swą wytwornością. Sędziwy wojak, wówczas mąż 76-letni, dźwigał te krzyże z elegancją, która go znamionowała. Gdy twierdził, że jest starym, wywołać to musiało zaprzeczenie, gdyż uśmiech jego dobrotliwy a zarazem filuterny świadczył, że jeszcze do życia nie miał czasu się zniechęcić. Mówił przyciszonym głosem, jak gdyby go chciał oszczędzać, by tem silniej ten głos zagrzmiał na komendę wojskową. Zdanie tego, który w danej chwili z nim rozmawiał było najlepszym, on je zawsze prostował, tak, że z nim

osobnik dyskutujący najczęściej kapitulował, logiką jego przekonany. Wydawało się, iż mówiąc generał używał przytłumionego pedału, gdy słowa jego wydania się treścią, pełnym dźwiękiem nie rozbrzmiewały. Dla żony był pełen uwagi i galanterji dawnych czasów. Generał widział ją zawsze ładną i miłą i swej pieczy oddaną, jak wówczas, gdy na kobiercu ślubnym przysięgał jej wierność i opiekę. Nic też dziwnego, że generałowa pozostała pełna życia, mając blisko 70 lat, włosów mało miała srebrnych — rumieńce świadczyły o spuściznie młodości, uśmiech wesół równie; skarżyła się tylko na roz-targnienie, na żywość nadmierną, przyznawała, iż czuje się powołaną do porządku, gdy generał się odzywa: „Panno Michalino, kiedyż skończymy lat 15?” Ona chyba ich kończyć nie chciała! Tak im dobrze było na tej emeryturze życiowej czuć, że na wyznaczonych od Boga placówce spełnili swój obowiązek pracą i wytrwaniem. Tylko nieszczęścia Ojczyzny były największą troską. Generałowa miała jedno życzenie, jedną ambicję: nauczyć się malować. Kto wie, czy nie dlatego Drezno sobie wybrali na siedzibę lat sędziwych? Panna Michalina zamiaru dopięła. Kiedy po powstaniu listopadowym generałostwo się na wieś do W. Ks. Poznańskiego przenieśli, przez blisko lat 40 tam zamieszkiwali. Generał jak nowy Cincinnatus imał się leśnictwa, generałowa zajęła się dziećmi i gospodarstwem. Skoro los córek ustalili, wydawszy je za mąż, przyjechali do Drezn. Generałowa ledwo że gorączki nie dostała z ra-

dości, że marzenie jej się spełni, nauczy się malować! Muszę powiedzieć, jako świadectwo oddane prawdzie i zachęta dla młodego pokolenia, iż po kilku miesiącach nauki, wcale ładnie kopje robiła. Cieszyło to generała, a sam przyznawał się w małym kółku, iż za młodych lat uczyć się po angielsku i grać na flecie było jego marzeniem, że na starość miałby zamiar w jednym i drugim się wykształcić. Zdaje się, iż po angielsku się uczył, lecz czy się wziął do fletu? — nie wiem. Wieczorem lubił grywać w szachy, najczęściej z paniami, gdyż generał zawsze hołdował płci pięknej i był pełnym galanterji dla dam. Galanterja oparta na szacunku i na niezmiernie wytwornym i miłym sposobie postępowania. Poznawszy inteligentną panią C., czy u niej w domu, czy wieczorami u jednych z członków Polonji gromadzących wybitnych przedstawicieli, proponował jej partję szachów. Bardzo długo nad partją medytowano, lecz generałowi nasuwały się wtedy reminiscencje dawnych lat, i zadając mat, przypominał sobie zadany mat przez małego Kaprała całemu światu... I o nim zaczynała się mowa — głosem wzruszonym, przyciszonym, mistycznym, wchodząc jakby do świętego przybytku wielkich wspomnień, opowiadał wrażenia bitew pod Eylau, Austerlitz, Friedlandem. Pod Eylau ręką cesarza został udekorowany.

Co to był za entuzjazm, co za radość móc się poświęcić dla sprawiedliwej sprawy — dla odzyskania Ojczyzny! Kiedyż wrócą takie czasy... ale one wró-

cić muszą, bo generał nie wątpił, że choć Bóg nie-rychliwy, ale sprawiedliwy. To słońce nadziei, które jego młodość oświecało, gorzało jeszcze — w epoce zwanej przez ludzi starością, a która u niego była czem być powinna — dojrzałością.

Generał kochając tak przeszłość był swoją drogą aktualny. Interesował się publicystyką bieżącą a śledził artykuły Klaczki. Generał pozostawił pamiętniki — z nich można wysnuć pojęcie o umysłowości człowieka, ale tylko widzieć może dać wyobrażenie o sylwetce pełnej prostoty, wdzięku, a która naprawdę wytworność wyobrażała.

Wzrostu średniego, w opiętym surducie, z kwiatkiem u pętlicy, z oznaką Legji Honorowej, generał miał wygląd najwytworniejszego dżentelmana. Rysy raczej grube, a w nich finezji tyle; oko o bystrym choć łagodnym spojrzeniu, żadnych szkieł pomimo lat 76 nie znało. Czystość wiała od niego, była ona znakiem nieporównanej czystości sumienia, które najmniejszego nie dopuszczało kłamstwa. Z ludźmi wychodził po mistrzowsku, przekonywał, nie urażając. Był to typ Polaka, który łagodnie a roztropnie poprowadził swą łódź życiową.

Rzadkim, ale bardzo oczekiwanym gościem w salonach ówczesnej Polonji był J. I. Kraszewski — cichy, brodaty człowiek. Któż byłby powiedział, że jego głos tak był potężnym i taki wpływ wywierał? A najczęściej to co pisał wydaje się głośno powiedzianem, — to ma cechę płynnej, gorącej na razie wymowy! Ten pisarz jak mówca porywa, przeko-

nywa. Czytając go ma się wrażenie, że go się słyszy, że się gest widzi, a czuć, że z duszy mówi. Tymczasem w obcowaniu, w mowie, ten człowiek wydawał się, jak gdyby pisał źle zatemperowanym ołówkiem. Umiał czasem patrzeć — i wtedy wzrok jego miał intensywną ogarniającą siłę, chwytając do muzeum pamięci odniesione słowa, wrażenia. Lecz najczęściej spuszczał oczy, jak gdyby się obawiał, że ktoś do jego źrenic zaglądnie i myśl jego odczyta.

Wogóle ten cichy człowiek musiał być filarem myśli, — całą bibliotekę myśli dźwigał ze sobą w rozmaitych szafach mózgu złożone były osobno rozmaite działy — historia, psychologia, beletrystyka, sztuki piękne — ba, nawet hygiena i dział ekonomiczny. Bo co dziwniejsza, że w tem chaotyczności nie było, jedna część wiedzy drugiej nie zagradzała, posilkowały się i popierały wzajemnie. Na wieczorach zwykł siadywać w kącie, od czasu do czasu witać się serdecznie z nowym gościem i jakoś nie podtrzymywać rozmowy — tylko jak w kontredansie zamieniać coraz uścisk ręki i dwa słowa z innym rozmówcą. Można powiedzieć, że był nietylko ugrzecznony, ale chyba przegrzecznony. Zdaje się, że nie udawał skromnego, że nim był i z powodu wysokiego poczucia ideału nie stawiał się na piedestale zasługi.

Miał ogromne zasoby wiedzy, które wciąż powiększał, umiając czas na wszystko znaleźć. I miał czas czytywać wiele, — lecz nie tylko czytywać, ale wyciągi robić, z rozmaitych materiałów historycz-

nych, by np. zebrać tak cenne dokumenty, na mocy których opracował „Polskę w trzech rozbiorach”. Dokumenta chwili, zebrane z publicystyki aktualnej, były podstawą do wydawanych co kilka miesięcy Rachunków. Zналиśmy Kraszewskiego z literackiej działalności, ale nie z życia. Jakaż to była dla nas podlotków radość, gdy nam dano sposobność zbliżenia się do niego, — poznania mistrza. Nasza matka powierzyła nam list zapraszający go na wieczorek a miałyśmy ten list dopełnić żywym słowem. Mówiono, że tylko rano go zastać można — to też to poselstwo nas niezmiernie ucieszyło. Ale jakież rozczarowanie!? Wyjątkowo dnia tego mistrz wyszedł w jakimś ważnym interesie. Rozglądałyśmy się z ciekawością po pokoju, raczej po pracowni. Fortepian otwarty i na pulpicie piosenka do słów J. I. Kraszewskiego, którą pewnie autor próbował zagrać; na stalugach krajobraz wołyński niedokończony — dziewczyna niosąca kubel wody wśród drzew — zdala lekkie wzórza i kołyszące się żyta. W środku pokoju jedno duże biuro zavalone książkami, gazetami, materiałem do roboty, przy murach szafy z książkami — dwa biurka stojące i na każdym prace rozpoczęte. Niedyskretnie udało się zbliżyć do jednego z nich, — były tam o ile sobie przypominam korespondencje do Warszawy do tygodnika ilustrowanego „Kłósów”; na drugim leżały artykuły przeznaczone dla Krakowa, Lwowa i Poznania. Na białych stronicach, prawie bez żadnych przemań, były opisane innemi słowy i z innymi szcze-

gółami faktu często te same, recenzje dzieł literackich i szuki. Mógł jednocześnie parę korespondencji pisać — jak mi mówiono, i w tem podobny był do Napoleona, który z przerwami sekretarzom dyktował listy nie myląc się nigdy i wątku nie tracąc. Tak czynił Kraszewski — przerywał jedną korespondencję, póki nie wyszła stronnica i drugą rozpoczynał. Zdolność fenomenalna... którą mu wymawiano. Lepiej byłby każde dzieło opracował, nie pisząc tak prędko — tak najczęściej mówiono. Zdaje się, iż nie miano słuszności. On był człowiekiem pierwszego rzutu — talent jego był impulsywny; kto wie, czy wypracowywanie nie stałoby się manierą i czy z tego powodu nie zatraciłby szerokiego rozmachu i świeżości? Zresztą Kraszewski był znakomitym szafarzem czasu; przypomnieć sobie trzeba, iż będąc sprawozdawcą rozmaitych pism i miłośnikiem dzieł sztuki, — biegać musiał po wystawach, muzeach, antykwariatach. Trudno sobie wyobrazić kiedy ten człowiek miał czas się pożywić, lub trochę snu w nocy użyć! Oprócz tej pracy prawie urzędowej, w dziedzinie beletrystyki i publicystyki, miał jeszcze Kraszewski liczną korespondencję, która się też na działy dzieliła, — były listy w kwestiach naukowych, społecznych, listy prywatne do rodziny i do przyjaciół, — a tych nie skąpił nigdy, był zawsze akuratywnym w odpisywaniu i zdawałoby się, że im więcej czynił, tem się dla niego laskawiej czas rozciągał. Był bardzo czułym siostrzeńcem i dowiódł tego niejednokrotnie.

Pod Dreznem, w Blasewitz jego ciotka sędziwa pani Swiebowska uległa wypadkowi złamania ręki. Bawiąca również na letniem mieszkaniu hr. Mikołajowa Walewska zaopiekowała się chorą i zaraz o tem przykrem zdarzeniu zawiadomiła Kraszewskiego. Niebawem się tam zjawił srodze zaniepokojony. Nie miał dość słów na podziękę, że zajęto się jego krewną. Sam koło niej chodził z pieczołowitością córki i sam do Drezną ją zawiózł, by ją oddać pod opiekę najlepszego chirurga. Więc ta wibrująca dusza, posiadała wszystkie struny, a przede wszystkim strunę serca.

Raz na prośzony wieczorek do państwa Karolostwa Przeddzieckich, wieczorek gdzie przedstawiono szaradę ułożoną przez panienki domowe i w której one główne role grały — przybył punktualnie, patrzył z zaciekawieniem i nawet później rozmawiał (co mu się zresztą rzadko zdarzało) z Aleksandrem Przeddzieckim. Wogóle, raczej słuchał, niż mówił, ale tu widać było, że się sam odzywał. Wychodząc z wieczoru zaś, wrócił... po kalosze, które zapomniał. Starsza córka domu nie chciała pozwolić nikomu na szukanie owych kaloszy, ale chciała mieć szczęście podać je sama mistrzowi. On wyglądał nieco zażenowany, i widać było, że entuzjazmu tego nie pojmuje, lecz pobłażliwie i z wdzięcznością patrzył na dziewczętko.

Za kurtyną myśli widzę obraz dalekiej przeszłości i jak w kinematografie, na ulicach drezdeńskich tę sunącą nieco przygarbioną postać, która miała

mieć tyle radosnych chwil z okazanego jej uznania w czasie jubileuszu, a potem tak gorzki kielich znie wag do wypicia. Dobrze, iż przyszłość bywa zakrytą — sił by nie starczyło do dźwigania terażniejszości.

Druga osobistość, sławny lumen, głębią swej myśli przewyższał jeszcze Kraszewskiego, był to August Cieszkowski. Mało się komu udzielał, nikt w Dreźnie nic nie wiedział, że tam przebywa. Pamiętam dobrze dziwne z nim spotkanie. Wracałyśmy z naszym ojcem z galerji rzeźb, gdyśmy spotkały jednego pana o charakterystycznej twarzy przypominającej tylko co widzianą z marmuru głowę Sokratesa, stary grecki antyk. Ów jegomość bardzo serdecznie przywitał się z naszym ojcem i wielce przyjaźnie nas uściśnął za rękę, nie znając nas, ale domyślając się kim jesteśmy. To nas jednak nie objaśniło kim on był i jak się nazywał. Gdy się oddalił, jedna z nas zapytała: „Kto jest ten pan taki podobny do biustu Sokratesa?“ Mój ojciec się uśmiechnął. „Rzecz dziwna, że głowa naszego filozofa Augusta Cieszkowskiego tak przypomina największego greckiego luminarza“. A więc to Cieszkowski... słynny Cieszkowski... O „Ojczenaszu“ się wiedziało, umysły tylko nie były dość dojrzałe, żeby go czytać, ale znałyśmy drogi ducha — i pamiętne były słowa Mickiewicza o nim wyrzeczone. I ten dzień wydawał nam się dniem tryumfu, zwycięstwa, gdyż spowodował zbliżenie nasze mimowolne, do tego wielkiego człowieka. Później spotykano go często — zawsze się

serdecznie witał i rozpytywał się życzliwie, jak gdyby go interesowały studia młodych, gusta, zdania, nawet podlotków. Wyższość chętnie się zniża, nie zna lekceważenia. Życie uczy, iż tylko pseudowielkościom, przysługuje monopol wyniosłości, pomiatania drugimi. Charakterystycznym był u Cieszkowskiego jego sposób podania ręki — silnie trząsł dłonią przez sekund kilka, a patrzył w oczy tak szczerze, tak wymowne było jego spojrzenie, iż darzyło życzliwością, która przenikała do głębi. Filozof zajęty był wychowaniem miłych chłopczyków, żonę już był stracił. Najczęściej z nimi tylko przybywał, brał ich na przechadzki, wszędzie im towarzysząc. Radość była ogromna gdy nas odwiedzał. Nasza matka wiedząc o naszym życzeniu, prosiła go kiedyś, aby zajrzał do nas wieczorkiem. Odpowiedział z prostotą: „Wieczorami nigdy nie wychodzę, będąc w żałobie“. „Więc pan w żałobie, czy dawno?“, wyrwało mi się. „Od lat siedmiu, od chwili gdy straciłem żonę“... i urwała się rozmowa.

Żałoba jego chyba z życiem się skończyła. To spojrzenie jego było wtedy tak wymowne iż pozwoliło zajrzeć do sanctuarium duszy. Najbardziej ukochana istota odeszła... osierociła go. Więc szedł drogą życia bez umiłowanego sprzymierzeńca — szedł łagodnie, z uśmiechem pobłażliwości dla drugich, z sercem zbolełym. Serce było tak wierne, że rozstanie dodało mocy tej miłości, że się ona rozszerzała i jakby skrzydłami swymi unosiła go w sfery lepsze, wolne od wszelkiego zła, zawiści

i niechęci, w sfery ciągłego kochania — gdzie niema bólu rozłąki.

Cieszkowski dał klucz do poznania, że ciężar bólu może nie ugniatać, lecz oskrzydlać i uwyraźnić słowa poety: „Najpiękniejsza dusza będzie wśród dusz wiele, ta co boleść mając, udaje wesele“¹. Lecz on nie udawał — cierpiał, a jednak miał radość: cierpienie nie było pogwałceniem, gdyż było opanowane, a na tem tle co daje spokój, czyli owe zwycięstwo ustalone, wykwiła krzew Radości... I owa Radość przypomina krajobraz majowy, który lud nazywa „płaczem królowej“, gdy mimo deszczu słońce się pokazuje i dziwnie pięknie przyświeca wśród drzew po przez ową perlistą zasłonę. Więc krzyż swój nosząc, żal swej uwiecznił czynami. Na cześć tej drogiej towarzyszki życiowej, będąc głównym założycielem i urządzając szkołę rolniczą, chciał, aby była pod jej wezwaniem, dał jej imię żony — „Halina“. Te jej wspomnienia żywe, tych dwoje chłopiąt chował z miłością i troskliwością, a każdemu z ludzi obcych służąc życzliwością, choćby tym serdecznym uściskiem ręki, który nie był formułką banalności, lecz w której dawał część siebie, swego ducha. Tak przyjemnie i ciekawie było śledzić jego kroki, jak szedł z chłopczkami gdy im ojcował na spacerach i zabawach dziecięcych, nawet wtedy stosował się do młodego otaczającego go światka. Widać było, że go nic nie

¹ Brodziński.

nuży, iż zabawa dzieci rozwesela go i że ją dzieli. Widywałam filozofa i w kościele i tam w czasie świętej Ofiary czuć było, że duchem był z nią złączony.

Bywał on powodem roztargnienia naszego na tej prześlicznej Mszy Św. w Dreźnie, z całą uroczystością odbywającej się przy dźwiękach orkiestry, partii solowych i chórów towarzyszących modlitwie. My z umysłu już siedząc zbliżone do miejsca gdzie stał Cieszkowski, patrzyliśmy bezustannie na niego. W chwili Podniesienia, zamiast być skupioną, śledziłam jego postawę — a szczególnie wyraz. Przykładał wtedy i był wpatrzony w ołtarz. Tego wyrazu nie zapomni się nigdy. Zdawało się, że jego wzrok znieruchomiał, że tak pojmuję św. Tajemnicę, iż nie tylko okiem wiary patrzy, ale i okiem wiedzy, ma przeświadczenie tej świętej Ofiary, — i dlatego rozum i serce i umysł, wszystkie władze, podlegają duchowi i razem zespolone Bogu cześć oddają. Ale cześć była synowska, nie nosiła etykiety ani dworskich znamion, gdyż On, autor „Ojcie nasz“, do Ojca Niebieskiego mówił „Ojcie nasz“ jako syn.

Przypominam sobie obraz pamiętny, który w duszy został wryty. Msza, kościół cały przy odgłosie muzyki rozmodlony, mój wzrok śledzić zaczyna filozofa. Na klęczącą w głębokim skupieniu postać, spływającą z okna bocznej nawy strumienie światła. Twarz jego rozpromieniona, wzrok zafascynowany czeka spełnienia się próśb, a z całej postaci wieje Prawda i prostota, a pod tym żywym obrazem

wyobraźnia kreśli napis „dajcie małym dzieciom przystąpić do mnie, do nich należy Królestwo Niebieskie“. „Jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego“. On na drodze dobrej woli przebiegał wielki gościniec Wiedzy i ten go powiódł do posiadania Prawdy — rozumiał ją jako mąż dojrzały, który z całą świadomością jest pewien tego, o czym dziecię wie bezwiednie, który mając oko proste Ewangelji, nie szuka ani popisu, ani sposobu okazania się wielkim przed ludźmi, ale który żyjąc z Bogiem sam stał się prawdą życiową, miłującą to co piękne i wielkie, a czyniącą dobrze.

Filozof do końca życia brał udział w społecznych sprawach i w życiu publicznym. Zajmował się ostatnimi laty rozkrzewieniem wśród włościan w Księstwie uprawy eukaliptusu. Chciał, żeby ta roślina zdrowotna zabezpieczyła od febry i uzdrowotniała powietrze. Mówił podobno o tem filozof przekonująco i z młodzieńczym zapałem, bo zawsze i wszędzie chodziło mu o postęp — i to, co kiedyś powiedział, że jesteśmy stworzeni dla postępu, żeby coraz ulepszając się dążyć do zbliżenia się do Boga — uskuteczniał myślą, słowem, czynem.

Sądzę, że Cieszkowski nie tylko jest jednym z luminarzy drzewa filozoficznego, przedstawiającym gałąź polską tej wiedzy, ale najdoskonalszym typem kultury narodowej. I powinien być żywym dla nas przykładem.

Z BISPINGÓW GENERALÓWA KICKA

(PORTRET Z 1830)

Rzadko kiedy postać tak czarująco urocza, przesunąć się może przed duszą oczyma. Osoba nie-młoda, ale mająca czar młodości. Włosy, jakby pudrem z lekka pobielone, okalają klasyczny owal fantastycznymi lokami. Uśmiech pełen powabu jest prawdziwym czarem, który nie dopowiadając wszystkiego, dziwnie mile sugestionuje. Ten uśmiech, to akord symfonji, wywołujący u widza-słuchacza nastrój pogodnej refleksji. Bławy patrzą jasno i nieuchwytnie. Nic ostrego w tej fizjonomji — wszystko dziwną harmonją zlane... nawet rzęsy frendzlą jasną zasłaniają źrenice. Nos zgrabny, prosty, logiczny. Ta postać urodziwa, prosta i wysoka jak topola, musiała być kiedyś wiotką i wysmukłą. Lata nie zaciążyły, tylko powagę majestatu zdobyły przez zasługi. Szyja zgrabna, długa, biała, szeroka bluza lekko modeluje figurę, spódnica czarna jedwabna fałdzista (tak noszono po roku 1864) spływa po uroczej postaci.

Życie przytępiło wszelką jaskrawość w tym ży-

wym obrazie i po mistrzowsku wymalowało jakby tłem liljowem cechę melancholji, wynikającą z doznanych smutków. Widzę ją jak siedzi w domu i maluje to portret rodzinny, to obraz religijny do wiejskiego kościoła. Jej głos dźwięczy jak melodia strumyka, a słowa są ciepłe, serdeczne, bez afekcji, bo nawet w słowie pospolitem wyciska pieczęć indywidualności. Jakże mile wita gości, jak się umie zastosować do młodocianych umysłów, prowadząc z nimi rozmowę. Nie uczy, ale od niechcenia wywołuje zdania — stosowną odpowiedź, sugestionuje zastanowienie, rozumie odrębne usposobienia, naprowadza te nierozbudzone jeszcze główki na drogę rozeznania się w zakętym ogrodzie Wiecznego Piękna, co się zowie Sztuką — bo dziecko choć nie rozumie, głęboko odczuć potrafi. To też nie zdając sobie z tego sprawy wywoływała u najmłodszych dzieci — okrzyk podziwu.

Nazywano ją nadzwyczajną, przemiłą. Taką się nam okazała po roku 1864 Natalja z Bispingów generałowa Kicka. Urocza Litwinka Natalja Bispinżanka oddała rękę i serce dzielnemu wojownikowi generałowi Kickiemu. Hymen połączył chwałę z urodą — męstwo z wdziękiem. Taka niespospolitych ludzi para musiała być rzeczywiście niezwykle pięknym obrazem. W trzy miesiące potem nastąpiła Noc Listopadowa — powstanie 1830 — burza krajowa zdmuchnęła osobiste szczęście.

Generał Kicki stanął mężnie na czele swoich hufców do boju. Zginął na polu Chwały. Serce mło-

dziutkiej żony takim ciosem strzaskane, na tyle jednak męstwa się zdobyło, iż potrafiła wytrwać na stanowisku życiowym, nie dała się opanować bólowi, ze względu na przyszłe oczekiwane macierzyństwo. Było to żyjące wspomnienie bohatera ta po jego śmierci urodzona córeczka i ona się stała dla matki celem życiowym.

Generałowa była młodą, śliczną i czarującą, nie mówiąc już o doczesnych dostatkach. Znalazło się wielu takich, którzy jak się wówczas wyrażano — ginęli dla niej z miłości. Ale nie dochodziły do niej błagalne prośby, bo dusza powtarzała wiersz Mickiewicza:

Po jakie iść może rozkosze
Kto poznał Boga wielkiego na Niebie
I męża ukochał wielkiego na ziemi!

Modelować charakter córki na wzór ojcowskiego, nauczyć ją kochać co piękne, zapoznawać ją z arcydziełami Sztuki — było zadaniem generałowej, dlatego z dorastającą córką odwiedzała często Włochy, Szwajcarję. Ale nie danem jej było dokończyć dzieła wychowania. Choroba zabrała w szesnastym roku życia najukochańszą istotę i osierociła zupełnie mężną niewiastę.

Jakim sposobem przeżyła ten cios? Bo przeżyć i przeżyć — można różnie. Jakim sposobem serce tak wrażliwe z bólu się nie rozpadło?

Jakim sposobem duch jej nie zgasł, nie zgorzkniał, a stawał się ciągle jaśniejszy i pogodniejszy?

Jest to tajemnica Boża. Generałowa miała po tem nieszczęściu zrealizować słowa poety: „Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, — zresztą jednak”.

Zawierucha 1863 zagnała ją do Drezna. Tam przepędzała lat parę, tam nam dzieciom danem było ją poznać.

I na to cudne patrząc zjawisko,
Zdawało się nam czarów być blisko.

Tam w ciągłej o los kraju trosce zajmowała się wygnańcami, starała się ulżyć ich doli. Później nie danem już nam było z nią się spotkać na ziemi.

Mówiono mi, że wróciwszy do kraju otaczała opieką ubogich i malarstwu poświęcała wolne chwile. Bullę o Niepokalanem Poczęciu, czyli Dekret papieski na wszystkie języki tłumaczony, naród każdy w ozdobnej oprawie, z tekstem w języku własnym, ilustrowanym ofiarował Stolicy Apostolskiej.

Polska nie istniejąca jako państwo, ale jako naród, trzy takie księgi złożyła Rzymowi. Tekst polski pisany po gotycku, zdobiąc prześliczną ilustracją malarską, ofiarowała Marja z hr. Tyzenhausów hr. Przeddziecka, litewską malowała z Sobańskich hr. Idalja Platerowa. Generałowa Kicka wzięła się do malowania Rusińskiej, ozdabiając kwiatami rodzinemi stronnice z wypisem tekstu bulli, pisanym po rusińsku, gotyckimi literami.

Sama była żywym obrazem minionej przeszłości. Jej ton wytworny kształcił tych, co się do niej zbliżali. Była akumulatorem elektrycznym, udzielają-

cym światła i patriotyzmu. Czuła tak silnie i tak bez przesady, że prąd serdeczności od niej pochodzący, dochodził do twardych serc, które miał dar zmiękczyć.

Listy jej były prześliczne, doskonałą polszczyzną pisane i bardzo indywidualne, gdyż ją doskonale malowały. Słowa takie serdeczne, wibrujące! Tak umie prosić o pamięć, i tak za nią umie dziękować! Mówiono: „Skoro tak pięknie pisze, czemu tego talentu nie uprawia“. Lecz takie osoby pisać nie potrzebują — one są żyjącem pismem i pobudzają u drugich zdolność wyrażania tego, co widzą, za pomocą znaków widzialnych.

Wyobraźnia zatrzymała mi wizerunek generałowej z lat 1864—1865 w kapeluszu szerokim, chroniącym od słońca, zapatrzona w horyzont daleki. Nad nią wzrok duchowy upatruje dwie postacie miękko wylaniające się wśród obłoków. Jest to generał niezłomny i łagodny — dzielny i cichy, i tuż przy nim tkliwa polska dziewczeczka — dziecię miłości, na matkę zapatrzone.

Musiały te dusze ukochane wyjednać jej spokój w boleści, — i to, że o nich myśląc, przeszła przez świat czyniąc dobrze, jako symfonia, Piękna, jako Polska Pieśń poświęcenia.

WSPOMNIENIE O GUSTAWIE OLIZARZE

Nie trzeba, aby mech zapomnienia rozrastał się na mogiłach tych ludzi, którzy w najtrudniejszych czasach, całą duszą Ojczyznę miłując, wierzyli, że owa dla wszystkich utracona „zmartwychwstanie“. Oni to właśnie, wiarę tę następcom przekazując stali się poniekąd heroldami rezurekcji naszego kraju.

Nic w świecie materji nie ginie, to samo dzieje się i w świecie ducha.

Jednym z tych ludzi cichych, a wielce zasłużonych był niezapreczenie Gustaw Olizar. Należał do rzędu tych, którzy aczkolwiek nie byli męczennikami patriotyzmu, działalnością swą wielce się przyczynili do naszego późniejszego istnienia.

Głośny literat angielski z końca XVIII wieku, Johnson, mawiał, iż tylko ci co sami znali wybitnych ludzi mogą pisać ich monografie.

Opieram się na tem zdaniu, przystępując do skreślenia tego wizerunku, opartego na osobistych wspomnieniach.

Gustaw Olizar, wuj naszego ojca, uczył nas

dzieci grać w „sekretarza“, budząc radość i zaufanie, wieczorem zaś pokazywał nam gwiazdy na niebie. Umiał uśmiechem swym wywoływać u drugich wesołość.

Mickiewicz powiedział, że niema szczęścia w rodzinie, gdy go niema w Ojczyźnie, prawdę tę życiem swem uwydatnił pan Gustaw.

— „Cierpieniem całego życia, pisze on w pamiętnikach, było namiętne przywiązanie do Ojczyzny... Wciąż trwały te ciągle za nią cierpienia, te walki umysłowe z wewnętrznymi i zewnętrznymi jej wrogami, karmienie się nadziejami a pożeranie gorzkiej strawy rzeczywistości. Może Bóg miłosierny pozwoli i mnie dokończyć i ubarwić te karty życia mojego weselszym blaskiem, a smutek rodzin lub osobisty, z nieszczęść powszechnych wzrosły i z nich czerpany, zatopić w jakim nieznanem źródle błogości krajowej. Może i mnie samemu przyjdzie dziwować się jeszcze, żeśmy mogli kiedyś być tak nieszczęśliwi“...

Po tylu latach ubiegłych klisze z „camera obscura“ mózgu, gdzie nietknięte leżały, wydobywam i widzę wysoką postać dziadka naszego, pana Gustawa, jak kroczy cicho i powolutku po naszym salonie, z nieodstępnym na ustach uśmiechem. Zaznaczyć muszę, iż uśmiech ów nie był stereotypowym ani pochodził z konwenansów; był on tylko rozwinięciem promiennego stanu ducha. Oczy niebieskie, które często przymrużał, nie tylko dobrotliwie, ale i żartobliwie umiały patrzeć; rysy były foremne:

czysto ogolony nosił bokobrody à la księżę Józef. Usta zaś jego zdradzały niesłychaną subtelność i prawdziwą wytworność w ocenie ludzi i rzeczy.

Pobłażliwość nie była u niego wynikiem naiwności, ale owocem chrześcijańskiej mądrości. Znał ułomność ludzkiej natury, więc rozumiał przyczynę jej kalektw, a wzrok bystry, dostrzegając komizm życiowy, dawał mu sposobność do dowcipnych żartów. — „Panie, rzekł raz po zgonie niezbyt wykształconego człowieka, świeć nad jego duszą, jeżeli nie nad głową, bo wiele tam było ciemnoty!“ — My dzieci, byliśmy olśnione jego umiejętnościami. Z papieru zręcznie wydierał sylwetki palcami, sceny przedstawiające bajki Lafontaine'a lub Krasińskiego. Rysował znakomicie, w chwilach potrzebnego wypoczynku po pracy umysłowej oddawał się z zamiłowaniem rzeźbie. Nauczycielkę naszą, a było to przy schyłku jego życia (w 1864) gdy zmożony chorobą prawie chodzić nie mógł, — prosił by mu odczytywała listy Moniuszki, z którym był w korespondencji, gdyż namawiał go do napisania opery p. t. „Wanda“, do której był przygotował libretto. Zwolennik homeopatji, przyswoił sobie tę naukę a wydawszy o niej traktacik z zamiłowaniem leczył temi środkami i znajomych.

Niepodobna nie podziwiać tej ciągłej ruchliwej czynności, nie rozdrabniającej bynajmniej umysłu, umiającego się zawsze koncentrować na każdym polu wiedzy ludzkiej.

Urodzony¹ jak Mickiewicz na dwa lata przed ubiegłym stuleciem, nie zaznał opieki macierzyńskiej, pozbawiony matki, którą utracił gdy rozpoczynał czwarty rok życia. Miał brata Narcyza, późniejszego kasztelana i siostrę Adele, 1-mo voto Konstantową Przezdziecką, 2-do voto Dziekońską.

Otoczony od niemowlęctwa szeregiem zdolnych profesorów, mając lat dziesięć zostaje oddany do sławetnej szkoły Krzemienieckiej. Założycielem jej był jak wiadomo nieporównany Tadeusz Czacki. Wiele dodatnich rysów dla przyszłego biografa Czackiego dostarczają pamiętniki Olizara. — Czacki, mówi pan Gustaw, zakładając szkołę narodową najwięcej dbał o utrzymanie ducha obywatelskiego. Ten ojciec młodzieży chciał nas przyzwyczaić do publicznego życia, którego tak pragnął dla naszego wieku dojrzałego, a którego niestety my i pod starość sprawować nie możemy. On to pierwszy oswoił nas z myślą, że w każdym wyższym urzędniku człowieka i serce wpatrywać należy. Krzemieniecka szkoła okazała się istotnie hodowlą znakomitych ludzi. Oprócz religji i nauk ścisłych kwitły nauki wyzwolone. Uczono języków, francuskiego, niemieckiego, angielskiego, polskiego, rosyjskiego i odnośnych literatur. Nie zapomniano o sztukach pięknych, więc ćwiczone się w muzyce — w rysunkach, a później kto chciał i w malarstwie. Wykładano nu-

¹ Urodził się w r. 1798 jako syn Filipa Nerjusza i Marji ze Szczyttów małżonków Olizarów, podczaszostwa W. Ks. Litewskiego.

mizmatykę i początki architektury. Lelewel zanim został historykiem wyszedł stamtąd, jako numizmatyk, Besser botanikiem, Feliński poetą. Opowiadała mi towarzyska i wierna przyjaciółka mojej babki, 1-mo voto Przezdzieckiej, p. Dziekońskiej, że przebywający w domu Olizarów nauczyciel Włoch, namówił niedomagającego hr. Olizara na wyjazd do swej ojczyzny umiłowanej, Italji. Pan Gustaw o nim nie wspomina, ale nadmieniam, że rodzinny domowy doktor, który już raz życie ojca jego uratował, używając swego wszechmocnego wpływu, niejako zmusił podczaszego do odebrania syna z Krzemieńca, aby wraz z nim towarzyszył mu do ciepłego kraju, gdzie dziedzic Korostyczewa miał zdrowie odzyskać. Młody Gustaw w uroczej Italji poznawszy piękną Francuzkę, u księżnej Borghese, młodzieńką hrabiankę de Molo, zapalał ku niej miłością jako 17-letni młodzieniec, a za zgodą ojca zawarł z nią związek małżeński. Wkrótce potem podczaszy zakończył życie. Pan Gustaw wtedy zamieszkuje z żoną w rodzinnym majątku, w Korostyczewie. Mimo, iż życie mu zatruwa rodzina żony, bierze on pióro do ręki i wynurza swe uczucia w podniosłych wierszach trzymanyh jeszcze w stylu klasycznym, na cześć Kościuszki i Kilińskiego. Aby służyć krajowi kreśli monografię znakomitych u nas ludzi, począwszy od Kopernika. Niektóre życiorysy, jak Marcina Romera i Felińskiego pisane zostały dla propagandy po francusku. Mimo całej swej delikatności uczuć, nie mógł p. Gustaw wytrzymać w kajda-

nach, nałożonych mu przez rodzinę małżonki. Za jej zgodą stara się o rozwód i jedzie w tej sprawie do Warszawy. Tam w domu krewnego hr. Wincen- tego Krasińskiego zapoznaje się z ówczesnymi przedstawicielami literatury, zwłaszcza z Niemcewiczem, Koźmianem, Morawskim. Gustaw znajdując upuszczenie dla swego usposobienia humorystycznego w te literackie kole, pisze wraz z nimi: „Niesnaski Parnasu“. Ten zbiorowy poemat ilustruje rysunkami nasz Wołyński poeta. Obowiązkowość jego kierowana światłym rozumem jest tak znaną, iż zaocznie zgromadzenie 400 polskich obywateli wybiera go na marszałka gubernjalnego trzech zabran- nych prowincji, z główną siedzibą w Kijowie. Otwiera się teraz dla Olizara pole społecznej działalności. Niema u niego dysonansu w życiu, zawsze najści- ślejsza panuje harmonja. Słowo marszałka jest czyn- nem myśli, a czyn urzeczywistnieniem słowa. Nie- tylko potrafi on mową wiązaną rozczulać się nad dolą włościanina w wierszu¹ pisanym na chrzest

¹ Ale wieśniak znekany drżące wlekąc nogi
Zaledwie mógł przestąpić polskich gmachów progi
Zbliżył się i w kolebkę włożył kawał chleba
A stargane już ręce podniósłszy do nieba
Wyrzekł z płaczem: Mój Boże Wielki świata Panie
Ty widzisz czy na większą ofiarę mi stanie,
Dzielię się mym majątkiem, niech to dziecię za to
Przez swą dobroć prac naszych stanie się zapłatą,
Niechaj wie, że przynajmniej litować się godzi
Nad tym co karmiąc drugich, sam zgłodniały chodzi.

syna Fr. Morawskiego, lecz współobywatelom za- proponuje oczynszowanie włościan. Wobec jednak ciemnoty i zacofanych pojęć, wnioskodawca będzie miał za sobą tylko dwóch marszałków powiato- wych! Olizar potrafił i w odczutej bajce dać ostrze- żenie, a bajkę „wąż i osa“ zakończył temi słowy:

„Wam to dziedzice wiedzieć nie wadzi
Do czego rozpacz prowadzi“.

Młody marszałek pokochał płomienną miłością śliczną Rosjankę, córkę generała R. A. gdy ten od- mówił mu jej ręki z powodu różnicy religji i zapa- trywań narodowych, taka wtedy rozpacz owładnęła Gustawem, i taki nastąpił stan depresji ducha, iż aby zdala być od ludzi schronił się na Krym, dla przestawiania w samotności ze swym bólem. Echo tych przejść doszło do Mickiewicza, który w ostat- nim krymskim sonecie p. t. „Ajudah“ zwraca się do niego temi słowy:

„Tak i ty również o poeto młody“.

Gustaw odpowiada mu wierszem pełnym niekla- manego uwielbienia. Po tem duchowem zetknięciu się z naszym wieszczem, coraz więcej wierszy wy- chodzi z pod pióra Olizara. W „Świątyni boleści“ są rzeczywiście bardzo piękne i wzniosłe ustępy, odno- szące się zawsze do straconej Ojczyzny.

Adam Zawadzki w Wilnie wydał tomiki Poezji Olizara p. t. „Wspomnienia“. Bardzo były one ce- nione. Gdy Gustaw wraca do rodzinnego Korysty-

czewa, podejrzany o sprzyjanie dekabrystom zostaje wywieziony do Petersburga do Petropawłowskiej twierdzy. Ponieważ nie należał do tego ruchu, niebawem uwolniono go. Ledwo jednak przeszedł progi rodzinnego domu, ściąga go do Warszawy rozkaz W. Ks. Konstantego, a tam znowu go czeka więzienie i śledztwo. Po ponownym uwolnieniu z więzienia pisze poeta powieść p. t.: „Selgo“, którą poprzedza wstępem — a wart jest przytoczenia, bo maluje wiernie uczucie i sposób myślenia autora: „Opatrzności to jest sprawa, że dobrodziejstwa osobiste wywołujące wdzięczność, nie przytłumiają nigdy obowiązków względem Ojczyzny“. Widzimy jak ciągle czujnie stoi na straży tego uczucia. Oto parę strof wiersza dziękczynnego dla Boga z okazji doznanego szczęścia z tą wybranką, z którą go później związały śluby małżeńskie:

„Bez wiedzy Twojej cud ten się nie zrobił,
Tyś moje serce upodobał sobie,
Tyś mnie przez rozpacz do szczęścia sposobił —
Wstał nędzarz z martwych i stanął na grobie.
I oczy wznieść się do nieba nie boją
I duma moja jest wielkością Twoją.
Tworzyć z niczego Twoim to udziałem,
Twoją czuć łaskę serce moje zdoła,
Ale jej pojąć nie śmiem i nie śmiałem —
Wszak widzialnegoś dodał mi anioła,
Tak gdy nadludzką uwieńczasz mnie dołą
W miłość zamieniasz i wolność i wolą“.

Gdy zaprowadzone zostały w Rosji sądy Sumienia (będące czemś pośredniem między sądem przy-

sięgłych a sądem Pokoju), wybrano Olizara na prezesa. Zajmuje się wtedy gorliwie rozwojem instytucji, studjując jej ducha. W tej epoce żeni się z hr. Ożarowską i prawdziwe szczęście znajduje w tym związku. Patriotyzm Olizara był tak znany, że gdy wybuchło powstanie 31 roku rząd go wysłał do Kurska, lecz tym razem towarzyszyła mu żona, osładzając mu wygnanie. Po zawiedzionych nadziejach rewolucji 31 roku pp. Olizarowie uwolnieni udali się do Rzymu. Przebywali tam wówczas pp. Ankwiczywie, Mickiewicz, później i Krasiński. Zbierano się dla omawiania sposobu służenia Ojczyźnie po klęsce 31 roku.

Spółeczna praca zawsze absorbowowała naszego poetę. Wypadki krajowe nie zabiły mu ducha, wzmocniły go jeszcze. W roku 1836 w Memorjale Wstępnym, wysłanym do Petersburga wykazuje prześladowanie religijne i zaznacza, że inne narodowości prócz polskiej mają przywilej uczenia się ojczystego języka, *my jedni na znacznej przestrzeni ziemi posiadamy tylko jedną katedrę literatury polskiej w Kijowie*. Gdy Kraszewski rozpoczyna w Wilnie wydawnictwo „Ateneum“, zaprasza Olizara do współpracy. On wtedy posyła udatne wiersze p. t. „Pielgrzymki“ i spolszcza powieść słynną d’Azeglia „Nicolò del Lupo“. Dla Encyklopedji wileńskiej kreśli życiorys Czackiego. Pisuje po francusku do dziennika „Nord“ dla podania projektów co do uwłaszczenia włościan, chcąc wpływać na opinię publiczną za pośrednictwem gazety, czytanej w Ro-

sji. Ziomkom swoim zaleca odstępianie od przywilejów propinacji mówiąc, że kieliszkowa intrata upadła i znikczemnia obywatelski charakter dzieciaków. W sprawie włościańskiej często głos zabiera, zawsze żądny sprawiedliwości. Dla „Dziennika Warszawskiego” tłomaczy niektóre rozdziały dzieła adwokata Nicolas „Etudes Philosophiques sur le Christianisme”. Z powodu nadwątłego zdrowia przekazał gospodarstwo synowi zamieszkał w Dreźnie. Wypadki 1863 dotkliwy cios mu zadały. Mógł więc pisać, że od roku 1840 do 1863 „Pisma moje wierszem czy prozą wyłącznie miały cechę politycznych rozpraw, z czego wykreślić nie mogę ani libretta opery Wandy ani tłumaczenia tragedji z niemieckiego p. t. „Stermierz Rawnenny” przez Bellinghausena pod pseudonimem Dalma wydany (8). W operze „Wanda” nie trzymając się ściśle bajecznej historycznej tradycji, mam jednakowoż na celu wystawienie, że pod godłem narodu jest, było i będzie ofiara i poświęcenie się”. W jesieni roku 1864 na dobre zapadł na zdrowiu. Zawsze jednak żarcik ust się jego trzymał. Na parę dni przed śmiercią otrzymuje depeszę od syna przez kilkanaście lat bezdzietnego, że przyszła mu na świat córeczka, uśmiecha się do otoczenia i mówi: „Odmłodziłem. Oddawna byłem pradiadkiem, dziś jestem dziadkiem”. Skończył z Bogiem 2 stycznia 1865. Ostatnie tchnienie było harmonijnym akordem duszy złączonej z Wolą Najwyższego i wracającej do Stwórcy. Pracował społecznie chcąc prze-

dewszyskiem zmienić dolę włościan, z niewolników uczynić małorolnych i szczęśliwych ludzi.

Jego rozmyślania religijne są to wartościowe rady dla zastosowania życia do wiary. W jego poematach humorystycznych jest zawsze tendencja poprawiania obyczajów. *Ridendo castigas mores*. Na rok przed śmiercią zostawił dla swych dzieci następujące oświadczenie: „Jest w tych pracach moich własność narodowa, która do was należy, t. j. Miłość Ojczyzny i Wiara w Jej wskrzeszenie! Nie trwońciez tego uczucia a osobistą pracą i wytrwałością ów kapitał, w spuściźnie przyjęty, zwiększajcie”.

Kraszewski, oceniając działalność Olizara nadmienia, że: „Jego dowcip prawdziwie polski, nie drażniący nikogo prostował tylko poglądy fałszywe, nie tykając nigdy osobistości. Sterowało mu serce anielskie. Przeżył on (dalej mówi nasz słynny literat i publicysta) życie z wiekiem i z ideami ale umiał rozróżniać fałszywy kierunek i opierać się wpływom zgubnym”. Ile razy pióro brał Olizar do ręki zawsze to było w myśli służenia Ojczyźnie. Wśród licznych poświęconych tej sprawie poezji warto przytoczyć krótką tę strofę:

„Daruj Ojczyzno moja, że rozpaczę pienie
Zbyt często twoje z grobu wywołują cienie,
Lecz ja na Twoim strasznym nie byłem pogrzebie,
Nie znalazłem Cię szczęśliwą... nie widziałem Ciebie.
Tyś na świat nas wydała już przy samym zgonie,
Nie my zbójcze żelazo w twem utkwili łonie,
A jeśli stos twój bracia zapalili nasi,
Może potok łez naszych ten ogień ugasi.

Ten potok czystych i ofiarnych łez miał przeważać na szali dawne przestępstwa. Lenartowicz mówi, że lza żelazo przerdzawi. Te lzy właśnie, te modlitwy myśli i czynu miały prawo wyjednać nam miłosierdzie Boże i cud wywołać dla następnego pokolenia, cud którym się teraz wszyscy radujemy, nie zapominajmy tedy o długu wdzięczności względem tych, których Olizar jest przedstawicielem.

PANI HENRYETA EWA KUCZKOWSKA

W Rzymie w r. 1868 jeszcze za rządów papieskich, zgłosiła się do mojej matki z listem rekomendacyjnym niemłoda już pani. Dawniej zazwyczaj znajomi posyłali znajomych znajomym, jakby w darze, dodając nowe ogniwa, te zacieśniały dawne, w łańcuchu znajomości wspólnej; nowe stosunki rozszerzały się w sposób piękny i godziwy.

Pamiętam, że przybyła osoba była niepokazna. Wzrostu średniego, rysy grube, oczka małe i przenikliwe, usta dość wąskie i do uśmiechu skłonne. Zażenowała mocno naszą matkę, witając ją przesadnym niskim ukłonem, nas młodziutkich zaszczyliła dygiem i miłym uściśnieniem ręki.

„Chyba mnie wypadło uklęknąć“, rzekła nam później nasza matka, rozpamiętywając nadmierną grzeczność owej pani.

Była to, jakeśmy się później dowiedziały, pani z Ankwiczów, primo voto hr. Skarbek, secundo voto Kuczkowska, znana w szerokich kołach towarzyskich.

„Nic nam ta nazwa nie mówiła, bo nam na myśl

nie przyszła znana styczeńność z naszym wielkim wieszczem, a naprawdę pani Kuczkowska była zanadto grzeczną, zanadto uprzejmą, by jej płacono tą samą monetą, — płacono więc tylko... lekceważeniem.

Pani Kuczkowska była owocem owego staro-dawnego wychowania, owej kultury wewnętrznej i w najwyższym dlatego stopniu posiadała cnotę delikatności. Na wieczornych zebraniach w salonach, gdzie się gromadziły wybitne osobistości, na polu sztuki i literatury, z umysłu do onych gwiazd się nie zbliżała, tylko do nieznajomych, nie mających stanowiska, do skromnej nauczycielki, niepozornego nauczyciela dążyła, biorąc na siebie troskę ich zabawienia, zainteresowania. Pamiętam, kiedyś wśród pięknego wieczoru, gdy zebrany był kwiat towarzystwa i ówczesnej sławy, przysiadła się do nieznanej nauczycielki, bawiąc ją rozmową barwną i interesującym opowiadaniem. Drugi raz odszukuje księdza, świeżo przybyłego do Rzymu, i zaraz zajęła się nim w taki sposób, jak gdyby ów młody kapłan był najpierwszą osobistością świetnego zebrania, gdzie świecił Liszt, znajdował się Hebert, słynny podróżnik Hubner i t. d. Dawny Cicerone Mickiewicza trzy Rzymy odróżnia: Rzym Pogański, Rzym Katakumb, Rzym Renesansowy. Rzym, tłumaczyła, to miasto powszechne, zatem katolickie, par excellence, gdyż katolicyzm dobrze zrozumiany, to powszechność, — synteza wszystkiego.

Mówiła płynnie, trochę jak pedagog, perswadu-

jąco, przekonywująco. Wśród tych rozmów nigdy jej nie przyszło na myśl wspomnieć, jakim ludziom niegdyś ciceronowała, że Mickiewicz poznał Rzym w jej towarzystwie, poświęcił wiersz swojemu Ciceronowi. Ta dyskrecja może wrodzona, była też nabytkiem dawnej kultury ducha. Byłoby w złym smaku czemkolwiek się popisywać, mówić o sobie. Pani Kuczkowska bała się tego, jak grzechu. I w tem było nieco przesady. Francuzi mówią z racją: „il faut de la vertu, mais pas trop n'en faut“. (Trzeba by cnota istniała, ale zbyt w cnocie nie trzeba). Ta dyskrecja pani Kuczkowskiej była u niej niepotrzebnym zbytkiem I rzeczywiście szkodę przyniosła społeczeństwu; tyle byłoby wspomnień osobistych ciekawych. Czasem napomykała o wielkich ludziach epoki, przymrużała wtedy oczka z błogością, jakby się rozkoszowała tem wspomnieniem; po chwili zaś otrząsała drobny pył możliwego subiektywizmu i przybierała ton obiektywny miłego drogmana, nie pedanta, przedewszystkiem piastując dział informatorski, bieżący. Mimochodem wspominała o papieżach, i o błogosławieństwach uzyskanych od każdego z nich na audjencjach. Znała więc Piusa VIII, który tak krótko panował, a którego przepowiednia nazwała mężem pobożnym. Później była przedstawiona Leonowi XII, o ujmującej postaci, wreszcie Grzegorzowi XVI, który na prentacji każdego zwykle cudzoziemca, przybywającego do Rzymu, pytał, jak długo pozostać w Rzymie zamierza, — jeśli parę tygodni, to twierdził, że nie

wróci więcej, jeśli zaś 6 tygodni przesiedzi, to częstym będzie gościem w Rzymie. Sprawdziło się to na jej rodzicach. Kochali Rzym po głębszym poznaniu, przyswoiwszy sobie piękności Wiecznego Miasta.

Grzegorz XVI miał być surowych obyczajów i o surowym wyglądzie, ale ten kameduła na pozór szorstki, w gruncie rzeczy był bardzo dobry, — nie wyrzekł się ducha swego zakonu; twardym zakonnikiem pozostał zawsze na Stolicy Piotrowej. Opowiadała pani Kuczkowska, jak przybyłemu do Rzymu młodemu kamedule, modłącemu się gorąco w kościele Andrea del Valle, jakaś staruszka, znana ze swej świętobliwości, przepowiedziała tjarę; miał wtedy podnieść ramiona i uśmiechnąć się niedowierzająco. Dopiero później opowiadał o tem zdarzeniu, gdy owa znana w Rzymie przepowiednia się spełniła.

Słyszając jej ciekawe opowiadanie zbliżyłam się do córki jej z zapytaniem: „Proszę powiedzieć mi, czy ów wiersz naszego Adama do p. Henryki nie był do matki jej pisany?” — „Naturalnie” — odrzekła Zosia — „mama ciceronowała Mickiewiczowi, cały Rzym pokazywała i wzamian ten wiersz otrzymała... i jeszcze tyle innych” — dodała szeptem. — „Cicho, cicho, mama o tem nie lubi mówić, cienia własnej pochwały się boi”.

— „Za to ty nam opowiadać będziesz” — odrzekłam.

— „Dobrze — powiedziała, — ale jak się nam zdarzy być tylko na osobności”.

Od tej pory szukałyśmy sposobu rozmawiania z Zosią bez świadków w samotności. Opowiadała nam wtedy o częstej obecności Mickiewicza w domu jej dziadków, pp. Ankwiczów.

Stolnik dumny, hardy, bez litości — to rysowany z natury pan Ankwicz.

Był to charakter niezłomny. Zosia mówiła: „Mama wiedziała, że go nigdy nie przekona, a pójść za popędem serca wbrew jego woli było niemożliwe. Bo dziadka nie można było lekceważyć, on nie byłby się wahał może i przekląć mamę, byłby wołał, aby się wszystko w proch zapadło raczej, niż przystać na to, czego mu wzbraniał dawny sposób myślenia; choć niewłaściwie, ale głęboko zakorzenione zasady — pryncypja, jak wówczas mówiono”.

Więc mając uczucie w sercu, wypadło Henryecie cierpieć i milczeć raczej, niż się narażać na przekleństwo ojca, lub śmierć matki, która by takiego sromu nie przeżyła!

Pani Ankwiczowa należała do dawnej falangi niewiast, na ślepo mężom posłusznych. Wieszczy nasz pojął całą grozę sytuacji; z życia też jest wzięty epizod stolnika, Ewy, rozpacz Jacka.

— „Ale czy się rodzice domyślali uczucia Ewy?”, pytałyśmy z ciekawością.

— „Nie wiem, — mówiła córka, mama zawsze miała, lub się siłowała mieć ten wyraz pogodnego usposobienia, jak i teraz. Prawda, że jest więcej niż

uprzejmą — jest nadskakującą. Mickiewicz wielce cenił tę zaletę“.

— „A jak wyglądała, czy ładną była?“ — pytałyśmy niedowierzająco?

— „Nie powiem, żeby była ładną — brzmiała odpowiedź — ale nadzwyczaj miłą była i tem co się zowie polską, codzienną pięknoscia.“

Śnieżysto biała, rumiana, świeża, choć niezbyt wysoka, miała zgrabną i proporcjonalną figurę. Mickiewicz był jak twierdziła mama, uosobieniem powagi i dystynkcji moralnej, wewnętrznej, która się na zewnątrz odbijała. Nadewszystko miał lubić muzykę; wieczorami mama zawsze grywała. Czasem nasz wieszcz do dziadków zawitał wcześniej, wtedy zwykł prosić mamę, aby zasiadła do fortepianu, o zmierzchu, gdy jeszcze światła nie były zapalone, przysłuchiwał się muzyce z całym skupieniem. Długo, długo, czasem głowę zakrywszy dłońmi przesiadywał zadumany. Muzyka wybornie go nastrojała“.

Taką rozmowę przerywała pani Kuczkowska: „Czemprędzej panienki przychodźcie, tyle jest panien i młodzieży, nie godzi się próżnować, trzeba kadryl urządzić, a może zaczniemy od polki?“ — I fertyczna staruszka, mówiąc to zasiadła do fortepianu. Przeszkodziła milej rozmowie, ale z uśmiechem i animuszem grała do tańca. Potem wynajdywała sobie osoby muzykalne, obdarzone głosem i organizowała naprędce śpiewy, chóry i radowała się radością drugich.

Nigdy mi się tak nie uwydatnił jej wysoko rozwinięty talent towarzyski, jak kiedyś na wiejskiej wizycie. Odwiedzaliśmy Polkę zamężną za Włochem. Od stacji kolei ze stolicy dojeżdżano parę godzin powozem. W pięknej willi włoskiej towarzystwo dość liczne zasiadło w półkole, a rozmowa pół włoska pół francuska szła leniwo, wśród żywiołów nie bardzo dobrze ze sobą zapoznanych. Przeważnie sąsiadki wiejskie włoszki szeptały między sobą ploteczki dnia. Druga zaś połowa towarzystwa, nie obeznana ze sprawami miejscowymi, musiała się nieźle nudzić. Wtem zjawia się pani Kuczkowska, lekko stąpa, niby ziemi się prawie nie dotyka, za nią postępuje zwolna i poważnie śliczna brunetka, o profilu iście z kamei, jej córka. Nie czekała pani Kuczkowska, aby nieznajome jej panie zdjęte poszaniem dla białego jej włosa jej się przedstawiły, wyprzedzała każdą swą niepojętą uprzejmością.

Potem tocząc rozmowę to po włosku, to po francusku wprowadziła ją na tory wzajemnego porozumienia. Mówiono o literaturze, o sztuce, o muzyce; zmusiła młodych do tańca, przygrywając ochoczo i z werwą. Złączone siły pod jej sterunkiem stworzyły chór amatorski, wreszcie siedząc przy fortepianie i rozmawiając od niechcenia sama grać zaczęła i wpadła w ton dawnych melodji... może tych, którym Mickiewicz tak się lubił przysłuchiwać?

„Mało podobno patrzył Mickiewicz na twarz młodej wówczas mojej mamy“, mawiała nieraz jej córka, „był ujęty jej prostotą niezrównaną, jej

uprzejmością, jej szczebiotem, życiem i rozmową naprzemian żartobliwą i poważną a przede wszystkim muzyką“.

Jednak ta pani Kuczkowska, którą w świecie lekceważono, coraz bardziej nas zaciekawiała. Starałyśmy się o ile można z opowiadań jej odbudowywać choć częściowo gmach przeszłości.

„Czy mama ma dużo pamiątek po Mickiewiczu?“

„O tak, chowa jak relikwie pisane do niej wiersze; to są jej drogocenne autografy“.

„Czyście się nie domyśliły, dlaczego nazywam się Zosia? Bo jestem córką Henryety, t. j. Ewy, którą kochać Jackowi było przez dumnego stolnika wzbronionem“.

Przyszłyśmy kiedyś do niej, wiedząc, że jej córka niezdrowa. Wracała sama z miasta, rozmaite niosąc przysmaczki dla jedynaczki i zdobywszy fajerkę zaparzała jej i nam herbatę. Długo się przy tej zaimprovizowanej herbatce rozmowa ciągnęła, jak zwykle o literaturze i o sztuce. Onieśmielona spytałam, czy nam nie pokaże albumu z autografami.

„I owszem“ — rzekła. — Spostrzegłam mimowolne westchnienie, kiedy rażnym i drobnym krokiem poszła po skarbnicę pamiątek, aby nam tę piękną księgę pokazać, ale ku naszemu zdziwieniu, jakby z umysłu więcej mówiła o Krasińskim, niż o Mickiewiczu i dłużej zatrzymywałyśmy się przy potocznych słówkach Zygmunta, niż przy poezjach do niej i dla niej pisanych Adama.

„Miałam szczęście znać — ciągnęła dalej — Kra-

sińskiego; jaki to był głęboki myśliciel i zarazem zaznany człowiek, a dla mnie wówczas bardzo młodej, kiedym go poznała, był niezwykle łaskaw; często przez właściwą sobie dobroć przysiadł się do mnie i uprzejmie przemawiał“.

„Dalej, patrzcież więc panienki, tu jest wiersz Odyńca, przyjaciela Mickiewicza. Od 36-ciu lat jestem z nim w korespondencji, rzadko kiedy przerwanej, podziwiam w nim niezwykłą młodość ducha“.

„Mama tę młodość tak lubi, bo sama jest młodszą od nas wszystkich“ — wtrąciła Zosia. — „Że jestem tak poważną, to nie tylko z mojej winy, ale że mnie tak rozpieścili rodzice. Ojciec który mieszka w ślicznej willi nad jeziorem Genewskiem, dba może jeszcze więcej o mnie, niż moja ukochana mama“ — rzekła Zosia, tuląc się do pani Kuczkowskiej.

„To prawda, jeszcze cię więcej pieści, choć trochę i psuje“ — rzekła matka lekko westchnąwszy, ale w mgnieniu oka chmurę tę rozproszyła nastrojając się do wesołości.

Więc i ze strony życia małżeńskiego jest cień smutku, pomyślałyśmy obie z siostrą. Znajomi wytłumaczyli nam tę zagadkę, odsłaniając zarazem kawał przeszłości. W myśl rodziców, w urządzonym przez nich związku młoda Henryeta, posażna jedynaczka, wyszła za mąż za hr. Skarbka. Szczerze się do niego przywiązała. Wszak i Tańska całe pokolenie uczyła, że prawe serce zawsze pójść potrafi za głosem obowiązku. Mówiono, że splot swoich pięk-

nych włosów zamknęła do trumny, zgasłego przedwcześnie, bezpotomnie męża.

Zdawało się, że na arenie życia więcej się nie pokaże, iż się skryje albo w murach klasztornych, lub w zaciszy rodzinnej, ale znowu przez miłość rodziny, dla niej, dla przekazania im potomstwa wchodzi w związki drugie. Po kilku latach wdowieństwa, wychodzi pani Skarbkowa za mąż za pana Kuczkowskiego, bardzo kulturalnego człowieka. Bóg obdarza ich jedynaczką Zosią, bo była córką Ewy. Czemu los rozdzielił małżonków, odwiedzających się tylko od czasu do czasu, nie wchodzi to w zakres tego krótkiego wspomnienia.

Ze słów urywanych córki widziałyśmy, że cały ciężar interesów, spadł na jej barki, że dużo miała do znoszenia kłopotów wywoływanych i tem, że jej mąż należał do zbieraczy rozmaitych arcydzieł. A jednak w dziwnym nastroju ducha potrafiła wywalczyć tę wieczną pogodę serca i umysłu, która czyniła ją młodszą od najmłodszych. Radość tkwi zawsze tam, gdzie wieje duch dobra; dlatego to zapewne niosąc koronę cierniową, boleśnie dotknięta różnemi dotkliwemi stratami, mając do zniesienia dużo zawodów i ciosów materialnych, pani Kuczkowska nikomu osobistemi troskami nie ciążyła, tylko ulgę przynosiła rozmową swobodną, wesołą, okraszona zawsze czy ciekawym faktem, czy pouczającemi wiadomościami. Żyła zawsze chwilą obecną, dlatego ten umysł był zawsze świeży.

Pamiętam, że kiedy była mowa o literaturze

włoskiej, w naszym nieuctwie mniemałyśmy, że Manzoni i Silvio Pellico są jedynymi ostatnimi jej gwiazdami. W tej chwili pani Kuczkowska wyjmuje parę miesięczników, odczytuje nam wyjątki nowych autorów, których nazwisk już nie pomnę, rokuje im świetną przyszłość, niektóre wiersze subtelnie analizuje, potem zaznaczając, że Włochy wszystkiemu co piękne i wielkie tworzą drogę, przechodzi do dziedziny nauki i mówi o odkryciu Ojca Secchiego.

Z królestwa fizyki wkraczamy do sfer ekonomji politycznej. Więc mówi o rozwoju Włoch, pod względem ekonomicznym i wychwala ich wysoką kulturę na każdym polu.

Ten zastój Włoch jest tylko pozorny, wywołany polityką, która wszystkie siły kraju zabrała, ale ockną się niebawem i Włochy przodować będą innym krajom. Włoch potrafi być wszystkim rzeczywiście, to naród wybrany, tak jest wszechstronnie uposażony. Jako wielki pan, Włoch jest tak naturalnym, tak pełnym prostoty, że tem okupuje sobie odziedziczoną imienia wielkość i powagę (którą się pysznią współziomkowie).

Jeszcze teraz w Caffé del Greco pokażą cudzoziemcowi potomka dawnych rzymskich senatorskich rodzin, często i fortuną doczesną uposażonego, z pewną dumą, że się taki przechował na ich ziemi, a przedstawiciele onych jeszcze są od innych dostępniejsi; więc jakże im tej przewagi nie darować?

Nie wiem czemu to przypisać, ale ów Włoch,

potomek wielkiego rodu, nie odczuwa tej wielkości i drugim nią nie ciąży. To, że przechowuje się najdawniejszych cywilizatorów, uważa za fakt dziedziczny, który mu ani praw ani przywilejów nie daje, tylko nakłada obowiązek być w stosunkach jeszcze łatwiejszym, użyteczniejszym, o ile być potrafi i kulturę moralną przelać na przyszłe pokolenia. Jakim kupcem wybornym potrafi być Włoch, trudno określić; — robotnikiem, rzemieślnikiem jest nieporównanym, bo w każdej pracy wycisnie piętno sztuki. Przysłuchuję się często sądom robotników o dziełach sztuki. Teraz przy tym nowym pomniku stało dwóch i wygłaszało zdanie godne, profesora sztuk pięknych. Zresztą tak lubią robotników Włochów obce kraje Francja, Brazylja, bo są niewymagający co do pożywienia i zapłaty i nadzwyczaj pracowici.

Służba we Włoszech jest idealna. Już sam wyraz „*famiglia*“ oznacza *czeladź domową*. Sługa więc nie jest najemnikiem, ale typem przywiązanego domownika. „I tak jest rzeczywiście, żadna stronniczość mną nie powoduje“, dodała przekonywująco, świdrując nas na wskrós swemi małemi płowoniebieskimi oczami. „Dlatego w mojem mniemaniu Włochy są jakby szkołką drzew doskonałych, hodowaną umyślnie, aby z niej wybrać można odpowiednie drzewo, które zasłoni od burz wszelkie małe okazy różnorodnych szkółek“.

Potrafią wszystko udoskonalić, więc i Drzewo Papieskie z ich szkółki wybrane musi być wybora-

wem. Nie przeczę, — dodała, — że w historii papieżstwa było zboczeń kilka i przedstawiciele niegodnych tyary, to inna kwestja; takie były czasy. Zobaczycie, że Włochy tylko znakomitości tego rodzaju będą wychowywać. Wybieram się temi dniami, już mam audjencję naznaczoną u Jego Świątobliwości Piusa IX, musi pobłogosławić i on krzyż przez trzech poprzedników poświęcony“.

„O, niech pani nie idzie! — zawołałyśmy z zapalem, pani zawsze bywa przed zgonem każdego papieża, będzie to może...“ — i słowo zamarło niedokończone.

„Zła wróżba, *gettatura*“, podchwyciła dawna Ewa, nie troszczcie się, żeście mi tak naiwnie opowiedziały wasze obawy. Ten papież sam myśli, że jest *gettatura*, bo nic mu się nie wiedzie, wszystkie jego wielkie zamysły jakby przeciw niemu się obracają“.

Dobrze go przepowiednia Malachjasza nazywa: krzyż krzyżów, ale on długo żyć będzie; mówiono mi, że Matka Boska, której dogmat Niepokalanego Poczęcia ogłosił, przyrzekła mu przeżyć lata Piotrowe. Dotychczas żaden papież tego okresu 25-cio lecia nie dożył. To jest przyszły święty. W przeciwnościach największych ma ufność dziecka do Opatrzności i zwraca się z miłością do Orędownictwa Naszej wspólnej Matki. Potem kocha szczególnie uciśnionych, dlatego nam Polakom ciągle miłości dowody daje. Zdawało nam się, że gdy mówiła, czule patrzące jej oczy, jakby zwilgotniały. Ale

znowu ton wesoły przemaga; „Ja się cieszę, że mu moją Zosię przedstawię, która tak jego ojczyznę kocha, a ten papież, to wielki patrjota: pierwszy stanął przeciw wpływowi Austrii i obudził ducha Italji“.

„Mama — przerwała Zosia — dała wam wykład teoretyczny, jak trzeba Włochów cenić, a ja wam pokażę, że trzeba ich kochać“.

Nie wiedziała wówczas, że przepowiedziała sobie mimochodem swoje małżeństwo, które nastąpiło w kilka lat później. Panna Kuczkowska wyszła za mąż za potomka starego rodu włoskiego, niejakiego margrabiego N.

Coraz częściej zachodziłyśmy na Piazza di Spagna dla umysłowej zdobyczy, i coraz nam było przyjemniej zacieśniać bliższe węzły przyjaźni z temi paniami, z matką przedewszystkiem. Chciałyśmy ją poznać coraz lepiej, zawsze z powodu Mickiewicza. Poeta, który był znawcą ludzi, jej ducha ocenił, bo zgłębił i dlatego ją pokochał.

Ujmowało nas to wielce w pani Kuczkowskiej, iż wychowana w zbytku, umiała zastosować się do bardzo skromnego trybu życia, wzięwszy na siebie rolę Marty. Wszystkie drobne sprawunki, zmiany w urządzeniu domowem sama załatwiała. Zajmowała się gospodarstwem jakgdyby od niechcenia. Zosia zapewniała nas, że wszystkie przysmaczki są specjalnością mamy. Przy tem bliższem poznaniu wydała się nam ona nieskończenie miłą i dziwiłyśmy się, jak można było tak utyskiwać i narzekać, jak to czyniono w świecie, na jej brak powagi; za-

pominano bowiem o jedynej powadze, która płaca, zaskarbiając sobie wieczność, o powadze dobroci.

Pani Kuczkowska, jako Ewa należy do dziejów naszej literatury. Była ona tą palmą, pod której cieniem odpoczął wieszcz po skwarnym dniu w pustyni przepędzonym. Był utrudzony, zmęczony. Ewa miała mu wyjednać przymierze z Panem.

Wiadomo, że przeszedł on wszystkie pokusy duszy i że owej pamiętnej nocy, kiedy genjusz dosięgnął zenitu chwały, leżał martwy, zbolały na ziemi... Ewie zawdzięczał powrót do Boga. Zwycięstwo ducha. Wyjednała mu to, posłuszna Bożemu natchnieniu, gorącą modlitwą. O niej to myślał nasz wieszcz, kiedy po wielu latach w Collège de France w r. 1843 mówił o obcowaniu duchów i wskazywał potrzebę dogmatu zwanego przez Kościół „Świętych Obcowanie“. Wpływ jej wstawiennictwa dał się odczuć nawet po rozłące, gdyż improwizacja nie jest tylko wcieloną myślą Mickiewicza, ale Adam jest tymże samym wcielonym Konradem z krwi i kości.

Już wówczas w pamiętnym roku 1830 pragnienie Ewy, aby wymodlić zbliżenie się wieszczu do Boga, zostało wysłuchane. Adam pewnego wieczoru uczuł niepojęty pociąg do skupienia się w duchu i pójścia do spowiedzi. Wzięwszy do ręki Naśladowanie Chrystusa rozmyślał głęboko nad treścią czytanych rozdziałów. O świecie udał się do kościoła i wyspowiadał się przystąpił do Stołu Pańskiego. Tegoż dnia nad ranem młodej Henryjecie Ankwiczównie

przysniło się, że pan Adam pieścił się z barankiem. Skoro wracając z kościoła zaszedł wcześniej niż zwykle do Ankwiczów, wielkie miało mu sprawić wrażenie opowiadanie o tym śnie, usłyszane z ust otwierającej mu drzwi pani domu, zdziwionej wczesnym jego przybyciem. Odczuł jej sen, jakby wsłuchany w melodię jej duszy. I słyszany, widziany sen, staje się światłem, mocą Konrada.

Po kilku latach, jako osoba już zameżna, spotkałam się z Antonim, Edwardem Odyńcem. Na tle naszej znajomości z panią Kuczkowską został związany bliższy stosunek.

„Co to za wyjątkowa istota — mówił — jaka szczerość, jako prostota, nadzwyczajna świeżość myśli, głęboka wiedza, inteligencja wyższa, bo inteligencja serca, która wszystko w lot pojmuje i rozumie. Ach, moja pani, czemu się nie pobrali!...“ i widząc moje zdziwienie tłumaczył dalej: „Adam... z Ewą! Byliby tacy szczęśliwi, ale nie w egoistycznym znaczeniu tego słowa, nie wprost dla siebie, ale tak jak oni pojmowali szczęście, aby drugim przyświecać blaskiem tego wewnętrznego, słonecznego zadowolenia. Ona byłaby przystanią po burzach życia, wśród burz onego, dla Mickiewicza...“ I westchnął młody staruszek. „Moja pani! już nie wróci ten czas, ale gdyby się przed czterdziestoma laty byli pobrali, ileby to zmian na dobre spowodowało“...

Kilka razy jeszcze przy spotkaniu gwarzyliśmy o niej. Odyniec ubolewał nad złym stanem interesów, któremu winną nie była. Zawsze z tego powodu

jeździła — raczej pędziła z jednego końca Europy do drugiego.

Córkę wydała za mąż za Włocha. Trzeba było samej kołatać, urządzić, męczyć się. Wśród takiego rozerwanego życia skończyła pielgrzymkę życiową. Zgasła, bo oleju w lampie nie stało. Wszystkie siły żywotne ją nagle opuściły, bo dawno były zużyte na korzyść innych. Wśród smętków tego życia zawsze jej towarzyszyła radość, wśród zmartwień życiowych weszła do wiecznej radości od wieków dla wybranych przygotowanej.

KILKA SŁÓW O SZOPENIE

Poznałam kiedyś bardzo miłego człowieka. Pozbawiony — niestety — był wzroku, ale to kalectwo zamiast zmniejszyć wrażliwość wyrobiła mu inny zmysł — zmysł dotyku. Widział dotykiem i to tak dobrze, iż za pomocą dotknięcia mógł nawet barwy rozpoznawać. Z powodu tego przykładu, mimo nie dość wielkiej kompetencji w tym przedmiocie, którą nazwę prawie swego rodzaju ślepotą — o największym czarodzieju dźwięków... o Szopenie kilka słów powiem.

Może i jestem ślepą, ale czucie zastępcą jest wiedzy.

„Miej serce — patrzaj w serce“, powiedział Adam. A ten wzrok serca jest tak przenikliwy, że jak promień Roentgena dojdzie do głębi i da wiedzę doświadczalną, praktyczną, która często może przeświadczyć teoretyków.

O genjuszach — genjusze tylko powinni mówić, wielbiciele światła myśli tylko po części kochaniem zastąpić mogą. Tomy trzeba by spisywać, aby okazać nawet nie całkowicie wyższych duchów działal-

ność, coż dopiero da się powiedzieć kilkoma słowami o tym duchu, który wcielił wszelkie bóle, skargi, wszelkie cierpienia swego narodu, i bólu jego doznał całej potęgi, i o którym Schumann mówi, że więcej uczynił dla swej Ojczyzny niż wszelkie armaty i działa i broń wszelka.

Nad Ojczyzną w nieszczęściu czuwała Opatrzność. Rozdawała dary ku chwale narodu, aby ci obdarzeni mogli w pochodzie ludzkości trzymać wysoko sztandar jego dawnej sławy.

Szopen jest wyrazicielem swego narodu, delegatem jego myśli, uczuć, cierpień. Stał się jego skargą, jego modlitwą obłoki przebijającą, jego tęsknotą wołającą o przywrócenie swobody.

Niedawno odkryte źródła, skrzętnie przez p. Hösicka zebrane, ukazują nam, że rodzina Szopena wywodziła się od Szopa. Niejaki Szop, obywatel Kalisza, powędrował za królem Stanisławem Leszczyńskim do Nancy i tam za jego pozwoleniem handel win założył. Przekształcono ma się rozumieć nazwisko Szopa na Chopina, a w końcu XVIII wieku, jeden z jego wnuków przybył do Polski. Tym wnukiem był ojciec naszego genjusza.

Dostał się on w Warszawie do interesu tabacznego, który niebawem po przystąpieniu króla do Targowicy, wśród ogólnego rozprzężenia został zamknięty. Młody Mikołaj Szopen pełen zapału i miłości do przybranej napowrót Ojczyzny, zaciągnął się w szeregi Kościuszkowskie i chwalebnie tam służył. Krótka trwała świetna impreza. Po trzecim roz-

biorze Polski, potomek Szopów, znalazł pole do pracy w pedagogice, a uważając Polskę za kraj już rodowity nie myślał jej opuszczać. Dostał się do zamownego domu hr. Skarbków, gdzie został wychowawcą młodego wówczas Fryderyka hr. Skarbka, zaszczytnie później znanego historyka. U hr. Ludwiki Skarbkowej, gościła jej krewna Justyna Krzyżanowska, panna szlacheckiego, lecz zubożałego rodu. Ponieważ nie chciała, wedle ostrzeżenia pisma świętego, chleba zajadać próżnując, powierzono jej rządy gospodarstwa domowego. Prąd miłości zająśniał wśród tych dwóch dusz. Afekt był silny i wspólny, lecz troskliwie ukrywany, tylko młody osiemnastoletni Fryderyk znał serc tajemnicę. Dowiedziawszy się później o niej hr. Skarbkowa, zamiast oponować, ułatwiła młodej parze związek. Zainstalowano stadło w oficynie w Żelazowej Woli, przy której dziś stoi pomnik mistrza. Małżeństwo było zawarte bez krzty egoizmu i widoków ludzkich. Uczciwemu stadłu w nagrodę miało być dane największe błogosławieństwo — dziecię z uosobieniem piękna w duszy, które miało tem pięknem jak pochodnią oświecić niwę prac i walk ludzkości. Fryderyk Szopen przyszedł na świat u Skarbków w oficynie, w Żelazowej Woli, w roku 1811 dnia 22 lutego. Dla ukochanego Fryderyka Skarbka obdarzono go jego imieniem. Dar, który mu Bóg dał, był taki dziwny i tak wielki, iż dziecię od niemowlęstwa odczuwało potęgę myśli i czucia, które się wyrażają dźwiękiem. Matka jego ładnie grała; mając zaledwo

dwa — trzy lata, chłopiętko słysząc melodię tak ją odczuwało, że od lez się zanosilo. Przekonano się, iż lzy pochodziły nie ze strachu, lecz z rozrzewnienia. Potem nauczył się mały Fryderyk to rozrzewnienie hamować, by nie było przeszkodą i nie przerywało, tak przez niego ulubionej, gry matki. Od samego więc dzieciństwa opętał go duch piękna, który dla ujawnienia się, wybrał drogę muzyki, harmonji, łączącej światy między sobą. Wszystko widział i przeobrażał tonami słyszanemi — nie tylko na jawie — ale rozśpiewanemi we wnętrzu swej istoty. Zaledwo miał osiem lat, gdy już tworzył, i nie znając praw harmonji intuicyjnie ją odgadywał. Rodzice już byli zamieszkali w lewem skrzydle pałacu Kazimierzowskiego w Warszawie i od paru lat utrzymywali pensjonat. Powierzano im młodzież męską, nad którą z całą pieczołowitością czuwali. Wartoby pamięć spędzonej tam młodości Szopena przekazać następnym pokoleniom, umieszczając na wiadomej oficynie tablicę ze stosownym napisem, by tym sposobem utrwalić wspomnienie lat przeżytych przez genjusza muzyki.

Młody Fryderyk miał kierownika w muzyce, w osobie Czecha, Wojciecha Żywnego, profesora muzyki, dawno osiadłego w Warszawie, o którym przez całe swe życie wyrażał się z najwyższem uznaniem. Lecz mistrza uczeń w samem zaraniu lat młodych prześcignął, bo siedmioletni Szopen wprowadzony na arenę wielkiego świata, grający u Wielkiego Księcia Konstantego i u wszelkich światowych

wielkości, uchodził za nowego Mozarta, za dziw nad dziwami. Rzeczywiście, był to chłopczyk wszechstronnie uzdolniony, rysował znakomicie, chwycił podobieństwo doskonale, co świadczą przechowane rysunki i podobizny z czasów szkolnych, — komedję grał wybornie, gdyż wrażliwość wrodzona pozwalała mu naśladować nie tylko ruch i giest, ale każdy odmienny dźwięk głosu. Przy takim wyjątkowem uzdolnieniu, wyjątkową miał skromność i prostotę, i gdy wchodząc do konserwatorium w podziw wprowadził starego Elsnera, nie uległ pokusie ani pewności siebie, ani zarozumiałości. I rok po roku przynosił nowe liście do chwały wieńca. Elsner uważał, iż inaczej nim kierować nie można jak czuwaniem, aby genjusz szedł wskazaną i właściwą drogą, którą sobie sam torował — chodziło o to tylko, aby z niej nie zboczył. Przybyszewski mówi, że równiny Mazowieckie były źródłem natchnienia Szopena, może dlatego, iż wywoływały tęsknotę, gdyż poziomność, pospolitość wywołuje pragnienie odmienne, a tu zatem szczytów, gór niebotycznych, bo tęskni się za tem, czego się niema. Myślę jednak, że krajobraz mógł tylko w pewnej mierze oddziaływać, ale nigdy tyle co żal wrodzony, tkwiący do samego szpiku kości, nawet bezwiednie, u tych, co czują żywo żal za skarbem utraconym, za wolną, niepodległą Ojczyzną. Mimo czasu poświęconego muzyce, młody Fryderyk uczy się wzorowo i w Liceum jest jednym z najpilniejszych uczniów. Jest duszą rodzinnego domu. W komedjach grywanych na uroczysto-

ściach rodzinnych Fryderyk prym trzyma. Ładny, miły, łagodny, wszystkie serca zjednywa. Dobroć jest siłą ekspansywną. Potrzebuje się ona zmanifestować. Otóż manifestację swego serca Szopen dźwiękami wyraża, i walc, mazur, dedykuje ulubionemu profesorowi Żywnemu, to ojcu, lub kolegom, przyjaciółom. Wycieczki na wieś przeplatają mile jednostajność życia miejskiego.

Tam oddycha on swobodnie i tam Szopen ciągle daje dowody humoru, furtkę komizmu otwiera, aby się pośmiać wesoło z zabawnych stron życia, ale kpiarstwa, szyderstwa nie rozumie, humor jego zdrowy — wesołość serdeczna.

Bawiąc w Szafranach i mając zaledwie lat piętnaście wydawał — pisząc go sam, kurjer Szafranski, a chcąc rozweselić, daje szczyptę humoru dla zrobienia przyjemności. Jego fizjonomja jest wiernem odbiciem moralnych i wewnętrznych uzdolnień. Patrzmy na portrety z czasów warszawskich: mamy ich dwa, jeden z piętnastego roku życia, drugi z dwudziestego, fizjonomja nie wiele się zmieniła, tylko to, co było w zarodku się rozwinęło. Wysokie czoło pochłania myśli i mieści skarby wiedzy, guzy obserwacji mocno brwiami rozwinięte. Faliste włosy pełne fantazji niezależności, te włosy poety, dają śliczne tło, myślącej twarzy. Wzrok łagodny i zarazem bystry wszystko widzi, pobłaża słabościom, ale ich nie przesłania; usta o kącikach nieco zadartych mówią o filuternej wesołości; płeć biała, delikatna, alabastrowa, przejrzysta, to cera człowieka bardzo wrażli-

wego; broda bez zarostu okragła, oznaką jest wytrwałości doprowadzenia silnych postanowień do skutku, jest wyraźnem dążeniem do celu, mimo przeciwnieństw, a ten wizerunek jest obrazem moralnym Szopena. Dusza wrażliwa była harfą, której potęga bólu dostarczała wątku do mistrzowskiego wyśpiewania. Młody Fryderyk, otoczony miłością, sam pelen przywiązania do swoich, do kraju, do ludzi, rwie się do życia... on chce użyć danego mu daru, tym darem obdarzyć Ojczyznę, poza Ojczyzną i ludzkość spragnioną żywić chlebem ideału. Czy już miłość zawitała do jego serca? Do znanej artystki, Konstancji Gładyszówny, afekt był zdaje się tylko fantazją młodego artysty. Miał on jednak towarzyszkę lat dziecięcych, towarzyszkę zabaw i gier, siostrę kolegów, pensjonarzy swych rodziców, Marynię Wodzińską, która chyba odpowiadała jego ideałowi. Była to późniejsza jego uczennica, jeździł bowiem latem do państwa Wodzińskich do Służewa, na wieś i do niej to, do jego uczennicy było skierowane, (jak się zdaje), uczucie Szopena, uczucie jeszcze nie rozżarzone, a które w duszy dopiero tliło. Szopen genjusz muzyczny rodzi się z ducha. Jest to romantyzm potężny, ale bynajmniej nie rozhukany. Jest to romantyzm trzymany na wodzy. On nie zrywa z tradycją mistrzów klasycyzmu, tylko to co jego dusza przetwarza umie utrzymywać w formie ładu i porządku. W ileż to lat później, Liszt gromił tych co brali crescendo Szopena za odstępstwo od miary, za przyspieszenie tempa, a diminuendo — za onego zwol-

nienie! Szopen był, przedewszystkiem sługą rytmu, zatem ładu, porządku i nigdy przeciw temu wykroczeń nie czynił. Mistrz węgierski był dla polskiego poety fortepianu z uwielbieniem, na wskrós go pojął i zrozumiał, że Szopen był odgłosem swej nieszczęśliwej Ojczyzny.

Usłyszał jej bóle, jej zale, jej nadzieje, i przełożył je na język dźwięków i stał się całą Polską śpiewającą. Będąc jeszcze w Warszawie, nieraz idąc ulicą, spotkawszy jakiegoś grajka tnącego skoczego oberka lub mazurka, przysłuchiwał mu się uważnie, gdyż zaraz tę melodję w duszy swej transponował, a na jej tle wypowiadał myśli w niej ukryte, i nie tylko zdobił warjacjami, lecz z jej głębi wyprowadzał cały świat wrażeń i uczuć.

Będąc w kościele z miłością przysłuchiwał się kołendom, a kolenda „Lulaj-że Jezuniu, lulaj-że lulaj, a ty go Matulu w płaczu utulaj“, była motywem Scherza H-moll.

Przed wyjazdem z kraju pisze: „Wiesz ile chciałem czuć, i po części *doszedłem* do uczucia naszej narodowej muzyki“. To słowo *doszedłem* przekonująco, iż potęga genjusza opierała się na potędze pracy. Miał zasoby ogromne, ogień wewnętrzny, który płonął nazewnątrz, ale sam wydobywał te zasoby i siłą woli je dopiero zużywał, poskramiał i porządkował. Tu nacisk *kładziemy* na tę myśl dominującą u Szopena, że przedewszystkiem pragnie być *objawem narodowej muzyki Polskiej*.

I miał sam zwiedzić całą ból krainę, by stając

się jej panem dać nam wymiar tego piękna, które zawiera tęsknota, wieczne pożądanie, zamknięcie tego dobra, które powinno być naszym udziałem i stanie się nim, o ile je potrafimy przywołać ciąglą, bezustanną ku niemu aspirację. Sława Szopena ciągle wzrastała; w parę lat, jeszcze przed trzydziestym rokiem, do potęg muzykalnych już się liczy.

Młodzieniec się nie zmienia, nie przywdziewa togi wielkości; zawsze prosty, i potulny, umie tylko sobie zjednywać ludzi, a skromność jego, zmusza nawet zawiść do przebaczenia. Pelen dziecięcej prostoty w obcowaniu, objawiał w usposobieniu dwie sprzeczności, bezgraniczną tęsknotę i zapas najżywszej wesołości. Gdy przyjeżdża w 31 roku do Paryża, ten dar milego obcowania ułatwia mu stosunki i związki przyjaźni. Wirtuoz węgierski — Liszt staje się jego wiernym przyjacielem. I w tyle lat później zachwycał się urokiem naszego Mistrza. Mówił o jego dziecięcej prostocie, i jak zawsze śmiech obudzić umiał, każdy głos mógł udać, każdy sposób mowy, a właściwość chwycił odrazu. W towarzystwie lubił figle płatać, żarty mu się sypały jak z rękawa. Towarzysz nieporównany i w tem był artystą, że umiał tak jak nikt być miłym i przywiązywać do siebie.

Szopena mało kto znał z tej strony — mówił Liszt, — a był nieporównanie dowcipny, zaś figle jego, mistyfikacje niewinne i zabawne, zawsze były w dobrym tonie i smaku. Zabawiły, lecz nikogo nie uraziły. Miał duszę mimozy tak wrażliwą, iż zdaje się

czuć podwójnie cios każdy, zawód każdy. Kilka listów od członków rodziny Wodzińskich różową wstążeczką związanych, z napisem: „Moja bieda“ znalezionych po jego śmierci — oto klucz zagadki cierpień, spowodowanych wielkim zawodem. Wszystko szło ku szczęściu. Marja Wodzińska, siostra kolegów, jego uczennica, widocznie sprzyjała maestrowi, jak go nazywała w dopiskach do listów matki. Przepędzone razem sezony u wód utrwaliły uczucia; zdawało się, że wszystko młodym sprzyja, ale skończyło się to zwykłą historją. Ojciec Marji, potomek zamożnego rodu Rzeczypospolitej, na podobny związek nie mógł się zgodzić, ze względu na stanowisko światowe, nie chciał „grajka“, nie przypuszczając królestwa geniusza. Marja nie chciała się sprzeciwiać ojcu, zerwała z narzeczonym, wyszła za mąż wedle względów światowych, nie wedle serca — była nieszczęśliwą, a potem gdy w 20 lat po śmierci Mistrza grała ulubionego walca l'Adieu, albo Etiudę rewolucyjną, często dokończyć nie mogła, bo drętwiała cała, trzeba było rozcierać ręce, dawać krople wzmacniające. Czy się domyślała, czy wiedziała, że po dwóch latach milego złudzenia, zerwanie jej spowodowało straszny kryzys moralny u Szopena. Przeszedł wtedy przez ogień mąk i beznadziejnego smutku, a po tej moralnej chorobie obudził się inny — miły, uprzejmy nazewnątrz, ale noszący w sercu ranę, bliznę nie do wyleczenia... Zgaszony przedwcześnie był ogień młodości, poryw radosny do życia.

Wtedy to musiała idylla młodości stawać jej w pamięci, a zacne jej serce musiało szczególnie boleć nad konsekwencją jej zerwania. Sidła, w które wpadł Szopen u mistrzyni pióra, u tej, która dawniej czarodzieja słowa pożegnała dla czarodzieja dźwięków, rozstając się z nim później bez przyczyny, zadały mu cios i przyprawiły go o chorobę, która go zawczasie z tej ziemi zabrała. Więc ta konsekwencja, ta serja przesmutnych obrazów, wywołana urokiem jego dzieła, musiała być zgryzotą dla milej i zacnej niewiasty. Miała kult dla jego pamięci, dla jego ducha, wydawał on się jej o wiele wyższym od Słowackiego. Szopen, mawiała, to doskonałość wcielona, harmonijna, z nikim porównać się nie mogąca.

Mówiono wiele o miłości Szopena dla pani Sand. Ona chciała się przedstawić jako ofiara, jako niešťeśliwa pielęgniarzka chorego człowieka o słabym duchu, ona była tym hartownym towarzyszem, podtrzymującym bezsilnego artystę. Szopen był człowiekiem o głębokim życiu wewnętrznym, ukrywał ból, który go gnębił i nie mówił o dodatnim wpływie, który on wywierał; dopiero się o nim o dowiadujemy z niedawno ogłoszonego *po niemiecku* dzieła o stosunku Szopena do pani Sand. Autor cytuje jego słowa, jak on jej radzi czerpać, tak jak on to czyni, swoje obrazki z tła swojego *ludu*, bo tylko to co pochodzi ze źródła narodowego może być żywotnem i tylko to jest celowem. Najlepsze powieści George Sand pisane z prostotą i bez emfazy, te które świadczą o jej talencie i pozostaną jak mówi, Faguet, krytyk fran-

cuski, najlepszą jej literacką spuścizną, były owocem tej rady. Zaczęła wtedy z lubością przypatrywać się rodzinnemu Berry, obrazki „La petite Fadette“ François le Champi, przemówiły do serc i znalazły najwyższe uznanie krytyki. Szopen się wyczerpywał. On tworząc, wcielał duszę, dążył do coraz większej doskonałości. Poryw bywał najsubtelniej wypracowany, czynił to z najwyższem napięciem. Powłokę cielesną duch ofiarny zużywał. A ta, do której się przywiązał nad miarę, raptownie go opuściła.

Musiała przy schyłku życia żałować wyrządzonej krzywdy, bo przed śmiercią powtarzała: „Trzeba przedewszystkiem w życiu być czystym. Ach, jaki żal wyrasta, gdy się takim nie było“. Zrozumiała wtedy doświadczeniem życiowem słowa poety: „Heureuses ces mains saintes et pures qui n'ont jamais fait de mal à personne“. (Szczęśliwe dłonie święte, i nieskalane, które nikomu krzywdy nie wyrządziły). I pewno krzywdą wyrządzona poecie muzyki, żywo stała jej w oczach.

Po tem bolesnem rozstaniu, samotny, wyczerpany fizycznie, ciężką miał drogę życiową.

Szopen głęboko pojął swe powołanie, czuł, że ma być przedstawicielem ducha swej Ojczyzny. Był delegatem duszy narodu. Odczuł jego fizjonomję moralną, przejawiającą się nawet w chwilach wytchnienia, w chwilach zabawy, w jego tańcach. Jego polonez, to epiczny poemat, malujący nie tylko ze-

wnętrzną stronę, ale i psychikę organizmu narodowego.

Pochód narodu uosabia się przed nami, wyrażony w Polonezie.

Ta muzyka ma dar uplastycznienia i widzimy tych ludzi, czujemy, kroczą szlakiem swobody, poznajemy po chodzie, że ci rycerze to są zwycięzcy, którzy jak Izrael w walce, gdzie anioł doświadczał jego siły, wyszli zwycięsko. Idą więc silni i mężni, ufni i czujni, pełni animuszu, towarzyszyła im nieporównana fantazja, a jednak głowy uchylają i przy natężonym słuchu i pogodnym wyrazie zalecają się swym damom. Prowadzą je, ale z szacunkiem i z jakim respektem, nieomal ze czcią pełną uwielbienia, a gdy następuje dam zmiana, nie czują się zdobywcami, lecz szczęśliwymi wybranymi.

Liszt twierdzi, że w Polonezie łączą się postawa wojownicza i najwyższa kurtuazja. Więc umiał odtworzyć to co było i wskazać, jak szlachetnym być ma pochod przyszości, więc ten charakter uwydatnił. Każdy ruch ma swoje znaczenie — odrzucenie wyłogów to gest wspaniały, wyrażający odrzucenie zemsty za doznane urazy.

Ten przewijający się sznur, ten orszak ludzi, kroczący z powagą dostojeństwa i z pogodą spełnionego obowiązku, zmartwychwstaje w onej muzyce, gdzie się przebija ton bohaterski obok najwyższej prostoty. To jest zwycięstwo ducha nad materją. Posługuje się nią duch dla wyrażenia tego co oddać pragnie. A więc słuszna, że nie tylko kompozycję, ale

sposób w jaki ją wykonywał, zwie Liszt grą uduchowioną. Dziwna była ta gra, mówi Liszt; przebijało się w niej coś nieokreślonego. Te tony dźwięczne, męskie, a silne, a czasem ledwo dosłyszalne, zlewały się w nieskończoność.

Dochodziły te tony do kraju wieczności. Zacięcie męskie, poryw bohaterski, łączy się z precyzyjną miękkością, pełną liryzmu. Wsłuchajmy się teraz w ten to heroiczny i przełóżmy język dźwięków na mowę barw, i to do czego doszła nauka, niech uczyni wyobrażenia, a zrozumiemy wtedy najlepiej bogactwo i plastykę wyrażoną tonami.

Mistrz bolał nad niedolę kraju, to też smutek jego — bezmiar czułości, bezmiar tragizmu, na przemian się przebija w jego kompozycjach. Tajemniczy smutek nokturnów ma swe źródło w tem wielkiem uczuciu miłości Ojczyzny. On czasem bezwiednie jest tłem do obrazów. Ów nokturn, który ma być zagrany, został napisany, tak opowiada tradycja ustna, po katastrofie na morzu, gdzie śmierć znalazła pewna młoda osoba, krewna jego przyjaciół.

Ale i statek Ojczyzny tonął i jej nadzieje; sądzę, że nigdy z tą myślą przewodnią mistrz się nie rozstawał.

Cóż powiedzieć o mazurkach Szopena, ile tam jest myśli arcynarodowej. Mazurki Szopena, wedle Liszta, to wywoływanie obrazów Polek, tych niewiast, o czarującym wdzięku. O ile polonez jest dostojny, poważny, o tyle mazur tchnie werwą i życiem. To swoboda innego rodzaju, to wola męska

ochoczo skierowana do zdobycia, do owładnięcia sercem damy, zręcznością przytomnością, i pewnem powściąganem junactwem.

Ujejski usłyszał w duszy Mazurki i niektóre ślicznie wytłómaczył; są one jakby syntezą polskości i akumulatorem elektrycznym, skąd światło czerpać będą dalsze pokolenia naszej ziemi.

Najlepszą książką jest ta, która otwiera przed myślą nowe horyzonty, kraje do eksplorowania. Najmilszą muzyką jest ta, którą słuchacz w duszy dośpiewać może, a tyle niedomówionych, tyle subtelnych wskazówek dla dośpiewania, w niej znajdzie.

Usta mówią z pełności serca, rzecze Pismo święte; Chopin oddaje to przepełnienie niebiańskim — raczej ziemskim śpiewem, tęskniącym za obszarem bezbrzeżnym krainy Dobra i wiecznej Miłości. Bolał i rozumiał niedolę kraju, to też wsłuchując się w żalność niewypowiedzianą daje nam obraz smętku dziwnie piękny, jego skarga jest bez zlorzeczenia, bo bezmiar tęsknoty jest bezkresny. Idąc w nieskończoność łączy się z pociechą, gdyż taka skarga wysłuchana być musi.

Szopen odczuł żal, — żal, który po polsku tylko wyrażać się umie, jak twierdził do Liszta, — i potęga cierpienia zawarta w tym żalu śpiewnością duszy się wyraża. Więc jak perła wylania się z cierpienia, tak samo piękno z przeżytego bólu.

Gdy wybija w Polsce godzina powstania, Chopin ją przeżyje i całą burzę dziejową z zacięciem i siłą męską da nam w postaci Etiudy, gdzie się wszystko

mieści i dramat dziejowy, i przemoc zwyciężona i świt nadziei.

Słuchacz sam osądzi, jaką w tej Etiudzie zamknął potęgę i pojmie, iż ta burza jest zapowiedzią pogody.

Twórczość jego ciągle się wzmacnia i choć zdaleka od kraju wierny pomnik wznosił jego dawnym pieśniam, dawnym wspomnieniom. Fantazją na tle narodowym pieśni odtwarza. I ta fantazja odbiciem myśli i uczuć staje się propagandą prawdziwą.

W tym krótkim przebiegu twórczości Szopena nie wspomnieliśmy o tylu arcydziełach, o wstrząsającym do głębi duszę, — w marszu żałobnym, — drugim koncercie, o tym Adagio z którego Mistrz sam był zadowolony i nazywał je najlepszą swoją kreacją. Chodziło nam szczególnie o scharakteryzowanie jego twórczości narodowej. Teraz do twórcy wracamy.

Szopen skorzystał z daru przez Opatrzność mu powierzonego i spełnił dobrze swe powołanie.

Miał słusznąność Schumann, mówiąc, że dla ojczyzny jego muzyka była większą od dzieła potęgą — gdyż nią dał dowód żywotności swego narodu i przez niego naród przyniósł ludzkości dań piękną.

Charakter Szopena jednolity, prawy — przynosi zaszczyt ludzkości. On jest jednolity w swem dziele, jest szczery w myśli, w mowie i w czynie. Subtelność i wytworność granic nie znają. To król w duchu i dlatego umie wspaniałomyślnie przebaczać, a choć czuje urazy, ból mając w sercu, z uśmiechem zwycięzcy je darowuje.

Genjusz jego w muzyce był wszechstronny. Był wirtuozem, jak Liszt mówi, nieporównanym; kompozytorem, jak twierdzi ludzkość, genjalnym — a pedagogiem nadzwyczajnym. O nim w moim dzieciństwie mówił pianista Telefsen, Szwed, który mając lat 23, uniesiony zapalem po koncercie uprosił Mistrza, ażeby jego, analfabetę muzycznego — grać nauczył. Szopen stworzył z niego artystę.

Zerwanie z panią Sand było ciosem nieprzewidzianym. W przykry sposób kielich goryczy dano mu do wypicia, to zatrulo delikatny organizm i jego zdrowie na dobre podkopało. Jedzie do Anglii i Szkocji entuzjastycznie tam witany, ból swój i żalność kryje w głębi duszy, nie wspomina o tem rodzinie. Píše listy zajmujące o ludziach, wypadkach i muzyce, bo cechą jest jego charakterystyczną ukrywać, co boli. Ma szacunek bólu, nie chce go pokazywać, ból ukaże się tylko w utworach. W Paryżu, gdy wrócił, alarm był wielki wśród grona przyjaciół. Choroba, która dawniej go nurtowała, ujawniła się teraz na dobre. Szopen czuł, że nic życia się urywa; przyjechała doń ukochana siostra dowiedziawszy się, że zasłabł. Gutman, wierny uczeń, rolę wziął pielęgniarza.

Pani Delfina Potocka umilała chwile choroby śpiewem, księżna Marcelina Czartoryska częstemi odwiedzinami. Ks. Jełowiecki był codziennym gościem, i sam Szopen prosił go o spowiedź i sakramenta. Złączony z Bogiem czekał na odejście.

Skończył życie w dniu 17 października 1849 r.,

jako ostatni akord symfonji, na rękę siostry, dziękując przyjaciołom.

Był zwycięzcą w ważnej chwili, której doniosłość pojmował. Odchodził w spokoju i z uśmiechem. Czuł, że go tam czeka błogosławieństwo wiecznej zasłużonej pociechy.

MARJA Z WODZIŃSKICH ORPISZEWSKA

Przypominam sobie z przyjemnością, dnie niegdys spędzone nad brzegiem Arna, w uroczej Italji z tą, która patrzała „tem okiem co widzi“ i była natchnieniem Mistrza tonów i Mistrza Słowa.

Pani Marja z Wodzińskich I-o voto Skarbkowa, 2-o voto Orpiszewska, promieniała aureolą sławy, którą ją uwieńczyło uwielbienie dwóch genjuszów. Była pierwszą młodzieńczą miłością Szopena, wznieciła iskrę zapalu w sercu Juljusza. O tem wszyscy wiedzieli, i nie tylko z zajęciem, ale z zaciekawieniem na nią patrzono. Nie wiem czy ludzie z romantycznej epoki byli tacy inni, czy cały ówczesny światopogląd na to się złożył, ale to pewna, że wtedy piękna powierzchowność nie była koniecznym warunkiem dla wzbudzenia wielkiego afektu. Już przed czterdziestoma laty, nie umiano sobie wytłomaczyć, jak strzały Kupidyna, na wzór *teraźniejszych* röntgenowskich, mogły przenikać powłokę cielesną, aby się do duszy dostać, i umysłowość pojąć i należycie ocenić. Niektóre bohdarki z epoki romantycznej (przed 1830 i 1835 r.) nie cieszyły się wcale udatną

nawet powierzchownością, ale tem niemniej mogły wzbudzać uczucia najgorętsze i stać się natchnieniem. Uczucie tych ludzi bywało pogłębione, umiano kochać duszę — i dlatego wierność była na porządku dziennym.

Pani Orpiszewska żadnym blaskiem zewnętrznym nie świeciła. Można powiedzieć, iż nawet szpetną była. Cera żółta, ospowata, oczy małe, rysy rozlane, a jednak z wysokiej postaci wiała nieporównana dystynkcja i pewien majestat wielkiej godności; wyraz uprzejmy nadawał nietylko wdzięk właściwy, ale nawet dziwny urok. To też na tych zebraniach emigracyjnych, gdy się pokazywała, szeptano między sobą: „To Marja, pierwsza miłość Szopena — uczucie Juljusza — to ona natchnęła Szwajcarję“. Mąż jej trzymał się opodal, jakby pierwszy szambelan dworu, widać było, że się cieszył dawnymi hołdami i teraźniejszym uznaniem.

Pani Orpiszewska ubierała się czarno, mówiła mało, uśmiechała się dobrotliwie, gdy była o to proszona, nigdy zagrać na fortepianie nie odmówiła. Grała prześlicznie, dotknięcie było aksamitne, odtwarzaną melodją przejmowała się bardzo.

Gdy grała ulubionego mazurka Szopena, lub walca „Les adieux“, pamiętam, że raz skostniały jej ręce i że mąż się zbliżył — by je rozetrzeć. Hamowane wzruszenie było tak silne, że odbić się musiało na fizycznym ustroju.

Co jej ten walc przypominał — jaki obraz stał jej w pamięci?

Czy zawitał duch jego twórcy, że się tak nagle zmieniła, kładąc na karb niedyspozycji ten rozstrój chwilowy? Szopena grywała z namaszczeniem, z pietyzmem; skarżyła się, iż entuzjastki, stanowiące legjon, które Mistrza nie pojmują, myślą, że on jest z taktem w rozterce, puszczając sennie wodze fantazji, tempo zmieniając na prędkie lub wolne, kiedy przeciwnie Szopen szanował miarę, a tylko żądał cieniowania w dotknięciu.

Mąż jej pan Władysław Orpiszewski, bywał jej stanem rozstroju chwilowego przejęty i obecnym tłumaczył ile żona posiada hartu ducha i jak jej wysubtelniona wrażliwość, wywołująca obrazy z przeszłości, odbija się na zdrowiu.

Pan Władysław był bratem Ludwika Orpiszewskiego, świecił jego blaskiem. Ludwik, autor pięknej pieśni: „Bracia — rocznica, więc po zwyczaju“, był jednym z najdzielniejszych prowodyrów emigracji, i należał do plejady poetów, okalającej słońce Mickiewicza.

Pan Władysław zaś był miłym dyletantem, pisywał wiersze okolicznościowe na zebrania, toasty, do albumów, przytem był wielkim znawcą sztuk pięknych, a bezgranicznie uwielbiał swoją żonę. Była ona dla niego wymarzonem zjawiskiem, wcieleniem ideału na ziemi. I zawsze o niej lubił opowiadać i o dziejach jej młodości.

Szopen był kolegą i przyjacielem młodych Wodzińskich, i ci na święta i na wakacje ze sobą go na wieś do domu rodzinnego zabierali.

Tam udzielając lekcji muzyki ich siostrze, rozkochał się w swej uczennicy. Marja, nawet wedle ówczesnego portrecika, który w domu pokazywał jej mąż — ładną nie była.

Dużo wyrazu, dużo prostoty, trzeba było domyślić się ukrytych skarbów ducha, widać jednak, iż gdy były odkryte, do uwielbienia zmuszały.

Ze sposobu wszakże w jaki pan Orpiszewski tłumaczył jej ówczesny wygląd, widać że ją miał nie tylko za ujmującą osobę, ale i za ładną.

Powtarzał przekonywająco, iż Szopen był naprawdę rozkochany, różne manuskrypty muzyczne o tem świadczyły, tyle mazurków dla niej ułożonych.

Wedle relacji pana Orpiszewskiego, młody Fryderyk napisał list do pani Wodzińskiej prosząc o rękę panny Marji. Pismo powierzył braciom. Oni go nie oddali.

Szopen wyjechał z kraju w świat szeroki, stęskniony i zbolący.

Wyjeżdżał zagranicę wskutek namów przyjaciół i życzliwych ludzi, aby się dać poznać w głównych stolicach Europy i opromienić aureolą swej sławy rodzinę i Ojczyznę. Opuszczał kraj na kilka miesięcy przed rewolucją, a po zduszeniu powstania, nie chciał wyjechawszy za paszportem polskim, wyjednywać drugiego u rządu ciemieczy.

Jednak za pomocą korespondencji utrzymywał stosunki z rodziną Wodzińskich. Pisywał do pani Wodzińskiej, a w jej odpowiedzi znajdował się często przypisek panny Marji.

Umyślono się spotkać.

Rzeczywiście spotkano się w Dreźnie 1834 r., potem sezon u wód spędzono razem, w następnym roku powtórzono te miłe spotkanie. Wracano razem z Marienbadu do Dreznia i tam kilka dni przeszło w dziwnie sympatycznym nastroju.

Przy odjeździe żal swój wyraża poeta-muzyk w walcu „Les Adieux“.

Młodzi ludzie budowali sobie w myśli gmach szczęścia. Matka sprzyjała, ojciec tylko, pan Wodziński, szlachcic dawnego pokroju, nie chciał pozwolić, aby córka wyszła, jak mówił „za grajka“. Z jego rozkazu ustała korespondencja i sielanka majowa rozprysła się, jak bańka mydlana. Wkrótce siostra doniosła panu Fryderykowi, że panna Marja Wodzińska wyszła za mąż za pana Fryderyka Skarbka. Wiemy jakiemu niefortunnemu wpływowi uległ potem genjusz muzyki.

Czy Marji mówiono, że po śmierci Mistrza znalazł się mały pakiecik z zasuszoną różą i listami pani Wodzińskiej, oraz jej dopiskami, związany różową wstążeczką z napisem „Moja bieda“?

Może jakaś zgryzota sumienia nurtowała ją, gdy słabła grając walca pożegnania?

On tylko jeden z darów rodzinnej ziemi nosił z sobą w sercu: bezbrzeżną tęsknotę, wymowną aspirację ku lepszym światom, cichą skargę zbolalej duszy, w której cierpienie staje się różańcem dziwnych pereł piękna, nanizanych miłością.

Ona o tej sielance młodości prawie nigdy nie

wspominała, o sobie zawsze skąpo mówiła. Lecz na wspomnienie Szopena czuć było w każdym słowie, że widzi w nim istotę nadludzką, anioła cierpienia, że go bezgranicznie uwielbia.

Wedle naszego krótkowidztwa, lepiej byłoby widzieć dwie młode artystyczne dusze, złączone hymenem, kroczące w zaraniu życia razem, — wśród tła wiosny i pięknej wsi polskiej.

Ale zmysł krytycznej dojrzałości inaczej nas sądzić uczy.

Cierpienie wyszkoliło Szopena, wzbudziło poetę żalu, pieśniarza tęsknoty, który formę dźwięków, wybrał dla przelania skarbów uczuć i wyrosłych na tej glebie, zaoranej cierpieniem, kwiatów mądrości. Spełniał przeznaczenie.

Stał się wcieleniem uczuć w muzyce i musiał przejść przez całą skalę wrażeń, aby je móc wreszcie oddać, odtworzyć i rozumiejąc zbolale dusze wskazać, iż lzy i skargi są to modlitwy — wywołujące ukojenie.

Ona miała inną misję: trzymać pochodnię kultury narodowej i towarzyskiej, być tem ogniwem oglady, łączącym przeszłość z przyszłością.

Czy się widzieli po tym dniu pamiętnym, kiedy po raz ostatni się żegnali?

Nie sędzę. Może się zdala spotkali, ale zbliżenia żadnego już nie było.

Tylko na ołtarzu jej serca Szopen pozostał zawsze bożyszczem.

Inaczej rzecz się miała z Juljuszem. Tu posługuje

się zdaniem pana Orpiszewskiego, a choć dawno jest ono złożone w szufladzie pamięci, nie straciło na prawdzie ani na świeżości.

Mówił on wtedy, jak to się stało, że genjusz Słowackiego wzbudził podziw w młodziutkiej Marji Wodzińskiej. Zaprzyjaźnił się Juljusz z jej braćmi i w bardzo przyjacielskim stosunku przepędziła z nim rodzina Wodzińskich w Genewie i Lozannie kilka miesięcy. Odbyto społem wycieczkę po Szwajcarji.

Po tej wycieczce zrodził się najpiękniejszy z poematów miłości, ten który we wszechświatowej poezji, zdaniem profesora Tarnowskiego, prym trzyma. Ale fantazja poety przekroczyła dotąd szanowane szranki szacunku i czci dla bohdanki.

„Nie jam był winien, ale lilja winna“ i z tego pewnie powodu tylko przelotem mówiono o Słowackim, a o Szwajcarji milczeć postanowiono.

Wspominano o księciu poetów tylko z genewskich czasów, — później znikał on z horyzontu.

Przymrużam oczy i wywołuję siłą wyobraźni obrazy przeszłości. Staje przedemną wizerunek pani Orpiszewskiej.

Tak, to ona — kroczy cicho i śmiało, wejrzenie pełne powagi, jest łagodne a zdanie ma wytrawne, pełne zarazem wyrozumiałości.

Natura jej wymową nie obdarzyła. Ledwo słów kilka z sobą wiąże. Dokańcza myśli za nią stojący mąż: — postać piękna, wizerunek jakby z XVI wieku

zdjęty. Czoło wzniosłe, oko bystre, nos orli, twarz okala zarost czarny.

Jest wielce ożywionym i doskonałym ilustratorem faktów i myśli przez nią rzuconych, bo słowo jego ma kontur i koloryt.

Ona przeciwnie, rzadko schodzi ze świątyni milczenia, ale milczenie nie jest snem lub odpoczynkiem, u niej jest ono władz ducha sklepieniem. Przysięgam słuchać umie doskonale, a z kilku słów wyrzeczonych widać, jak jej sąd jest sprawiedliwy i pewny.

Pięknie grała, udatnie malowała, akwarele były wprawne i pełne rzutu.

Widać, że wypoczynkiem była zmiana pracy lub zajęć. Natura bogata, w dary wyższe zasobna, ale ani rzutem myśli, ani iskrą dowcipu się nie odznaczała. Nie zainteresowała również żywszem opowiadaniem. Czemże więc jej inteligencja ujęła tych ludzi o umysłach wybitnych, nie omijając jej męża?

Jej rozum pewnie należał do rzędu tych, które są odbiciem udzielonych światel, — księżyc świeci jasnością pożyczoną od ziemi. Ona musiała pochłaniać, przetrawiać, dokańczać, dopełniać cudze myśli „Intelligence de reflet“, mówią Francuzi. Dar to osobny — odbicia, odzwierciedlenia cudzych wrażeń i myśli.

I taką być musiała. I w tem leży tajemnica, dlaczego umysłowość młodziutkiej Marji tak silnie zajęła Juljusza. Ona bowiem dokańczała, dopowiadała; czuł się zrozumianym i to dodawało polotu

jego duchowi i myśli. Acz w innym stopniu, bo nie mając wspólnego z genjuszem, bardzo mądry i wykształcony człowiek, Władysław Orpiszewski, jej mąż, odczuł czar, tego umiejętnego wtórowania, tej zgody ducha, umiejącej wszystkiemu współczuć.

Pan Orpiszewski, nurtowany piersiową chorobą, najtroskliwiej pielęgnowany miłością żony — zgasł na obczyźnie.

Ona wróciła do kraju, do rodziny i ostatnie swe lata przebywała wśród równin Mazowsza, kołysana pieśnią żalu, tęsknoty zrodzonej na tej niwie.

A pieśń ta ostatnie chwile jej ozlacała promieniem nadziei, której sama była już zadatkiem.

WSPOMNIENIA O DELFINIE POTOCKIEJ

Byłam jeszcze małym dzieckiem, kiedy po raz pierwszy ujrzałam tę istotę, która była duszą wielkiego poety.

W czasie powstania 63 roku — na parę miesięcy może przedtem, — przejeżdżaliśmy przez Lwów. Przyszła nas odwiedzić osoba słusznego wzrostu, o orlim nosie, bystrem czarnem oku, pogardliwym uśmiechu.

Była odziana szeroko, wedle ówczesnej mody. Zarzucony miała tak zwany burnus, którego czarne fałdy malowniczo ją drapowały. Na piersiach krzyż widniał czarny stalowy, z napisem „Boże zbaw Polskę“, znak patryjotyczny wówczas noszony.

Była to postać majestatyczna, z której zarazem trochę chłodu wiało. Pamiętam, że była bardzo zajęta; wchodziła, wychodziła w pośpiechu. Budowała wówczas własną willę i opowiadała o tem wszystkim po francusku. Pamiętam, jak mój ojciec wspominał, że wydaje mu się bardzo dziwnem, iż Krasiński pokochał osobę, tak źle władającą rodzowitym językiem.

W kilka lat potem mieszkaliśmy w Nicei i poszliśmy do pani Delfiny z poleceniem naszej matki.

Zdumienie nasze było wielkie, gdyśmy ujrzały osobę, która zamiast wyglądać starzej, wydała się nam jakby dobrze odmłodzoną. We Lwowie miała siwe włosy gładko zaczesane, teraz nosiła perukę z loczków jasno blond.

Przyjęła nas po swojemu, nawpół żartem, nawpół kwaśno, ze szczyptą cierpkości i odrobiną znudzenia. „Więc już jesteście w Nicei, — tem lepiej; mamie waszej dam potrzebne adresy. Ale chodźcie-no tutaj” — i do małego zaciągnęła saloniku — „niech was obejrzę: ot, z dzieci robią się panny, siadajcie”. Po chwili: „Jam bardzo zmęczona” — więc my na to: „My pani czasu zabierać nie będziemy”. — „Ależ owszem, ja lubię mówić z młodzieżą; póki sama was nie wyprawię, to siedźcie. Ale czemu wyglądacie panienki tak nierade, to nie pasuje do waszego wieku” — więc my buzie w ciup. Ale pani Delfina wyglądała zawsze niezadowoloną — był to rys jej charakteru, a jednak tem *niezadowoleniem zadawała ludzi*. — Była sama jakby znakiem zapytania, a wywoływała u tych, którzy ją poznawali — znak podziwu. W pierwszej młodości miała być bardzo piękną; w wieku dojrzałym piękność jej się tylko rozwiłmożniła, przybrała charakter bogatej jesieni. Więcej wyrazu, dużo goryczy w ognistym spojrzeniu czarnej żrenicy, trochę za wiele pogardy w uśmiechu, ale czar rozumu, czar uczuć wielkich, silnych, a może jeszcze kaprysu czy fantazji, nadawały jej postaci ten dziwny charakter, który mógł przyciągać, a czasem zniechęcać ludzi.

Miała urok niepospolitości; księga jej duszy wydawała się na klucz zamkniętą dla wszystkich, dlatego wzbudzała do najwyższego stopnia zainteresowanie. Otoczona była ludźmi, którzy od dziecka przebywali w jej domu, do których mówiła wiecznie jakby w złym humorze, a jednak czynami co innego objawiać musiała, bo ci ludzie, ci domownicy byli całą duszą do niej przywiązani.

Narzekała na wszystkich i na wszystko, trudząc się dla wszystkich. Pomagała ludziom wymawiając często fatygę, a jednak musiała sama tego chcieć i z tego się cieszyć, bo od niechcenia nastroczyła sposobność, aby się do niej odwoływano. Śpiewała z zapalem przy fortepianie, gdzie był wyrzeźbiony napis:

„I ja też miałem Beatrycę moją”.

W poufałym naszym djalekcie zwałyśmy ją Beatrycze, i zawsze byłyśmy ciekawe wiedzieć, w jakim humorze się obudziła Beatrycze, — czy w łaskawszym... czy w gorzkim?

Parę zim spędziłyśmy razem i coraz zażyłsze nas łączyły stosunki. Pani Delfina przyjmowała nas z tym pół uśmiechem, który u niej był szczególną oznaką łaskawości; patrzyła jak wyglądamy, czy się prosto trzymamy, pytała o postępy w naukach. Pozwalała często zachodzić do willi dla zbierania róż w tym czarownym ogrodzie, pełnym palm, drzew i krzewów najrozmaitszych. Sama róże szczepiła; — trzeba było przyznać, że ogrodniczka naprawdę zaniedbywała swoje ręce, czy dlatego, iż chciała uwi-docznić pogardę dla zewnętrznej estetyki, czy żeby

być — jak mówią Francuzi — à la hauteur de la situation — czyli zastosować się do położenia... lub do roboty.

Raz widziałam Beatrycę siedzącą na ogrodowym parkanie; wyciągnęła z kieszeni nożyce ogrodowe i używała ich do paznogi. Te paznogie, — osadzone były na ogromnych palcach, które znowu wychodziły nie ze zwyczajnych dłoni ludzkich, ale jak gdyby z łap...

Przekonałam się wtedy, jak dobrze czyniła ich właścicielka, gdy grać poczyniła na fortepianie, że je umiejętnie a pozornie niedbale zasłaniała swem szerokim, powiewnym, nieodstępnym okryciem. Pamiętam, że rano, czy wieczorem, czy o jakiegokolwiek porze, zawsze się ją widziało udrapowaną jakąś miękką zasłoną — lub też z fantazją zarzucała na ramię wówczas almawiwe, szeroką pelerynę, albo w najrozmaitszy sposób ją okrywała.

Grała przepięknie z harmonją i siłą, błyszczała bogactwem tonu i szczerem uczuciem. Gdy grała, patrzyła na słuchaczy, jakby ich chciała wzrokiem magnetyzować, a później skończywszy, wracała do cichego kąta w salonie, skarżąc się zwykle, że się dusi, lub że jej chłód dokucza.

Ludzie, którzy jej cenić nie umieli, nazywali ją z francuska *faiseuse d'embarras* (kuperwą kłopotów), ale ona może to czując, pokazywała na zebraniach zwykle wszystkim pogardliwą obojętność.

Śpiewała z duszą i z temperamentem; stojąc nieopodal fortepianu, zawsze udrapowana fałdzistem

okryciem, wyglądała jak posąg ożywiony, a wzniosłym wejrzeniem królowała nad słuchaczami.

Śpiew jej, rzeczywiście niepospolity, tchnął gorącym duchem. Z jej wzroku zawsze było zapytanie: czy warto? Wtedy na jej widok, na myśl przychodził wizerunek Marji Antoniny stojącej przed sędziami, pędzla Paul de la Roche. Było to arcynaturalnem; wszak pozowała Paul de Roche'owi i nie Marję Antoninę miał na myśli artysta, ale panią Delfinę na Marję Antoninę przerobił. Cała jej postać tchnęła dramatycznością. Widać, że straszne burze młodością wstrząsnęły. Dziś żyła wspomnieniem; może dlatego terazniejszość wydawała jej się tak mizerną, tak ciasną.

„Dawniej“ — mawiała — „jeśli serce przekraczało dziedzinę obowiązku, jeśli bywały wykołejenia, były niejako usprawiedliwione, bo wywołane uczuciem niezmiernem. — Poświęcano się, ale zawsze dla indywidualności wybitnej — czasem dla muzyka“ (tu nasz stryj, pan Mieczysław Przezdziecki, siedzący zdala cicho szepnął: „Muzyka znamy — to Szopen“) — czasem dla malarza, (stryj kiwnął głową, bo i o malarzu wiedział) — „dla poety“, (a stryj: „któżby nie znał Krasińskiego?“) — „wreszcie nawet dla rozbójnika, dla jakiegoś Fra Diavolo“ („Tego to już nie znamy“ — dodał stryj serjo, wywołując cichy uśmiech u najbliższych sąsiadów w salonie).

Pani Delfina była to bujna natura na wskrós romantyczna i jakby cała z niespodzianek złożona.

Opowiadano, że wszystkie córki pani Komarowej

słynęły z piękności i wykwintnego obejścia. Dwie wyszły za mąż zagranicę: Ludmiła za księcia de Beauveau, Natalja za księcia Spada w Rzymie.

W pannie Delfinie Komarówie zakochał się na zabój pan Mieczysław Potocki, natura wulkaniczna, nie zrównoważona, w której walczyły dobre i złe żywioły.

Małżeństwo to, jak mówią, nie należało do najszczęśliwszych, ale o tym okresie swego życia nigdy pani Delfina nie wspominała.

Po latach kilku zobaczył hr. Potocki inną piękność, pannę Emilję Świeckowską i działając impulsywnie, pod wpływem tej nowej fantazji, o rozwód się postarał.

Pani Delfina podobno skandalu rozwodowego nie chciała, Tulczyn porzuciła i przemieszkowała z matką najczęściej zagranicą, w Rzymie gdzie ją poznał Krasiński. Wtedy to poeta, dla którego ta postać tajemnicza zajaśniała aureolą cierpienia, zagadkowego smutku i goryczy z powodu doznanych zawodów, odczuł tak dalece jej czar, że umiłował ją całą duszą i byłby się zapewne węzłem małżeńskim z nią połączył, gdyby na przeszkodzie nie stanęła nieubłagana wola jego ojca, który nie chciał zezwolić, aby do gniazda Krasińskich weszła jako żona rozwiedziona niewiasta.

Ta walka serc, ten dramat duszy, ukazuje się we wszystkim co poeta pisze — w jego korespondencji, w pracach przygotowywanych, jak w „Nocy letniej“ i arcydzieła zostają pisane i wymalowane

krwią serca. Zasada była więc tym stosem, na którym ogień poświęcenia miał dwa serca zapalić miłością, tem większą, iż ją przeciwności rozdmuchiwały.

Los ich później rozdzielił. Poeta się ożenił wedle życzenia ojca z osobą, która była wcieleniem pogody ducha, harmonji władz serca i duszy, a której niestety nie mógł kochać, zwłaszcza w początku, mając serce uwięzione gdzieindziej.

Ta dziwnie wzniosła i szlachetna istota nie pragnęła go krępować, a nie chciała również go do siebie przykuwać łańcuchem obowiązkowości, ale uważając małżeństwo za związek dusz, czując się niejako odpowiedzialną za duszę, z którą ślub ją połączył, dążyła wszędzie za nim z dziećmi ufna, że kiedyś przyjdzie i jej godzina, a tymczasem dostrajając się we wszystkim do jego życzeń, musiała być przyjazną dla pani Delfiny.

Nieopodal ślicznej posiadłości pani Delfiny — (mówiono że to był dar Krasińskiego) — zamieszkała z mężem i rodziną w najętej willi pani Liza.

Dzisiaj opisuję pobieżnie to, co się kiedyś słyszało o pani Delfinie, co opowiadał stary przyjaciel domu Komarów w chwilach zażyłej pogadanki krocząc z moim ojcem i nie domyślając się, że dziewczynki idące naprzód zwierzenia dosłyszają. Z przyjemnością mówił o późniejszej rywalizacji między poetą a sławnym malarzem.

Paul de la Roche przyjeżdżał często do tej uroczej siedziby; — stosunek jego z panią Delfiną taki

był zażyły, że nawet mówiono, iż się z piękną Polką ożenił na sposób morganatyczny, aby nie straciła swego nazwiska, a jak wówczas mniemano i stanowiska w świecie. Synowie Paul de la Roche'a (artysta był wdowcem i miał dorosłych synów) znakomicie mówili po polsku. Co w tem powiedzeniu było prawdy... jest niewiadomą tajemnicą... jak uważała artystę... Czy uwielbieniem, czy przyjaźnią tylko za jego miłość się wywzajemniała?

Wiemy, że pani Delfina językiem ojczystym nie dobrze władała. Odczuwała piękno, mogła pojmować cuda poezji swego wielbiciela poety, intuicyjnie subtelności odgadywać, ale wysławiała się sama prawie zawsze po francusku.

Gdy Krasiński czasem niespodzianie przyjechał po odjeździe Paul de la Roche'a, zwykle informowany o pobycie tego ostatniego, nastawała burza i grad gorzkich wymówek z jego strony. Po takim wybuchu, podczas którego fortepian był gwałtownie porzucany i drzwi zamykane z loskotem, następowały przeprosiny, a po nich wracała najpiękniejsza pogoda. Podobno, że Krasiński lubił te zmiany temperamentu, te chmury na ciągle zmien-
nem niebie humoru pani Delfiny, i dopóki nie zrozumiał głębi ducha swej żony, nie pojmował jej wiecznej pogody.

Taki stan męczył go, przykrzył mu się, bo był jednostajny.

Dawniejsze wspomnienia przenosiły ciekawego opowiadacza do tej epoki, w której dla niego, jako

dla przyjaciela, każde drzewo, krzak każdy, był ilustracją, przypomnieniem minionych chwil.

Oczywa wyobraźni wedle jego opowiadania widziało się panią Delfinę już to jako Beatrycę, będącą muzą poety, już to jako model dla de la Roche'a, jego Marję Antoninę a może i Jeanne Gray.

Dla poety śpiewała, przy Paul de la Roche malowała; wcale dobre były kopje zdjęte z jego portretów. Dla Szopena grała — ale tu występowała w roli przyjaciółki, która współczuje i usque ad finem czuwa nad lożem śmierci genialnego człowieka. — Poeta poznawszy żonę — potrafił ją ukochać na dwa lata przed odejściem ze świata. Stosunek z panią Delfiną, nie został zerwany, ale rozwiązany.

Gdy się wielki poeta rozchorował, na dobre, wówczas żona z jego polecenia prosiła piśmiennie, by pani Delfina do Paryża zawitała: na pożegnanie.

I znowu dawny przyjaciel Francuz, opowiadał, że wówczas przyjeżdżała codzień do mieszkania Krasińskich i starała się muzyką, śpiewem, rozmową być osłodą.

Jest jedna chwila, którą pewnie kiedyś jakiś wielki malarz lub poeta upamiętni.

Przed samem rozstaniem się poety z życiem, nadeszła pani Delfina i jęła się domagać, aby ją wpuszczono do pokoju chorego; wówczas nadchodzi pani Liza posagowo piękna i odmawia pozwolenia: „Życie do pani należało — śmierć jest moją“.

Po śmierci narodowego wieszczą, pani Delfina zajmuje się swoją siostrzenicą i wychowawszy ją, za

mąż wydaje. Najpierw szuka we Lwowie pola do działalności, ale jakoś nie przywyka do tego miasta i chroni się na zimę do Nicei, gdzie na pozór oddana jest tylko życiu towarzyskiemu. Tam najglówniejszym jej celem jest podtrzymywanie Zakładu Dobrego Pasterza. Matkę staraniem swem pochowała w bocznej nawie zakładowej kaplicy, gdzie często przebywała na modlitwie.

Można powiedzieć, że stworzyła w Nicei tę instytucję, przeznaczoną dla nawrócenia błądzących owieczek i oświecenia ubogich dzieci; a nie tylko chlebem materialnym ją zasilala, ale chlebem duszy i rozumu; była onego zakładu świecką jakby kierowniczką.

Pani Delfina mając lat sześćdziesiąt kilka świetnie wyglądała; figurę miała przepiękną, postawę wspaniałą. Ubiór miała zawsze jakby od niechcenia — okrycie wiecznien zarzucone na ramię. W przyjęciach ta sama zasada, i tak się zrosła z tą manierą, że wyglądało to już całkiem naturalnie. Podczas obiadu, śniadania, gdy gromadziła gości, zawsze miała minę zdziwioną — nie wiedziała niby, jakie będą dania, choć wszystko było zgóry obmyślane i rozporządzone.

Sieroty, kościół, ogrodnictwo, sumienna i długa korespondencja i wertowanie starych pamiątek, oto jej zajęcie. Te albumy, jakież to skarby!... Był jeden, często nam dawany do oglądania; tam Krasiński codzień zwykł coś napisać, a jeżeli nie przebywał

w miejscu, gdzie bawiła pani Delfina, to wierszem czy prozą coś jej posyłał. Listów było mnóstwo; zbierała je troskliwie dla oddania ich jego rodzinie. Jej salon był niejako muzeum pamiątek. Fotografje, sztychy, minjatury, piękny portret jej siostry księżny de Beauveau, kopja podobizny de la Roche'a, którą sama wymalowała w pracowni mistrza.

Mówić o tej siostrze był to ulubiony przedmiot jej rozmów. Opowiadała nam jak ona maluje igła sznelami, te prace od gobelinów są cenniejsze i piękniejsze, lepiej czar życia oddaje; — jakie szkoły stworzyła, gdzie uczą tej sztuki stosowanej, które księżna de Beauveau swoją własną pracą utrzymuje.

Wtedy nawet się uśmiechała. Ta prawidłowość życia siostry dawała jej pogodę. Jej zaś życie podobne było do potoku, którego bieg został skrzywiony i toczył się po niedostępnych skałach.

Komu oddała serce? Czy poecie, czy później jeszcze malarzowi? Tych dziejów duszy nikt nie wyświetli. Poeta otwierał jej nieznane światy, wznosił jej umysł, lubowała się jego pamiątkami; zawsze nosiła jako broszkę rzeźbiony wizerunek Matki Boskiej, gdzie był wyryty piękny wiersz, oddający ją pod szczególną opiekę Najświętszej Panny.

Czy to była jedyna miłość wielka, stała i tą stałością prawdziwa i nieśmiertelna, któż powiedzieć może? Poeta jej śpiewał, malarz malował ją pod postaciami Marji Antoniny i Jane Gray.

Później jest wychowawczynią. Wydawszy zaś siostrzenicę zamąż za hr. Mikołaja Tyszkiewicza

w roku 1861, przenosi się do Lwowa, potem w Nicei widzimy ją jeszcze życiem płonącą i od rana do wieczora zajęta.

Z tą niepospolitą i czarującą osobą, która była żywym posągim dobra i piękna, z panią Lizą Krasieńską, zostawała wciąż w nieprzerwanej korespondencji.

Tradycja dawnego wychowania nie pozwalała mówić o sobie, ani o swoich dolegliwościach. To też było jakby niespodzianką, nawet dla rodziny, gdy się dowiedziano, że pani Delfina Potocka, ma ranę na piersi, że rana ta jest rakiem, i że pragnie być operowaną.

Pani Delfina, mimo swej pozornej nietowarzystości, utrzymywała za pomocą korespondencji liczne stosunki we wszelkich krańcach Europy. Nikomu o tem nie pisze, od krewnych się usuwa, i tylko zwierza się swej siostrzenicy, matce Natalji Komar, przełożonej klasztoru Assomption w Paryżu i swej przyjaciółce baronowej James Rotszyldowej.

Z baronową Rotszyldową była to dawna przyjaźń. Ongi już te panie tak się kochały, i tak nawzajem sobie dobrze życzyły, że raz w pewnej chwili wywnętrzenia obie się przyznały, że jedna drugą nawracać chciała do swojej wiary. Od tego czasu temat ten nie został między niemi poruszony, ale przyjaźń wzrastała, wzmacniała się a ten związek dusz uszlachetniał je obie.

Na wiadomość o chorobie przyjaciółki, baronowa Rotszyld, zapragnęła ją mieć przy sobie, w ślicznej

pod Paryżem posiadłości Boulogne, aby ją móc pielęgnować, i aby w tym czarownym ogrodzie pani Delfina po ciężkiem przejściu mogła używać spaceru, i dobrego zamiejskiego powietrza.

Matka Natalja Komar podążyła za ciotką, i z urzędu wzięła nad nią opiekę. Wezwany chirurg zrobił amputację piersi dla uratowania od raka. Z męstwem żołnierza idącego do boju pani Delfina poddała się operacji.

O szczęśliwym rezultacie sama zawiadomiła krewnych i przyjaciół z podwójną siłą i energią wracała do zdrowia, jak świadczą listy do mojej matki pisane, we wrześniu 1875 r.

Tymczasem straszna choroba, która nigdy zupełnej dymisji nie bierze, w kilkanaście miesięcy znów powróciła, — i już wtedy żadna operacja nie była w stanie zniweczyć tego wroga organizmu.

Z całą świadomością pani Delfina oczekiwała końca żywota. Nie odstępowała jej zacna siostrzenica matka Komar. Ostatnie dni życia spędziła znowu w Boulogne u swej ukochanej przyjaciółki.

Spisywała dyspozycje pośmiertne, o nikim nie zapomniła i Dobry Pasterz został zabezpieczony — i wierna czereda, służba domowa. Każdy z bliższych znajomych dostał upominek. Walcząc ze strasznym bólem, któremu się nie poddawała, z męstwem i rezygnacją, posilona Sakramentami, rozstała się z tym światem w jesieni 1876 roku.

Hr. Lizę z Branickich Krasieńską poznałam, gdy już zaczynała jesień życia. Miała wówczas pięćdziesiąt parę lat, ale przedwczesnej starości tam nie było, wyglądała z całej postaci, z jej oczu, dojrzałość zupełna, złagodzona wdziękiem dobroci. Ta dobroć była jakby utrwaleniem młodości. Przy wzroście więcej niż słusznym i postawie majestatycznej, spojrzenie miała powłóczyście, wzniosłe, a tak łagodne, iż wydawało się, że oczy jej sięją życzliwość. Nos trochę zgarbiony miał wyraz refleksji, usta często niedomknięte o kątach nieco podniesionych wyrażały hojność serca, która skwapliwie chce się zawsze z ludźmi dzielić dobrą nowiną, dobrem słowem i szuka wciąż sposobności do dobrego czynu. Cera alabastrowa odpowiadała czystości myśli, lekki rumieniec wskazywał, że życia w niej dużo, mimo chłodnego nieco pozoru.

Pamiętam, iż gdy ujrzałam pierwszy raz tę wspa-
niałą postać zdawało mi się, że widzę przed sobą ja-
kąś królową zaczarowanego kraju, niby z bajki, tak
dalece się wyodrębniała od nas zwykłych śmiertel-

ników. Spokój od niej bił niezamącony, a jednak
czuć było, że to stan nie pochodzący z ośpałości lub
obojętności, że ten spokój został zdobyty, że pono
jest utrwalonem zwycięstwem ducha. — Czuć było,
że postać jej wewnętrzna ujawnia się częściowo na
zewnątrz i że za perłami rzucanych słów, nagroma-
dzone są skarby uczucia i wiedzy.

Otóż ta dziwnie ujmująca osoba, posiadająca naj-
większy dar prostoty, z natury rzeczy musiała wy-
woływać podziw. Nic dziwnego, że gdziekolwiek
osiadła, umiała zawsze około siebie ludzi zognisko-
wać, i zespalać ich ze sobą, bo nikt się nie mógł
oprzeć jej urokowi.

Była w grubej żałobie po stracie syna, gdy ją
pierwszy raz ujrzałam. Tęsknota przezieriała z poza jej
dobrotliwego uśmiechu, którym pragnęła ludziom
boleść swoją zasłonić. Było to w Ursynowie. Odwie-
dziny te zostały mi w pamięci, jako jedna z rzadkich
chwil zetknięcia się bezpośredniego z Pięknem. Pani
Liza na ganku od niechcenia malowała akwarelę,
raczej ilustrowała na sposób średniowieczny kartki
tak zwanego „Mszalu“ na wzór średniowiecznych.
Po przywitaniu się pełnem z jej strony serdecznej
uprzejmości i ugoszczeniu nas, gdyśmy byli wszyscy
zajęci rozmową, odruchowo powracała do swej ulu-
bionej pracy.

Rozmowa toczyła się pogodna i niespodzianek
pełna: każdy wyraz i myśl każda wywoływała inny
jej obrót i była tematem wymiany zdań. Pani Liza
była mistrzynią w tym kierunku i choć rozmowę

prowadziła niby od niechcienia, zawsze, choć sama w ukryciu, umiała dyskretnie podać obraz nowy dla wyobraźni, rzucić jakieś ziarno pożyteczności do mózgu. To jej uwielbienie przyrody, piękna rozlanego wszędzie w naturze, udzielało się wszystkim. Atmosferę duchową wytwarzała przesiąknięta wyższą poezją, bo poezją życiową. Nic nie było udanego, wszystko płynęło ze źródła, i było w dobrej wierze poczęte i udzielone. Poeta grecki mawiał: „Pisz dla muz i dla siebie“, dusza pani Lizy śpiewała dla Boga i nie bacząc na innych, dla siebie, pieśń Bożego uwielbienia.

O jej dzieciństwie, o jej wychowaniu nikt mnie nie objaśniał. Mówiono tylko ogólnikowo, że panny Branickie były przez matkę w wielkim rygorze wychowywane, że były piękne i utalentowane.

Panna Liza Branicka miała wówczas lat dwadzieścia cztery, gdy w obu rodzinach obmyślano związek między nią a młodym patrycjuszem i wielkim zarazem poetą. Podobno generał Krasiński ujrawszy ją rzekł: „Ta a nie inna musi być żoną mego syna“. Wiedzano, że Zygmunt oddany był całą duszą pani Delfinie i że tylko ojciec stanął na przeszkodzie zamiarowi jego zaprowadzenia tej bohdanki na kobierzec ślubny. Generał nigdyby nie pozwolił rozwódce przestąpić progów swego domu. Tragedję tę przeżył poeta w całej pełni. Dziedzicowi wielkiej fortuny, i wielkiego nazwiska, temu który miał obowiązek tę tradycję przechować i zwiększając zasługą podać następnym pokoleniom, należało zacząć życie obowiąz-

kowe, zakładając rodzinę. Było to najgorętszym pragnieniem weterana kampanij Napoleońskich. Uległ temu wpływowi Zygmunt, zasadę ożenienia się przyjął jako konieczność, może nawet jako malum necessarium, któremu ulec musiał. Nie dziw, że z góry podał się idei zaprzęgnięcia się do jarzma małżeńskiego. Ile razy jednak w tem postanowieniu się wahał, tyle razy ojciec zapadał niebezpiecznie na zdrowiu, głównie więc dla przedłużenia życia generała okazał się w tym względzie posłusznym.

Wiem z tradycji osób, naówczas świadków tych zdarzeń, iż było niezłomną wolą ojca, aby on potwierdził ten wybór. Wahanie syna przypłacił chorobą, zgoda jego przywróciła mu zdrowie.

Uroczą panną Liza oddawna rozczytywała się w dziełach anonimowego poety, i w duszy z lubością piastowała życzenie stać się jego osłoda, pociechą życiową, może Egeryą?

Generał jakeśmy powiedzieli najzupełniej urokowi jej uległ, a jako stary żołnierz, człowiek z jednej sztuki, który skoro uważa jakiś plan strategiczny za dobry, pragnie go zaraz wykonać — całą energję wcielił dla doprowadzenia do skutku tego zamiaru. W tym celu obie rodziny zjechały się w Dreźnie. Podobno, że uczciwość Zygmunta kazała mu oświadczyć wybrance ojca, że on nie uległ jej urokowi — i że nie wie czy kiedykolwiek to nastąpi. Tradycja dalej mi opowiada, że panny Lizy bynajmniej to nie oziębilo; przeciwnie oświadczenie to

stało się raczej bodźcem, aby pracować tem gorliwiej nad zdobyciem jego serca, aby tyle mu okazać ofiarności, poświęcenia, iż następstwem musi być zaufanie a kiedyś — silne przywiązanie.

Choć się może nie omyliła — jednak drogę krzyżową sobie obrała. Ona oddawna myślą go kochała i pragnęła nad tym żyjącym skarbem narodowym, pieczę własnego zaparcia się rozciągnąć, czuwać nad nim nieprzestannie.

Jej celem było, aby on coraz wyżej ku wyższym celom sięgał, aby serca wznosił, ogrzewał, umysły oświecał, do kraju Idealu wprowadzał.

Czy to, jak mi później tłómaczono, była miłość li-tylko przez rozum pojęta — w samym umyśle? Bardzo być może, ale w tej chwili gdy zbliżenie się z wybranym narzeczoną nastąpiło, wydało się jej, iż nietylko już kocha, ale tak jeszcze ukochać potrafi, że on musowo ulegnie sile rzeczy i że to małżeństwo stanie się wielką harmonijną pieśnią dwóch dusz wtórujących Bogu — Hosanna!

Więc do ślubu stanęli: on, jako wcielenie posłuszeństwa gwoli ojca, ona patrząca w dal z radością, że stać się może wcieleniem poświęcenia.

W kilka lat później są zagranicą. On dąży do swej Beatryczy do Nicei, gdzie wśród kwiatów nad błękitem Śródziemnego morza przechadza się wyniosła postać, ta właśnie jedyna dusza, która jak mniema jest mu całkiem pokrewną, z którą się zbratał, dla której się odzywa nie tylko słowem, ale myślą.

Żona dla niego, to głaz niewzruszony, nie w niej do niego nie przemawia.

On, jasnowidzący! On nie pojmuje, że ów głaz to posąg dłutem woli wykuty, że pozorny spokój siłą woli został zdobyty. Jemu się zdaje, że nie potrafiłaby być inną — przyjaciółom się zwierza, iż ten spokój go denerwuje, denerwują go i kwiaty, którymi zdobi głowę, aby jego estetycznemu smakowi dogodzić.

I te kwiaty muszą być z kruczych włosów zdjęte i zrzuczone. Sam wyrzucał te denerwujące róże, a ona, która nie jest głazem, choć oczy wilgotnieją, zdobywa się na uśmiech — na uśmiech pobłażliwości, która fantazje poety rozumie.

Ileż to razy takich nieporozumień są świadkami przyjaciele, lecz z jej strony nieporozumienia nie było nigdy — ona wszystko pojmowała, każde zdennerwowanie tłómaczyła.

Dla tych co ją z tych czasów pamiętali, ta względność dodawała jej dziwnego uroku jakiejś boleści. O niej, o tem co zniosła w tych czasach, opowiadał naoczny świadek Ludwik Wołowski z podziwem i rozczuleniem.

Wielbił poetę, żonę zaś czcił jak świętą. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej kochać *Zygmunta*, a później po latach wielu mówić: „Duch jego zaiste był jasnowidzącym!”

Bóg czasem pozwala na takie omyłki. Poeta jasnowidz, który wszystko rozumiał, pojmował, który w dal zapatrzony, prorokował, który wreszcie miał

być nieporównanym psychologiem, poeta, brał za martwość to, co było li-tylko ukrytym ogniem. Wolał burze — gniewy, i ledwo pół-uśmiechem opłacone jego uwielbienie przez wybraną Beatrycę, która odczuwając Piękno, przy rozwiniętym duchu fantazji, nie pracowała nigdy nad ukształtowaniem jednolitego posagu duszy. Ona cała była w impulsie, szła za popędem krwi, temperamentu. Żona zaś słuchała tylko głosu obowiązku, przetrawiała w duchu myśl każdą, czynność, aby rzeczywiście stała się celową, aby była użyteczną. Jednak wichry i burze na ukrytem dnie duszy często ją nawiedzały. Miała nieraz tego dowód najlepsza przyjaciółka. Zastała kiedyś panią Lizę zajętą wykończaniem akwareli, podobizny wedle dagerotypu matki pani Delfiny. Pani Marja Przeddziecka jęła podziwiać olimpijski spokój z jakim wszystko czyniła. — „Tak sądzisz jak wszyscy — bo się nikt nie domyśla burz, które mną w duchu miotają — o dramacie wewnętrznym nie wie“.

I jej spojrzenie wówczas miało się stać tak dramatycznym, tyle było w niem skryzalizowanego bólu, że aż przestraszył wywołał w patrzącej i wyrwał się głęboko w jej wspomnieniu. Lecz i oczom nie wolno być wymownemi.

Tamowała wzrok, jednak ten zapewne mimo jej woli był odbłaskiem wzniosłych uczuć, które dają wyrozumiałość, a przedewszystkiem przebaczenie.

O ile mi opowiadano, było to wielkiem z jej strony poświęceniem zaprzyjaźnić się z tą tak umi-

łowaną przez Zygmunta istotą, — i dążyć za nim, wtedy, gdy on byłby wolał pozbyć się rodziny i na skrzydłach miłości do Beatrycy przelatywać. Jednak ona czyniła to, co świat brakiem godności nazywał, bo nad duszą Zygmunta miała pieczę. Zdało się jej, że ona za tę duszę jest odpowiedzialną, że nad nią czuwać musi. Duch jego zmęczony, lada dzień pielęgniarce potrzebować może, ona wyczekująca tej chwili już jest na stanowisku, na każde skinienie pomoc gotowa. Ona wie, że kiedyś nareszcie ją pozna, lepiej pozna. Ale w tem własnego zadowolenia nie szukała, tylko dobra jego, dobra jego duszy, a potem — nie trzeba mu pozwolić odwyknąć od dzieci. Przywiązanie wzmacnia się obcowaniem. Trzeba, żeby dzieci wciąż się przy nim kręciły, on ma te dzieci widzieć na każdym kroku. Niech widzi jak biegają wśród rozkwitłych róż w ogrodzie willi Massigny, niech się cieszy ich swobodą, zachwytem serc dziecinnych!

Była jeszcze córeczka Eliza starsza od Marylki, która umarła w Opinogórze. Poeta pisze o tem nieszczęściu do Gaszyńskiego i wspomina o cichej bolesti Elizy.

Bo te troje dzieci Władzio, Lili — tak zwano Zygmunta, i Marylka, to duchy już w zarodku niepospolite. Ojciec się do nich przywiązuje. Pani Liza miała słusność, obcowaniem ta miłość rodzicielska się wzmacniała i w jego listach do dzieci widzimy z mądrych wskazówek, które wyszły z intuicji duszy, jak mądrym był pedagogiem.

Więc tę miłość do dzieci ona wypiełgnowała. Dopiero później powoli, zacierał się urok pani Delfiny, potężniał wpływ pani Lizy. Nareszcie zasłona, która przed duchem poety zakrywała obraz pani Lizy, nagle się rozpierzchnęła.

Poeta się obejrzał, zrozumiał, i pojął — i „zawsze i wszędzie“ zostało wyrazem tej nowej w życiu jego epoki.

Tu poeta w szczerości ducha chce przebłagać i mówi:

„O nie mów o mnie gdy mnie już nie będzie,
Ze ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem,
Zawsze i wszędzie“.

ale jakie szczere czynił wyznanie:

„Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Żem żył na świecie dzikim serca szaleńcem,
Bo z serca ciebie choć gorzko kochałem
Zawsze i wszędzie“.

Trwało to dwa lata. Na niebie dusz zajaśniała pogoda. Ale na nieszczęście na krótko. Nieubłagana choroba poety źle przez lekarzy leczona, dała się we znaki. Ostateczne wyleczenie rany na kolanie dało tuberkuł wewnętrzny; i wiemy ze wspomnień o tamtej Beatryczy, że pani Liza spełniając myśl męża, prosiła piśmiennie panią Delfinę, żeby przyjechała się z nim pożegnać.

Poeta z Bogiem w sercu w uścisku rodzinnym rozstaje się ze światem.

Ona zostaje z dziećmi dorastającymi: starszy syn miał szesnasty rok; — ona piękna jak żywy posąg w uroku drugiej młodości.

Jakże mogła wdowa po Zygmuncie wstępować później w powtórne związki małżeńskie? Temu się dziwił i dotąd dziwi świat cały i ja potrosze to mniemanie podzielałam. Dostrzegłszy to córka¹ takie mi dała objaśnienie, które zresztą potwierdziła przyjaciółka².

„Ojciec mój, — mówiła mi córka, — ustanowił w testamencie swym³ wuja Ludwika Krasińskiego opiekunem dzieci, i nie tylko miał opiekę nad majątkiem, ale dana mu była najzupełniejsza moralna opieka nad nami. Miał być wychowawcą. On zapamiętałe kochał, ubóstwiał moją matkę, stało się to koniecznością, by wyszła za mąż za niego, bo inaczej nie byłoby jednolitości w wychowaniu.

I głównie z tego względu, matka moja to uczyła“.

Przyjaciółka, z którą o tem rozmawiałam dodawała: „To wszystko jest prawdą, ale do zawarcia tego małżeństwa była jeszcze jedna przyczyna — leżała ona w sercu pani Lizy. Było ono do głębi wzruszone. Tak, ona pokochała pana Ludwika. Jako młoda dziewczyna, umiłowała Zygmunta — głową... później, wdową, pokochała pana Ludwika — sercem“.

¹ Marja z Krasińskich Raczyńska.

² Marja z Tyzenhausów Aleksandrowa Przeddziecka.

³ Hr. Ludwik Krasiński był krewnym po kądzieli, stąd był wujem a nie stryjem.

To uczucie prawdopodobnie powstało na tle wdzięczności. Wówczas gdy była zapoznaną przez męża, widziała, że ją kto inny uwielbia, ku niej śle wzrok gorący, jak gdyby się do świętej modlił. I dla duszy zmęczonej tą walką — tym ciągłym wysiłkiem, tem właśnie zapoznaniem, *uznanie* ze strony mądrego człowieka było potrzebną i miłą oazą, — dusza w atmosferze tej życzliwości, mogła czerpać siły do dalszej wędrówki życiowej.

Pan Ludwik był człowiekiem interesu, życiowem przeciwstawieniem Zygmunta; — ona doznawszy cierni poezji, mogła pomyśleć, że proza jest bezpieczniejszą treścią życia, gdyż mając głębokie korzenie na gruncie rozsądku potrafi być silną dźwignią.

I temu urokowi pani Liza uległa.

Nie było to bynajmniej sponiewieraniem pamięci Zygmunta, było to jakby pod egidą tego samego nazwiska ułatwieniem pracy wychowawczej dla najdroższej spuścizny poety — jego dzieci. — W życiu nie można być doktrynerem. Doktrynerstwa i oportunistu zarówno wystrzegać się należy, gdyż trzeba się stosować do praw serca, do zmian wyrządzonych okolicznościami życiowemi, nie uchybiając jednak zasadom prawdy i obowiązku. Cała sztuka życia na tej równowadze polega, a dobrze mówiła pani Liza, iż każdy w życiu musi jak tancerka cyrkowa z całem napięciem po drucie nad przepaścią chodzić, bo z obu stron są niebezpieczeństwa. Mogła zatem za pana Ludwika wyjść za mąż, nie tylko nie uchybia-

jąc pamięci poety, ale wysoko jej sztandar piastując wobec pozostałej dziatwy.

Do niego przywiązała się gorąco, o Zygmuncie mówiła słodko i z namaszczeniem. — Tyle się o tem nasłyszalo; powinnam była spisywać dzień po dniu z drogocennych słów z jej ust wychodzących, ale młodość jest nieopatrzną; nie myśli o jutrze.

Czterdziestoletnia wdowa, wyszła powtórnie za mąż za dwudziestoosmioletniego pana Ludwika. — Młody piętnastoletni Władysław, starszy syn Zygmunta, chciał podobno protestować, ale siła rzeczy zwyciężyła. Naoczni świadkowie opowiadali mi, że wówczas sędziwa pani Branicka mieszkająca stale nad Sekwaną, zgromadziła synów mówiąc im: „Wasza siostra 28-letnia pani Liza, wychodzi za mąż za czterdziestoletniego pana Ludwika. Tak jest i tak ma być wszędzie powtarzanem“. Może i tak rozpowiadano przy filuternych uśmieszkach słuchających. Z tego związku potomstwa nie było.

Pani Liza oddała się gorliwie wychowaniu synów i małej córeczki. Zamieszkiwała z niemi zimą w Aix we Francji na Prowancji przy wiernym przyjacielu Zygmunta, Konstantym Gaszyńskim, powierniku myśli poety, i któremu on powierzył duchowy kierunek swych synów.

Do córeczki nie miała urzędowej nauczycielki tylko podręczną osobę, która była jakoby dalszym jej ciągiem. Bardzo będąc zdolną, sama się z synami uczyła łaciny i greki, wiedząc, że dla młodszego syna zwłaszcza, bodzić ten ma niesłychaną wartość. —

To też młody Zygmunt z zachwytem i wdzięcznością opowiadał przyjaciółce, zawsze tej samej hr. Marji Przezdzieckiej o nadzwyczajnych zdolnościach matki, o jej nadmiernej pracowitości, jak wspólnie z nim ślęcząc, potrafiła ułatwić mu naukę tych języków.

Przytem ulubiona uczennica Ary Scheffera oddawała się w wolnych chwilach z zapalem malarstwu. Malowała głównie wizerunki świętych do kościołów w Polsce. Jej pędzel nie uzyskał światowej sławy, był tylko uosobieniem uczuć pięknej duszy, zawsze coś wdzięcznego i rzewnego powiewało z wymalowanych postaci. — Brakowało jej pewnie techniki, ale tyle było wyrazu w jej Madonnach i tyle słodczy, iż patrząc na te wizerunki najmilszego doznawało się wrażenia. Nauczyła się i zdobniczego malarstwa, malowania na aksamicie, i całe umeblowanie jednego salonu w Warszawie jest dowodem, że obok powołania na Marję — umiała być i Martą.

Lecz choroba nieuleczalna, dziedziczne suchoty, zakradłszy się do rodziny, ciągle dawały się we znaki. Drugi syn z rzędu, Zygmunt, który jak mi o nim opowiadano był nadzwyczajnym młodzieńcem, wzorem wewnętrznego człowieka, umysłem zupełnie dojrzałym i zrównoważonym, został najpierwszy nią dotknięty. Tuberkuły widać długo utajone, naraz się pokazały. Czy leczyć je przyszło za późno, czy już choroba była z początku nieuleczalną? Matka pilnując starszego syna, który wydawał się też zagrożonym, wysłała młodszego do Rzymu do sio-

stry, księżnej Odescalchi. Mimo pielęgnowania, lepszego klimatu, czuł się tam niedobrze, pragnął, jak mówił, tylko umrzeć w objęciach matki, nagle więc wyjechał do Paryża, gdzie wówczas mieszkała rodzina Krasieńskich, żeby w jej macierzyńskim uścisku ducha oddać...

Zakończył życie nad Sekwaną, ten piękny, pełen nadziei kwiat, nieubłaganą ręką śmierci w zaraniu życia skoszony.

Podczas śmiertelnej choroby młodszego brata, starszy leżał zaziębiony i niedomagający — nie wolno mu było wiedzieć o przyjeździe młodszego, ani o jego chorobie, a tem mniej o strasznym grożącym mu niebezpieczeństwie.

Gdy już Zygmunt był bez nadziei myślano, że o wiele silniejszej kompleksji jego brat Władysław będzie mógł jeszcze w zarodku pokonać chorobę. Straż czyniono koło niego, żeby do dalszych pokoi nie zaglądał i brata nie odwiedzał. Pewnego dnia około świtu, gdy matka lub siostra na przemian pielęgnując obu braci i przy nich się zmieniając ode szły na chwilę, starszy wyrывa się i idzie do komnaty brata.

Siostra nadeszła w chwili wzajemnego uścisku i mówiła ze wzruszeniem, iż ten uścisk niemię rozpaczy między konającym a żyjącym był tak rozdierający, iż nic równie bolesnego nie można sobie wyobrazić. W kilka chwil potem Zygmunt Bogu oddawał ducha. Podobno był to młodzieniec umysłu niepospolitego, — główną jego cechą była refleksyjność,

a smutek zaś był jakby stemplem głębokiego i łagodnego charakteru.

Trzeba było po tym ciosie zdrowie starszego zabezpieczyć. Matka całkowicie się temu oddała, jak zarówno i tej myśli, żeby osiągnął upragnionego szczęścia i swe marzenia miał ziszczone.

Więc choć do głębi wstrząśnięta tym ciosem, pani Liza kroczyła dalej drogą życiową, zboląła wewnątrz, na pozór pogodna.

Była uosobieniem woli, mogła czuć agonję, w duchu, ale jak mówi poeta: „Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, zresztą jednak”. Ona jednakowo szła gościńcem obowiązku, chcąc spełnić zadanie życiowe i być pomocną.

A jedna tylko myśl ją ogarnęła, dać drugim możliwość w życiu iść odważnie, odpowiadając powołaniu swemu i nałożonym obowiązkom.

Siostra jej¹ z uroczą córką były w Paryżu; pan Władysław zawsze młodą kuzynkę wyróżniał, żywił ku niej afekt gorący, więc pani Liza doprowadza to małżeństwo do skutku, usadawia ich w Mentonie. I tam sama przesiaduje z nimi lat kilka. Do kraju wraca dopiero, gdy już starszy syn leżał w grobie. Przeżył niespełna lat trzydzieści, a umierając ten niepospolity młodzieniec prosił rodzinę o powrót do Warszawy.

Niemia życia politycznego w kraju, ale trzeba ży-

¹ Pani Katarzyna Adamowa z Branickich Potocka. Z córką Różą Potocką, późniejszą hr. Władysławową Krasińską. 2-do voto hr. Edwardową Raczyńską.

cie towarzyskie podtrzymać, powołać, stworzyć. W Polsce należy się skupiać, wzajemnie się popierać, należy się zatem widywać. Salon ma być ogniskiem wiedzy i kultury, ma ludzi jednoczyć. Jestto niejako posłannictwem stworzyć takie centrum. I przyrzekają mu matka, żona, siostra, iż przekazana jego ostatnią prośbę, jako obowiązek najświętszy spełnią.

Przyjeżdżają zatem do Warszawy. Wtedy jako młodzianka mężatka miała szczęście bliżej się z panią Lizą zapoznać. W ciągu dwóch zim razem spędzonych, przekonać się mogłam jaką niepospolitą była osobą i z jakim wdziękiem piastowała berło najwyższej dystynkcji i delikatności uczuć.

Pani Liza przy królewskim, iście majestatycznym wyglądzie, miała szczerotę i prostotę dziecka. Pobłażliwość miała łagodną, nie znającą wyniosłości. Uśmiech nie miał cienia ironji lub pogardy. Sama oderwana od wszelkich ziemskich naleciałości, niczem nie gardziła. Wydawała się prawdziwym uosobieniem poezji. To życie wyższe miało swoje źródło w obcowaniu z Bogiem. Nikomu pobożnością nie ciążyła, ani nie mówiła o swem życiu duchowem. Wiadomo mi było, że rano krzepiła się modlitwą, że szła wcześniej do kościoła na ofiarę Mszy świętej, najczęściej dla połączenia się z Bogiem w Komunii świętej; wróciwszy zaś malowała godzin kilka. Później korespondencja, zajęcie się domem, spacer z córką, piecza o ubogich, dzień na przemian zapełniały.

Wieczorem te panie siedziały w domu; około okrągłego stołu gromadzili się przyjaciele i dobrzy znajomi. Najczęstszymi gośćmi byli Cyprjan Lachnicki, gromadzący piękne obrazy w swej prywatnej galerji, pan Józef Brodowski, artysta malarz z żoną, pan Michał Trębicki, Wincentowstwo Walewscy, hr. Konst. Przedzieccy, hr. Stanisław Zamoyski z córkami, pan August Kościelski z synem, — oto są główni zażyli goście codziennych wieczorów. Ile to dobrych chwil tam spędzono! Przy świetle lampy pani Liza najczęściej malowała kwiaty, czasem wzory do ornatów, lub szydełkiem wyrabiała chusteczki włóczkowe dla ubogich dziewczynek z ochronki; rozmowa płynęła łatwo, na tle aktualności. Często o przeszłość potraçała, a czasem wywoływała zagadnienia przyszłości. Pascal kiedyś powiedział: „Les entretiens font plus profiter que les livres“, (rozmowa większą od książek korzyść daje). Zgoda, ale wtedy gdy rozmowa nie jest odruchowem wyrzuceniem słów dla zabicia czasu, lecz gdy jest rzeczywiście myśli wymianą. — I taki charakter miała tam rozmowa. A z artykułu przeczytanego przez panią domu, wynikały dyskusje, komentarze. Mimochodem porównywając terażniejszość z przeszłością, — ile ciekawych szczegółów dawała. Ileż skarbów zmarnowałam nie notując ich zaraz choć pobieżnie.

Kiedyś jest mowa o podróżach: pani Liza zaczyna je porównywać z dawniejszemi i opowiada nam jaki urok miały wędrówki odbyte końmi. W roku 1835

lub 1836 pani Branicka z córkami własnymi końmi jeździła do Paryża. — Droga z Warszawy była na Drezno, Frankfurt. Sprawa Polski miała wtedy wszelkie sympatje; to też obrazowo nam pani Liza opowiadała, jak się zatrzymano we Frankfurcie tydzień, żeby konie odpoczęły, jaki nastąpił bliski stosunek z gospodarzem zajazdu, jak się później serdecznie żegnano i jak wspólnie płakano nad losem ojczyzny podróżników.

Kiedyś znowu mowa jest o znaczeniu i niebywałym rozroście Prus. Pani Liza przypomina, że Zygmunt jeszcze w roku 1844 przepowiadał przewagę Prus, które w przyszłości staną się arbitrem losów Europy.

Przechodzimy na temat muzyki: do każdego mowa dźwięków przemawia inaczej. „Dla Zygmunta — mówi pani Liza — muzyka była niezbędną potrzebą, zwłaszcza przy tworzeniu. To też dawniej wiele bardzo grywałam, bo mnie Zygmunt o to prosił. Lubiał wówczas chodzić po pokoju przysłuchując się tonom, bo muzyka go nastrajała, była pobudką do twórczości. Chodził wtedy zamyślony, przerywać nie pozwala — „graj, graj mi jeszcze“ — mówił, dopiero po kilku godzinach siadał przy biurku i spisywał to co odczuł, co w duchu stworzył“.

Kiedyś mówiąc o poetach, pani Liza żartobliwie się odzywa: „Nie trzeba im tylko we wszystkim dowierzać i trzymać się dosłownie tego co mówią. Dał mi tego dowód ten nieoceniony Gaszyński. Zygmunt chciał go widzieć a zarazem chciał, aby ten druh

kochany poznał Włochy. Ułatwia mu tę wędrówkę i na dzień umówiony oczekiwaliśmy jego przybycia w małej miejscowości nad brzegiem Lago di Garda położonej.

Niebo było szare, pochmurne. Dzień słotny, brzydki, dżdżysty. Wieczorem choć wiosna, tak zimno, że z lubością przy kominku wciąż się grzejemy. Pan Konstanty odczytuje nam swoje powitanie Italji, ów sławny wiersz „Italia, Italia“, pełny zachwytu nad błękitem nieba, nad złotem słońcem Italji ale ten cały wielki kontrast stąd wynikał, że jak się okazało, wiersz został napisany na parę dni przed powitaniem ziemi wybranej. Tak to czynią poeci. Improwizacje się przygotowują — a czasem piszą ze wzorem w głowie, a nie przed oczami.“

Innym razem pani Liza opowiada o zamiarze postawienia w Ursynowie studni ze statua Matki Boskiej. Pan Michał Trębicki, hr. Stanisław Zamoyski stają do konkursu, zaczynają rysować, zabiera się do tego pani Liza. Rozmowa wchodzi na tory artystyczne, potem wylaniają się zagadnienia inne, jaki jest cel sztuki. Otwiera się dyskusja. Pani Liza zaś szukając piękna chciała nam wskazać, iż jego urzeczywistnieniem na ziemi jest postać Matki Niepokalanej.

W każdą niedzielę znowu gromadziła świat młodociany, grano zwykle w sekretarza; pytania i odpowiedzi odczytywała sama, a jak się znalazła jakaś aluzja do jej zbyt wielkich względów dla pieska fa-

woryta i nieodstępного towarzysza, uśmiech prawie filuterny oświecał jej oblicze. Przewodniczyła wtedy w rozmaitych grach towarzyskich, patrząc z lubością na córkę, której dowcip umiał ją zabawiać i rozweselać.

Córka śpiewała, matka przechadzała się po pokoju. W tem jakiś dźwięk coś widocznie jej przypominał, rozstroił, lży tak długo hamowane potokiem popłynęły.

„Pójdziemy do drugiego pokoju, tam światło nie razi, jest ciemno, a oczy mnie bołą. Napijemy się wody“. A pijąc lkać zaczęła. Przemawia łagodnie, półsłówkami boleści. „Mój syn... mój syn... — jakże ciężko bez niego, jak mi za nim tęskno!... Ale nie trzeba, aby Marylka o mojem chwilowem wzruszeniu się dowiedziała, będziemy rozmawiać jakgdyby nic nie było“.

I drugi raz jeszcze widziałam ten uśmiech boleści, i byłam świadkiem jak mężnie z objęć serdecznego bólu umiała się wydobyć. Wtedy to uwielbienie moje w zachwyt się przeobraziło.

A gdy potem z wyżyn bólu schodziła na ziemię, w myśl syna pragnęła stworzyć w Warszawie ognisko umysłowe i dlatego w zażyłem kółku zaczęto obmyślać plany na żywe obrazy, szarady i t. d.

Były to najprzyjemniejsze chwile wieczorne, gdy myśli umiejętną ręką jej zasiane kielkowały w głowach, rozwijały się i gdy pod jej batutą wspólnymi siły coś się tworzyło.

Dopiero później zrozumiałam jaki to był wielki

organizacyjny talent. Niby na pozór wszystko samo z siebie się wylaniało, lecz ona niewidzialną ręką wszystkim kierowała. Lubiała robotę wspólną, ale do złożenia komedji, jak projektowała, któraby wspólnemi siły została napisaną — w myśl obranego tematu gdzieby rozdano sceny pojedyncze do opracowania, nigdy nie doszło, kandydatów zabrakło.

Przedstawialiśmy w żywym obrazie: „Powrót z Jassyr“, sceny z „Don Kiszota“ i tyle innych.

Potem stanęła świetna myśl ilustrowania żywymi obrazami jednego z arcydzieł literatury. I wybrano z dzieł Juljusza „Jana Bieleckiego“. Pan Ludwik Krasiński w ukryciu suflera odczytywał poemat, a żywe obrazy utożsamiały myśl poety. Obrazów takich było sześć czy osiem. Zostały wyreżyserowane i ułożone przez dwóch artystów malarzy: pana Józefa Brodowskiego i Michała Trębickiego. Pani Liza pragnęła, aby w apartamencie synowej odbywały się większe przyjęcia, a sama niby w ukryciu jako widz patrzyła na owoce swej myśli.

Na przyjazd kochanej siostrzenicy świeżo zaślubionej hr. Stanisławowi Tarnowskiemu, którego witała jako chwałę rodziny, organizują się nowe obrazy; do nich zostaje powołana jako mająca typ Marji Antoniny, pani Stanisławowa — w jednym z nich przedstawia się „Glück“ u Marji Antoniny. I rzeczywiście salon stał się siedliskiem inteligencji; Odynieć tworzy centrum, młodzi: Rembowski, Mściśław Godlewski, Antoni Zaleski, są plejadą otacza-

jącą mistrza, wiernego druha Adama, który jest żywym ogniwem łączącym teraźniejszość z przeszłością.

Żywy dowód nam daje zacnego wpływu pocciwej rady i umiejętności wprowadzenia jej w czyn, a panu Michałowi Trębickiemu podsuwa myśl studjowania akwareli w Anglii, łącząc go listownie z najznakomitszym wówczas akwarelistą w Londynie. Pan Michał Trębicki miał niepośledni talent do rysunku i do rzeźby, później dał nam tego dowody. Pani Liza nie pozwala, aby ten skarb leżał odłogiem, musi pracą być wydobyty, udzielać światła innym.

Warszawa wówczas nie znała życia społecznego. To, co tem mianem nazywano koncentrowało się w Dobroczynności, ale i tam pani Liza szukała pola pracy. To też przez te dwa lata podziwiamy jak umiejętnie się zajmuje, aby niestałe dochody powiększać, a jej sklep w bazarze dla ubogich znowu tchnąć będzie oryginalną jej myślą. Obmyśla w swoim sklepie wystawę historyczno-literacko-etnograficzną. Lalki będą przedstawiały znakomite postacie niewieście z historii literatury i ukażą się jako mieszkanki rozmaitych krajów w narodowych strojach. Więc mamy naszą królową Jadwigę, Elżbietę i angielską Marję Stuart, królowę Szkocji, Marję Antoninę w strojach wiernie wystudjowanych; jest Marja Malczewskiego i Zosia z „Pana Tadeusza“ i wiersze mistrzów określające ich postacie z boku na kartkach napisane. Widzimy francuską markietankę, zimną Szwedkę, ciemną Hiszpankę, nawet jest

i Japonka. To jest cały las lalek usadowionych na postumentach i przedstawiających osoby historyczne, lub wywołane twórczością poetów, — typy różnych narodowości i t. d.

Przez całą jesień fabrykowano im piękne kostjumy pod okiem pani Lizy. Powołano do tego cały zastęp szwaczek. I powoli z pomocą jeszcze przyjaciółek, (pani Marja Przezdziecka sześć lalek stroiła), wyrósł zastęp godny podziwu.

Same postacie niewieście. Oprócz krakowiaków i górali żadnych nie było typów wziętych z rodu męskiego.

Nie pamiętam, która z kreacji poetów — może Ofelja — błyszczała złocistymi włosami. „Ach te włosy — mówiła pani Liza — to historia cała. Piętnastoletnia dziewczynka, szyjąca u nas z zapalem, z żadnej peruki nie była zadowolona i pęk własnych włosów odcięła żeby tej ulubionej lalce okryć głowę. To taka miła dziewczyna i taką pamiątkę cenną zostawiła. Lalka ta nie powinna pójść do banalnych ludzi“. Wspaniały widok tworzyła ta gromada lalek, każda jakąś była inną myślą wcieloną i nietylko oko niemi było ubawione, ale jeszcze rozum i nauka z tego licznego zastępu rozmaitych postaci cieszyć się mogły. Bajeczny na owe czasy fundusz uczyniła ta sklepowa wystawa, licytowano niektóre historyczne postacie, jednym słowem piękny pomysł udał się pod każdym względem doskonale.

W następnym roku do sklepu pani Lizy wszyscy co potrosze rysunek znamy, jesteście do tej roboty

zawezwani i malujemy z jej inicjatywy wachlarze. Po części jest to tylko uwydatnieniem ozdób na japońskich tanich wachlarzykach, lub każdy z nas dodaje, jakiś swojski pomysł. Pani Liza od niechcenia dekoruje je fantastycznymi kwiatami, liljami wodnemi, barwnymi motylami, ale wszystko czego dotknęła nosi jej piętno, coś z oryginalności jej myśli i coś z blasku jej duszy. Plan jest dobry, wachlarzyki cieszą się niezwykle powodzeniem.

Tej zimy, która na tym ziemskim padole, miała być jej ostatnim etapem przed wiecznością, okazywała się więcej niż kiedykolwiek czynną. Odwiedzała przyjaciół, o ubogich nie zapominała, zajęta była ochroną swoją; pannę Janotównę, znakomitą pianistkę gościła u siebie, stąd i piękna muzyka kwitła w salonie, a choć sieroctwo zawsze ciążyło na sercu, zdawało się, iż pokonała te napady bólu, i że po równiejszej ścieżce drodze. Znowu zaczęły się wieczorki nasze wspólne, obmyślanie treści przyszłych światowych zebrań połączonych z umysłową stroną, i znowu z lubością gromadziliśmy się my wszyscy lepsi znajomi przy okrągłym stole.

Pamiętam radość z odebranej depeszy o urodzinach pierwszego dziecka u hr. Stanisławów Tarnowskich. Przyszła na świat córeczka. „Co najlepsze, opowiadała nam pani Liza w parę dni później, iż jak oznajmiłam Adasiowi¹ że mu się żona urodziła,

¹ Wnuk jej Adam, późniejszy ordynat hr. Krasieński, żył krótko, lecz pamięć zostawił dzielnego męża, zajętego oświatą

wielkie okazał zadowolenie i ciągle odtąd dopytuje się o zdrowie i wygląd przyszłej żony“.

Parę razy udało mi się zastać ją na zabawie przedwieczornej z wnukami. Przyznać trzeba, że owa zabawa szła znakomicie. Prześliczna czarnowłosa, majestatyczna babcia, umiała chodzić na czworakach, owijać się szalem i przebierać za jakąś babę z pod kościoła, a wtedy jak mi mówiła, to obcowanie z dziećmi dawało jej prawdziwe zadowolenie.

Druga wnuczka zwana przez nią Zosidelkiem, najdroższą była pieszczotką. Pyta się kiedyś: „Zosidelko, gdzie twoje krzesło?“ — „Krzesło moje to kolanka babuni“ — odpowiada filuternie trzyletnia figlarka wyrывая się do niej.

Bo też jak ta babcia umiała ich zająć, zabawić, jak zajmująco i barwnie opowiadała, mieliśmy dowód w usłyszanych mimochodem rozmowach.

Ale wogóle było cechą pani Lizy i to, że wołała być *suflerem* niż *speakerem* urzędowym.

Większą przyjemnością było dla niej przysłuchiwać się, przypatrywać i batutą ukrytą nadawać ton rozmowie, niż samej głós zabierać. Nigdzie jak u niej tak wymownego milczenia nie zauważyłam; za grzech byłaby uważała kogoś potępić, lub nawet jakimś słowem niebaczne zdyskredytować w opinii, — więc gdy nic nie mówiła, wiadomo było, iż aprobaty dać nie może.

krajową i człowieka uzdolnionego do pióra. Urodził się w 1871, zmarł w 1905 r.

Była jakby z kontrastów złożona, bo nie widziałam nigdy wyglądu bardziej majestatycznego, a zarazem nie wiem czy która kiedy święta mogła posiadać tyle prostoty i pokory. Wygląd był dla oka ludzkiego, pokora dla Boga. Ten mimowolny brak absolutny zaróżumiałości był fenomenalny. Musiał być rezultatem wielkiej wewnętrznej pracy. Tylko dusza kulturalna mogła się cieszyć z ciągłych kłopotów, z małych przeciwności, które czasem z powodu nieprzewidzianych okoliczności zamożnym nawet ludziom się trafiają, dając im okazję odczuć pewien brak komfortu. Ona się z tego wszystkiego cieszyła, „bo to przyjemność — mówiła — poznać się z nieznaną trudnością, znieść choć w małej mierze trochę ubóstwa“. Z jej ust słyszałam wielką prawdę życiową, której ona była jakby wcieleniem. „Nigdy nie należy — mówiła — odpowiadać mężczyźnie, gdy ten jest w gniewie. Tak łatwo się dostroić do gniewu i wyrzec niebaczne słowo, które nigdy nie będzie zapominianem, — przekonywać też nie warto“. „Guarda e Passa“ szła więc za radą poety, przypominając i słowa Lenartowicza: „Burza wieje — przewieje“. Mówiła żartobliwie, że w najlepszej kobiecie siedzi jakiś djabeł ukryty, w najlepszym mężczyźnie kryje się jakieś zwierzątko. Zazwyczaj mówiąc to, używała trybu nieosobowego. Zarzucano jej i wogóle tym paniom, że protegują średnie talenty, kupują obrazy nie pierwszej wartości, roboty kobiece nie w najlepszym smaku. Czyniła to pani Liza z powodu wygórowanej delikatności, nie chciała zacią-

żyć datkiem, a chciała mieć pretekst do usłużności. Zawsze było pełno miernych rysunków, akwareli, poduszek, koszyczków, rozmaitych przedmiotów, z góry przeznaczonych na jakąś wentę lub loteryję dobroczynną. Te wszystkie przedmioty były aktami miłosierdzia. Te panie bowiem ciągle coś obstałowały i tylko dla zadośćuczynienia potrzebie serca, aby pomóc, nie upakarzając.

Ta dobra wola musiała być powszechnie znaną, gdyż do pani Lizy zgłosiła się przyszła fundatorka jednego z największych dzieł miłosierdzia Warszawy — pani Piłsudska. Dzieło schronienia dla paralityków było w myśli tej pani, czuła onego potrzebę, ale sama bez funduszy więcej dać nie mogła krom największego może z darów, swej dobrej woli. Była już dobrowolną siostrą miłosierdzia dwóch paralityków, ale jakże im los zabezpieczyć... dalszych braci w cierpieniu przygarnąć? Na razie trzystu rubli potrzebowała, tylko tyle, aby rocznie wynająć dwa pokoje... Pani Liza szczęśliwą była ofiarować tę drobną sumę. Podłożyła tym sposobem pierwszy kamień węgielny pod Instytucję, która jest chwałą Miłosierdzia Warszawskiego.

Uczucie przyjaźni było u niej jedną z podstaw życiowych. To też najpierwsza śpieszyła do przyjaciół, zwłaszcza gdy usłyszała dzwon alarmowy choroby lub smutku. Jakie wymówki czyniła osobie piszącej te słowa, że jej nie zawiadomiła o troskach i niepokojach, które zaszły na jej drodze życiowej. Pani Lizy pragnieniem było być przyjaciółką dni

nieszczęśliwych. Miała poczucie przyjaźni do najwyższego stopnia. To też korespondentką była doskonałą — uprzedzała listy i żadnego nie zostawiła bez odpowiedzi.

Martwiła się wówczas chorobą pani Delfiny, o której nam wspominała. Pani Delfina zaś pokazywała często owe listy moim rodzicom, mieszkającym w Nizy, tak, że znana nam była potrosze wymiana myśli tych pań. Umiała szanować wolność osobistą, to też wychowawszy córkę, gdy ta była pełnoletnią, sama dbała, aby rozporządzała swojemi dochodami, a bynajmniej na niej nie cięząc umiała ją namówić do służenia doczesną mamoną pięknym czynom, do kształcenia talentów, do dawania na wpisy i stypendja.

Dla służby pełna względów, w domu miała dostatek, ale zbytku nigdy. Kuchnia była zdrowa, ale nie wyszukana. W niedzielę zwykle obiady proszone gromadziły liczniejsze kółko przyjaciół i znajomych.

Gust jej subtelny a głęboki wyjawiał się w sądach o literaturze: przeczuwała już powieść psychologiczną, bo tylko studja charakterów ją zajmowały. W literaturze francuskiej Daudet miał u niej wielkie uznanie, — tylko nad tem bolała, że literatura francuska ówczesna tak jak Daudet w „Fromont Jeune et Risler aine“, wykreśla Boga — ona wierząc gorąco tak rozumiała potrzebę tego wyższego celu, mającego nas wznieść i jednoczyć. Jednej rzeczy pragnęła dla Polski, możności sprowadzenia „Siostrzyczek ubogich“. One — mówiła — potrafią przykła-

dem, miłością swą Bożą, zapalić ją u drugich. Czuła potrzebę zjednoczonych wysiłków, zjednoczonej pracy. Miała wielki dar, była siewczynią dobrych myśli.

Miała też dar łączenia ludzi, a sama była niejako łącznikiem dwóch światów; widzialnego i niewidzialnego.

Czemu tych rozmaitych zdarzeń wówczas mi opowydanych nie spisywałam? Dlaczego tak ufałam swojej pamięci, gorzko to sobie dziś wymawiam! Boć tylko tych opowieści widzę ogólną barwę, światło. Tyle innych później wrażeń musiało tamte świetlane zaćmić — a jedno tylko wyraźniejsze wspomnienie mi się przedstawia. Otóż kiedyś do pani Lizy — jeszcze przed laty w Warszawie — zameldowała się nieznajoma pani, a będąc przyjętą wyłożyła cel wizyty. Bliskiego krewnego miała na Syberji, nie pamiętam czy to był syn czy synowiec. Jedna pani Liza mogła go stamtąd wyciągnąć — przyszła o to prosić, dając wskazówki, dokąd się udać należy. Dziękując pani domu za uczynioną obietnicę zajęcia się tym interesem, odchodząc, na wyraźne żądanie zostawia swój adres. Wysłano tam kogoś na miejsce i przekonano się, że od lat dwóch pani ta nie żyła.

Polecenie jej zostało spełnionem, cel wskazany pani Krasińska osiągnęła.

Ale nie szukano w tem bynajmniej rozgłosu lub jakiegos popisu. Taki lub temu podobny fakt najczęściej bywał przez córkę przypominany. Jedna z tych pań zaczynała opowiadanie, druga kończyła, ale czy-

niono to w kółku wybranych wśród tych, którzy się nie roześmieją, *ale pojmą*. I kiedyś w podobny sposób opowiedziano mi, że Wielki Zygmunt, który zawsze pragnął zetknięcia się ze światem nadziemskim, a miewał przeważnie stany jasnowidzenia umysłowego — tylko raz jeden podobno odczuł realny, namacalny wpływ owego niewidzialnego świata. Rzecz się podobno tak miała¹: Choć powołanie czuł do pióra od najmłodszych lat i doskonale już pisał prozą — nigdy nie mógł, acz bardzo tego pragnął, wyrazić uczuć i myśli wiązaną mową. Pewnego dnia przed modelem sarkofagu matki, który stał w przedsiionku pałacu Krasińskich, zaczął się modlić o najwyższy, jak uważał z darów, o dar poezji, i prosił o orędownictwo u Boga, zmarłą matkę. Ta modlitwa była natężeniem wszystkich władz wewnętrznych — wszystkich ukrytych sił duchowych. Przy niej lzy gorące wylewał, to też gdy skończył i powstał, był tak wyczerpany, że poszedłszy do salonu zasnął na sofce, snem głębokim. Odczuł wtedy, iż go obudził ciepły pocałunek na czole. Matka mu z nim dar poezji przynosiła, musiała mówić, jak matka Orcia:

¹ O tej trudności mówił mi pan Ludwik Wołowski, przytem objaśnił, iż on mu nieraz pomógł do zbudowania dwuwiersza potrzebnego wedle ówczesnej mody jako nagłówka do rozdziału, a gdy Agaj Chan był wtedy na warsztacie Wołowski mówił, że jakoś nagle Krasiński zaczął pisywać wiersze. O tej trudności wspominał i Odyniec, zdaje się, iż o tem nawet w swoich listach do przyjaciół wzmiankuje.

Ja dla ciebie zbieram
Kształtów roje,
O dziecię moje,
Myśli i natchnienia.

¹ Wtedy wstał i pierwszy napisał poezję.

Od tego czasu stał się mistrzem w mowie włazanej. Miało się to dziać w okresie lat prawie pacholecych, między 15-ym a szesnastym rokiem jego życia. Jeszcze mi na myśl przychodzi jedno opowiadanie z tych czasów. Mówiono mi, iż pisząc „Nieboską komedję“, poeta jasnowidz przeczuł, przewidział scenę między hrabią a Pankracym. W dziesięć lat później Mazzini zapraszał go do podziemi rzymskich na tę konferencję, którą wtedy przeżył na jawie, a którą dawniej odtworzył w myśli. Lecz duch nie uległ pokusie. Środki niegodziwe nie wprowadzą go do ziemi obiecanej, do drugiej ojczyzny. Bezprawiem do szczęścia dojść nie można. Rycerz Czynu mógł zawsze mówić: „Szablę kocham, wstyd mi noża“.

Jakże nam było smutno dowiedzieć się, że wyjazd tych pań został przyspieszony. „Brat mój kupił posiadłość, tłumaczyła pani Liza, dla Tarnowskich, Szlak pod Krakowem, — pragnę kilka dni dłużej tam się zatrzymać, obejrzeć, może dać radę co do instalacji, byłabym tak szczęśliwą przyczynić się w tym celu jakimś rysunkiem, jakąś myślą“. I przez trzy ty-

¹ Szczegół o Matce i o sennej wizji słyszałam w salonie hr. Lizy Krasińskiej, opowiadała mi o tem córka Marja hr. Krasińska, późniejsza hr. E. Raczyńska.

godnie wybierają się te panie, a ciągle zachodzą nieprzewidziane przeszkody. Mimowoli wyjazd odkłada się i udaje się nam z tego powodu kilka jeszcze wieczorów raz po razie z nimi spędzić.

Ostatni został mi na zawsze wryty w pamięci. Zastaliśmy panią Lizę rysującą piórkiem. Marylka w chwili przerwy zabiera album, aby nam pokazać, jakie mama sny miewa, które ilustruje. Otóż niedawno jej się śniło, że na pachnącej prześlicznej łące siedzi pod wielkiem rozłożystem drzewem, które zamiast liści miało tylko ptaszki z otwartymi dzióbkami. Mama to rozśpiewane drzewo na moją prośbę narysowała — proszę patrzeć co liść, to ptaszek z otwartym dzióbkiem. Można było pomyśleć, że naprawdę musieli ci pieśniarze społem śpiewać jakąś cudną symfonię, we śnie usłyszaną przez tę wybraną duszę. „Takie są sny mojej mamy, dziwnie młode“. I rzeczywiście przypominając sobie pogodę, uśmiech którym nas obdarzała, to spojrzenie wyrobione cierpieniem i wznoszące się ponad wszystkie małości życiowe, można było przyznać, iż jest uosobieniem szlachetności dającej piętno wiecznej młodości. Ten strój czarny tak pasował, ona się nie stroiła, stosowna odzież była jakby dokończeniem osoby, przy nieco roztwartej szyi biała koronka i sznur pereł od niechcenia związany tworzyły całość harmonijną. Tak się przedstawiał ten żywy obraz, który wyglądał za piękny, za miły, aby gościć na ziemi. I takąmy widzieli tego ostatniego wieczoru spędzonego z nią w Warszawie. Zastaliśmy ją więc owego pa-

miętnego wieczoru przy okrągłym stole rysując. I zaraz dała nam komentarz do czynionej ilustracji, którąśmy skwapliwie oglądali.

„Opowiadano mi — mówiła nam — legendę o pięknej żydówce w Wenecji, która się zakochała w chrześcijaninie, a dobrze pojąwszy zasady naszej wiary, do niej się całem sercem nawróciła.

Nagle, mieszkając jeszcze przy rodzicach, zachorowała śmiertelnie. Ci ją pochowali na cmentarzu żydowskim. Duch jej nie mógł znieść tego kłamstwa po śmierci. Pokazywała się na obu cmentarzach, wołając, że ciało chrześcijańskie nie może odpoczywać wśród zwłok żydowskich. Ciągłem nawoływaniem odniosła pożądany skutek. Została pochowana wśród chrześcijan“.

Do tej legendy było kilka szkiców.

Główka osobno narysowana, i później scena widma ukazującego się wśród mogił z napisem pod spodem: „Ciało chrześcijańskie nie może przebywać wśród zwłok żydowskich“.

Rozstaliśmy się późno wieczorem, z zapewnieniem, że nam te drogie panie wrócą i to wczesną jesienią.

Już więcej nie mieliśmy jej widzieć.

Dobrze mówiła, że każde wybranie się w podróż, każde rozstanie, wywołuje pamięć ostatecznego rozstania — śmierci.

I uważała, że przed każdą podróżą — notatki zestawione, rozporządzenia wydane — to są próbne testamenty. Tym razem acz nie domyślaliśmy się

tego, rozstanie miało być na zawsze, już do nas za życia wrócić nie miała.

Wyjechały te panie nocą w zdradliwym maju. Było się nieco przyzwyczajonym do ciepła, a tu na razie owej pamiętnej wyjazdowej nocy, nagle zimno się zrobiło. Już przyjechawszy do Krakowa czuła się pani Liza trochę zaziębioną, ale wydawało się jej, iż zdrowie musi być posłusznem jej woli; przywykła je lekceważyć, a tyle rzeczy ją zajmowało, tak chciała coś narysować dla nowej siedziby siostrzeńców. Chciała widzieć jak się przedstawia, i jak wyglądać powinna. Usiadła na darni, żeby się przypatrywać, rysować na swobodzie. Wilgoć ją przejęła. Wróciwszy do domu siostry,¹ położyła się do łóżka, aby więcej zeń nie wstać. Opowiadano mi, że zaraz niebezpieczeństwo swego stanu odczuła. Miała się wyrazić, iż dąb, który przetrwał wśród najsilniejszych burz, gdy zostanie ugodzony, przepadnie odrazu bezpowrotnie.

Doktór homeopata, któremu ufała z Paryża sprowadzony, przyjechał, niestety zapóźno. Zapalenie płuc, połączone z influencją cios śmiertelny zadało temu żywotnemu organizmowi.

Pocieszała córkę, męża, łączyła ich dłonie, żeby przez pamięć na nią razem przebywali. Połączona z Bogiem miała cudownie wyglądać, tak na stronę zewnętrzną oddziaływała strona wewnętrzna. Zda-

¹ Do siedziby hr. Katarzyny z Branickich Potockiej, dom zwany pod Baranami.

wało się obecnym, iż widzi synów, że po nią przychodzą, uśmiechała się, wyciągała do nich ręce, mówiąc: „Już przyszli, przyszli mnie zabrać!“ W chwilę potem piękna dusza z powłoką cielesną się rozstała.

Po królewsku umiała być hojną, umiała urazy darowywać.

KONSTANCJA Z LACHMANÓW HR. ROGEROWA RACZYŃSKA

(Portret kulturalnej Polki z XIX wieku).

Po klęsce z 1832 smutek i zniechęcenie zapanały w całej Polsce.

*Polsko, Polsko nie masz, nie masz szczęścia Tobie,
Wszystko się zmieniło a twe dzieci w grobie.*

Taki był ton pieśni, w każdym rozbrzmiewającej sercu, powtarzanej przez wszystkie usta.

Zasłona kiru rozpostarła się nad społeczeństwem.

Podania rodzinne malujące epokę, dodały nieco ciekawych szczegółów, dotyczących uroczej niewiasty, której sylwetkę zamierzam skreślić.

Pod koniec 1832 córka sławnego podróżnika Jana Potockiego hr. Badeniowa, o której mówiono, iż własnym sumptem pułk dla powstania listopadowego uzbroidła, przybyła do Warszawy, chcąc odwiedzić wziętego do niewoli rosyjskiej krewnego, w szpitalu, marząc przytem o jego uwolnieniu.

Powiedziano jej, że wyjednywanie czegośkolwiek u władz rosyjskich stało się rzeczą arcytrudną. Bunt

Polski wywołał straszliwe represje. Panią Badeniową poinformowano, że powinna się udać do generała Lachmana, rodem z Kurlandji, którego nazywano „spolszczonym“, gdyż żonaty był z Polką, katoliczką, wnuczką Kościuszki, miał z nią dwie małe córeczki i dom prowadził „po polsku“.

Córka Jana Potockiego, wedle tych wskazówek, udała się do generała:

Tradycja nie mówiła, czy była separatką, czy wówczas już wdową.

Opowiadano, iż nie będąc piękną, miała dziwnie olśniewające oczy, malujące naprzemian intensywność woli i niepohamowaną fantazję. We wzroku widniała siła ducha, objawiał się umysł niepośledni, zrodzony z żywej inteligencji. Romantyczka czynem, potrafiła otrzymać od generała wiele więcej niż początkowo oczekiwała: nietylko swobodę dla krewnego, ale i dla rozmaitych innych zgębionych rodaków. Wdzięczność jej nie miała granic. Zapraszała generała do siebie, sama często zaglądała do jego biura. Zaczęto się widywać codziennie. Generał był niezwykle przystojny, miał obycie światowe, doskonale władał francuskim językiem. Można mu było darować, że pochodził ze szlachty niemieckiej osiadłej w Kurlandji, nawet że był na służbie rosyjskiej, skoro umiał być tak względny dla Polaków i jej samej taką wyświadczył przysługę.

Bożek Amor — zawsze na czatach — nie próżnował. Strzały Kupidynka były trafnie wymierzone, nawskróś przeniknęły serc dwoje. Wszystko się

więc złożyło ku uciesze figlarza. Znalazły się nareszcie te dwie połówki jabłuszka, co wedle Koranu, rozdzielone, znaleźć się muszą, dla utworzenia prawdziwej całości. Został więc postanowiony rozwód generała z urodziwą żoną Eleonorą Paszkowską. Pod koniec 1833 pani Badeniowa została generałową Lachman. Generał z nową małżonką opuścił Warszawę. Przemawiała miłość, chcieli być na ustroniu, zamieszkali na kresach, na pograniczu Besarabji, aby zdala od ludzi nacieszyć się sobą.

W jesieni roku 1834 przyszła na świat córeczka. Dano jej imię Konstancja. Czyżby imię to było wybrane, jako zapowiedź nigdy nie gasnącej miłości?

Oddaleni od świata w swem ustroniu, zmuszeni byli gdy dziecię zachorowało, sprowadzić popa, który ochrzcił córeczkę, ponieważ nie było tam kapłanów innego wyznania. Wkrótce potem generałostwo przenieśli się do Odesy. Generałowa nadzwyczaj zdolna zajmowała się nauką języków wschodnich. Żadna wiedzy, miała ową „improductivité slave“ objawiające się tem, że zdolności choć wyzyskane, żadnego pożytku nie przynoszą, krom satysfakcji dla ich posiadacza.

Wkrótce potem, w roku 1840 generał życie zakończył. Był właśnie w odwiedzinach u starszych córeczek w majątku pod Berdyczewem, który im kupił, gdy go nagle śmierć zaskoczyła. Przed zgonem wyraził starszej jedenastoletniej córce Laurze, życzenie, aby po wyjściu za mąż zabrała do siebie naj-

młodsza siostrzyczkę, oddaną już do instytutu wychowawczego w Odesie.

Młodociana Laura złożyła mu na to uroczyste przyrzeczenie.

Pani Teresa Lachmanowa pozbawiona była zmysłu pedagogicznego, odziedziczywszy po ojcu tylko niepoślednie zdolności do nauki. To też skoro starsza córka generała Lachmana wyszła za mąż za Krezusa Ukraińskiego, pana Leona Swieykowskiego, za zgodą matki dziewczynki, odebrała Kostusie z zakładu wychowawczego, zajmując się sama jej wychowaniem.

Miała pasierbicę w równym prawie wieku, nauka więc szła rażno i przyjemnie. Trzeba było najprzód myśleć o wydarciu polskiej duszy prawosławiu. Siostry Kostusi fanatycznie były przywiązane do Kościoła katolickiego, który szczególnie na kresach przedstawiał „Polskość“ i z tego powodu podlegał prześladowaniu.

W piwnicy, przy odpowiedniej straży czuwających ludzi dobrej woli odbył się katolicki chrzest dziewczynki. Matka moja opowiadała, iż była to chwila pełna niezwyklej uroczystej powagi i najgłębszego mistycyzmu. Porównywując to prześladowanie rządu do teroru względem chrześcijan, stosowanego przez cesarzy rzymskich, odtwarzano w myśli scenę z katakumb. Przybyły kapłan wiedział, że odkrycie, dopełnionego przezeń aktu, groziło mu dożywotnim Sybirem. Uczestnicy obrządku czuli cały ogrom ciężającej na nich odpowiedzialności. Nastrój

uroczysty, pełen przemilczanej grozy, wyrył na całe życie piętno na młodocianej neoficie.

W parę lat później państwo Swieykowscy dostali nareszcie upragniony paszport, na wyjazd zagranicę. Nikt teraz nie pamięta i nie wyobraża sobie, jak trudną rzeczą było otrzymanie paszportu za rządów Mikołaja, car bowiem nie chciał dopuścić powiewu swobody z Zachodu i dla tego, wydostanie się z państwa rządzonego knutem było arcytrudnem przedsięwzięciem, pociągającym za sobą znaczne koszty, trzeba bowiem było płacić haracz niższym i wyższym urzędnikom, aby otrzymać możliwość wyjazdu.

Państwo Swieykowscy z rodziną zatrzymali się najprzód w Warszawie.

Pani Augustowej Potockiej podobała się córka jej stryjecznej siostry, złotowłosa dziewczeczka, o wzroku intensywnym i czarującym uśmiechu. Pani Augustowa Potocka, znana w całej Polsce filantropka i pierwsza w kraju działaczka na polu społecznym, chciała zająć się losem młodej siostrzeniczki, jej wychowaniem, całą jej przyszłością, lecz tej propozycji Kostusia nie przyjęła, zanedbato bowiem była przywiązaną do siostry, by móc się z nią rozstać. W cieplej atmosferze życia rodzinnego rozwijały się narówni rozum i serce młodej dziewczyny. Jej poetyczna dusza, wszystko kochając, upatrywała wszędzie piękno. Kłamać nietylko nigdy nie umiała, ale nawet nie była w stanie przyswoić sobie konwencjonalnych, szablonowych frazesów, przyjętych przez kodeks światowy, a niezgodnych z jej

myślą. U niej bowiem myśl zawsze samodzielna, była prowodyrem słowa i czynu.

W Paryżu szesnastoletnie dziewczątka poznaje się z przyrodnim bratem swej matki, a młodszym o jakie lat dwadzieścia od pani Teresy.

Podbija on odrazu jej umysł, serce, duszę, staje się dla niej absolutem, urzeczywistnieniem wymarzonej doskonałości. Temu ideałowi najzupełniej odpowiadał pan Roger Raczyński. Typ nieskończenie jasny, otwarty, ogarniający całą syntezę życia, wróg każdego szablonu i banalności.

Dochodzić chciał do wszystkiego własnem doświadczeniem: eksperymenta czyni w każdej dziedzinie, nawet w gospodarstwie. Gdy raz wszystkie pola obrócił na plantacje chmielu, wyszło mu to na dobre, drugi raz zapłacił frycowe, ale zawsze i wszędzie rozwijał inicjatywę.

Dla ludzi względny, pobłażliwy, serdeczność pokrywał wesołością, figlarnym uśmiechem. Przedewszystkiem był dobry. Jeżeli Opatrzność dała mu dostatki to używał ich na zaspakajanie potrzeb bliźnich, przedewszystkiem zaś okazywał pomoc rodakom. Filozofję uważał za królowę nauk, pochłaniała go zupełnie, a z przedstawicielem tej gałęzi nauki w Polsce, z Augustem Cieszkowskim przebywał często i łączyły go z nim najprzyjaźniejsze stosunki. Niezwykłej miary Helenista, znawcą był literatury polskiej, przyjaźnił się z jej koryfeuszami, wielbił jednak szczególnie utwory Słowackiego. Był jednym z niewielu, którzy z wielkim poetą zadzierzgnęli wę-

zły ściślejszego przywiązania, to też zgon jego odczuł boleśnie. Łatwy, przystępny, wymowny, lubił zasilać rozmowę paradoksami, wywoływać dyskusje. Nie można mu było wspomnieć o nieszczęściu ludzkim, o ciężkiem położeniu czyjemś, boby go zaraz oczy rozboleły. „Słońce, nawet światło lamp szkodziło żrenicom, lzy wyciskając“, tak się zwykł tłumaczyć z chwilowego wzruszenia.

Ta niezwykła wymowa, swada, wzrok ducha przenikliwy, cała jego postać zwracała uwagę. Czaszka jego była dziwnej objętości:

Z pod wysokiego, dobrze umodelowanego czoła wysuwała się twarz mała, o drobnych rysach. Oczy małe niebieskie niby śruby przewiercały do głębi wszystko, na co rzuciły spojrzenie.

Nie dziw, że ten człowiek podbił serce szesnastoletniej dziewczeczki.

Do chorej matki, przebywającej w Prowancji, dla której kupił tam dobra, zawiózł swą siostrzeniczkę. Tam Konstancja po raz pierwszy zetknęła się ze śmiercią, babka jej bowiem przeniosła się do wieczności, a nieszczęście to i boleść ukochanego wuja na dziewczęciu wycisnęły piętno dojrzałości.

Pani Swieykowska, opiekunka Kostusi, zamieszkiwała w Paryżu. Pan Roger udzielał swej siostrzenicy, młodziej o lat piętnaście, lekcji polskiego i literatury.

On sam był od lat kilku wdowcem, zaś trzyletni jego synek chował się przy starannie wybranej opie-

kunce w rodzinnej siedzibie Raczyńskich w Rogalinie pod Poznaniem.

Pan Roger siostrzenicy swojej w ognistej wymowie ukazywał posłannictwo Polski, objawiające się w literaturze, ona przeistaczała się słuchając dźwięku jego głosu.

Nietylko była olśniona jego wymową, ale myśl jej pobudzał on do pracy wewnętrznej. Żyjąc w królestwie ducha traciła wszelką chęć do życia światowego. Pokochała tak ojczysty język, że małemu siostrzeńcowi, wychowującemu się w atmosferze nie swojskiej, dawała z lubością lekcje polskiego języka, uczyła kochać Ojczyznę i wszystko co z nią styczność miało.

Pan Roger, jak słońce olśnił ją, oświecił, opromieniając jej horyzont życiowy. W ileż to lat później mówiła z przejęciem: „Pokochałam go za pierwszym wejściem całą siłą ducha“.

Ale nadmiar uczucia potrzebuje ujścia, — poezja stała się dla niej tem upragnionem ujściem, oazą gdzie chroniła się jej myśl żadna czynu. Serce potrzebuje objawiać się w słowie. Wiersze jej są melodją duszy. Oddają jej uczucia — więc miłość dla wybranego, miłość dla swego plemienia i nadzieję, że Ojczyzna zmartwychwstanie.

Młocienne lata p. Konstancji Lachman upływały w pracy nad sobą — studjowała gruntownie historję i literaturę — oraz nad siostrzeńcami, których kształciła w ojczystym języku; praca ta ulegała kilkutymgodniowej przerwie co roku, wyjeżdżała bowiem

na Podole dla odwiedzania matki przebywającej w Kamieńcu. Rozkoszowała się wówczas widokiem stepów, budzących w niej wspomnienia dawnych walk, wywołujących postacie księdza Marka i Wernyhory. Wracała stamtąd pełna otuchy i nadziei, że nad złotem Podolem o herbie słonecznym, zaświeci słońce wolności, gdy się z wolną Polską na nowo skojarzy.

Marzenia te dotąd jeszcze niespełnione.

W Paryżu, mieszkając u siostry, coraz się więcej odosabniała.

Niedziele pani Swieykowskiej ściągaly wiele osób. Uprawiano tam dobrą muzykę. Sama uroczą gospodyni z przyjaciółmi Szopena, ze skrzypkiem Allard'em i wiolonczelistą Franchomme'em wykonywała klasyczne utwory Mozarta, Bacha i kompozytorów współczesnych. Schodzili się tam amatorowie muzyki, nie brakło również przedstawicieli świata myśli i pióra. Przebywał tam często margrabia de Noailles, który dzięki swej przyjaźni dla domu Swieykowskich, nauczwszy się po polsku, wydał w języku francuskim dzieło o poezji polskiej. Panny Konstancji brakowało w gwarnych salonach siostry, chroniła się do swego pokoju, pracowała z wujem, odrabiała lekcje z dorastającymi siostrzeńcami, lub też w samotności skupione myśli przelewała na papier. Nietylko zaś odzywała się wiążaną mową, prozą wyrażała prawdę odczutą, którą pojęła jakby drogą doświadczenia wyjawiając z całą szczerością stany swego ducha.

Zbiorek jej myśli ze czcią przechowywany wraz z większą częścią poezji został stracony wśród zawieruchy wojennej, przytoczę tu urywki, które zdolalam zapamiętać:

„Bóg dając nam wolność i pole do zyskania zasług, chce z nas niejako uczynić współtwórców naszego przyszłego szczęścia.

Nikt się dość nie zastanawia nad siłą dobrej woli. Z takim możliwym czynnikiem dałoby się tyle zdziałać. Wszystkie przeszkody zwyciężyć potrafi. Do niczego nie dojdziemy bez koncentracji. Pierwszym do niej podkładem jest sumienne skupienie wszystkich władz rozumu i serca. Tylko skupiwszy się można coś osiągnąć. Świat jest giełdą, każdy musi mieć jakąś wartość do wymiany. Musi posiadać akcje umysłowe, talentu, wartości moralne, inaczej niema tam dla niego wstępu“.

Rok 1861 był rokiem rozbudzenia polskich dążeń patriotycznych. Panna Konstancja nie tylko pojmowała położenie w kraju, ale rozumiała ducha ofiarności, który stamtąd wionął. Dlatego pisze do siostry swej pani Lizy Przezdzieckiej, iż nadeszła pora zwycięstwa dla naszej Ojczyzny. „Zwycięża ona na sposób pierwszych chrześcijan — martyrologją. Lud modli się, gdy oprawcy w Warszawie strzelają. Ten posiew krwi, te dobrowolne ofiary życia, to okup dla zdobycia wolnej, niepodległej Ojczyzny“.

Dwunasty już rok dobiegał przyjaznej zażyłości z Rogerem, uczucia Konstancji coraz się bardziej krystalizowały, widziała w nim bowiem ideał,

wszelką doskonałość realizujący, on zaś na krok stanowczy się nie zdobywał. Podobno nie był pewny czy ona potrafi synowi matkę zastąpić? Utwierdziwszy się w przekonaniu, iż płonnemi były jego obawy zapragnął i on złączyć się z nią związkiem małżeńskim. Dla uniknięcia formalności ślub odbył się w Berlinie.

Pani Laura Swieykowska zawiozła tam swoją siostrę, po ślubie zaś państwo Raczynscy zamieszkali w rodzinnej siedzibie w Rogalinie.

Z owej to daty zapewne pochodzi wiersz zaczynający się od słów:

Rozkochała — rozczuliła
Złote włosy rozrzuciła
na tumany jego życia.

Panna Konstancja wychodząc za mąż miała lat już dwadzieścia osiem, nie będąc zaś piękną, rozsiewała wokół siebie niebywały urok. Włosy niby tkanina srebrno-złota okalały bujnemi sploty owalnie białej twarzy ożywionej rumieńcem. Oczy niewielkie ciemno szafirowe miały spojrzenia tak intensywne, iż zdawało się, że było ono działalnością myśli; nos foremny zaokrąglony chyba dla świadczenia, że właścicielka jego kantów w charakterze nie ma; wargi mocno czerwone, choć nieco za grube wskazywały wedle zasad fizjognomistyki skłonność do uczuć hojnych i wspaniałomyślnych, ukazywały przytem dwa rzędy drobnych, białych zębów, które często dawały się widzieć przy skłonności do śmiechu ich

posiadaczki, wesołość bowiem była jej cechą i z łatwością przy każdej sposobności umiała podchwycić ukrywający się komizm danej sytuacji, by się nim nacieszyć. Mawiała zwykle, że po kilku godzinach intensywnej pracy, należy coś zabawnego przeczytać, by się tem nacieszyć do woli, gdyż śmiech to lek skuteczny dla duszy i ciała.

W Rogalinie, w tej siedzibie pełnej wspomnień, mówiącej jeszcze o świetnych czasach Rzeczypospolitej, posiadającej ogród francuski o architektonicznej strukturze, o szpalerach, żywopłotach, cieni-tych alejach, drzewach sterczących, jak ozdobne postumenty i piramidy pośród których wyglądają statue bożków greckich, pani Konstancja roztaczała wszędzie swoją działalność, zdobywając serca wszystkich w domu, poza domem i przywiązując do siebie pasierba.

W 1863 zabrzmiała trąbka bojowa, wzywająca ochotników z całej Polski do walki z wrogiem niepodległości, dla zdobycia niepodległości własnej.

Właściciele Rogalina zajęli się gorąco powstaniem. Pani Konstancja werbowała sama ochotników, zaopatrując ich we wszystko, rozdawała im również medaliki, jako amulety; nie szczędzono grosza na ekwipowanie powstańców, rozciągano przytem opiekę nad ich rodzinami.

Cała ta zima przeszła na gorączkowej pracy, wysyłano posłańców po wieści, oczekiwano interwencji zbawiennej obcych mocarstw. Rząd pruski z początku obojętny, będąc służalcem caratu, zaczął

aresztować ochotników, wybierających się do powstania a prześladować tych, co powstaniu sprzyjali. Na liście skazanych na więzienie było nazwisko Rogera Raczyńskiego, że zaś syn jego, szesnastoletni Edward, miał zamiar powiększyć szeregi powstańców, ojciec zabrał go ze sobą do Paryża, dokąd udało mu się w porę wyjechać. Pani Rogerowa, która w owej niebezpiecznej epoce okazała niebywały hart ducha, przezorność i energję, pozostała w Rogalinie dla pilnowania dobytku i utrzymania kontaktu pomiędzy mężem a krajem. Przyjechała do niej siostra, pani Liza Przeddziecka z dwiema córeczkami. Pani Konstancja lubiła dzieci, umiała wskazywać co piękne i co godnem było uznania.

Nasza nauczycielka francuska drwiąco zapatrywała się na pobożność ludu, pani Raczyńska zdołała ją przekonać, jakie to skarby piękna zawarte są w owej żywej wierze, objawiającej się wejrzeniem, wołaniem, śpiewem pochodzącym z duszy, gdzie z każdym słowem serce jest zespolone. Umiała oceniać piosenki ludowe, najprostsza z nich wprawiała ją w zachwyt, bo widziała ukryty wdzięk w prostocie: a prostota zali nie prowadzi do radości? Zawsze jakaś głębsza myśl była wynikiem rozmowy z nią. Kochała lud, uczucia jej przez prostaczków były odgadywane i odpłacane szczerą wzajemnością.

Ciche życie prowadziło się wówczas w Rogalinie, tylko nocne wizyty żandarmerji pruskiej przerywały spokój, darząc wszystkich niemiłym wrażeniem. Budzono nas dla zrobienia szczegółowej rewizji.

Żandarmi zaglądali do piwnic, spiżarni, i wszystkich zakamarków, szukając pana Rogera lub kompromitujących papierów; przez cały czas rewizji podwórze i ogród otoczone były siłą zbrojną dla uniemożliwienia ucieczki.

Pani Konstancja opuściła Rogalin, by udać się do męża, do Paryża. Zimą spędzono we Florencji, dokąd przybyli dla spotkania się z Raczyńskimi i państwo Przezdzieccy z córeczkami, zbliżono się tam szczególnie do Lenartowicza.

Pan Roger znakomity helenista z synem i z młodym profesorem tegoż p. Stefanem Pawlickim (późniejszym Ojcem Zmartwychwstańcem), zwykł był rozmawiać po grecku lub po łacinie, czasami dla rozrywki zajmował się kucharstwem, wymyślając sosy, według zdania żony „sosy filozoficzne”. Pojechał do Paryża dla skończenia rozpoczętego dzieła filozoficznego, nie wiedząc, że tam kres jego życia miał nastąpić. Grom to był straszny dla przybyłej za późno żony z synem. Piętno boleści nie zeszło nigdy z duszy pani Konstancji.

Niczego nie chciała, nie pragnęła niczego krom rozstania się z życiem. Miała jednak cel zajęcia się pasierbem, — spełnienia woli męża. Żyjąc, zadość czyniła jego życzeniu, zdrowie tylko coraz bardziej u niej szwankowało, podkopało je nieszczęście. Żaloba była w sercu, w duszy, w całym jestestwie. Uczuć przyjaźni się jednak nie wyrzekała, żywiła serdeczną pamięć dla Lenartowicza i do niego związaną mową się odzywała.

Podajemy tu urywek listu:

Mając już odejść ku niebieskiej stronie.
Na pożegnanie oto ku wam dzwonię,
Ku wam, bo śpiew wasz tę ziemię umiła.
Na pożegnanie piosnka się uchyla.

Tak letnie ptaszę z miłego mu domu,
Gdy ma odlecieć — nie mówi nikomu,
Na pożegnanie serce ku wam bije,
Bo mię już wkrótce ta piosnka zabije.

Piosnka w mych piersiach na płacz załamana,
Ta moja piosnka niewypowiedziana,
Co ludziom znojnym nie daje pociechy,
I której polskie nie powtórzą strzechy.

Nie tak, jak wasza, co wstęgą strumieni,
Bieży z łąk naszych w szum lasów się mieni,
Z ust się dzieciątek, pastuszków odzywa,
Dość, że w niej cała ziemia nasza śpiewa.

Lekka jak loty pięknego motyla,
Co się w niebieskim tumanie gdzieś chyla,
Zanim wyleci ponad ciszę leśną
Choć dusza także z was patrzy bolesno.

Lecz pieśń nikomu ta świata nie zmroczy,
Tylko lzy czyste z pod serca utoczy,
Niby od święta krasawica strojna,
W kościele śpiewa Bogu bogobojna.

Pieśń moja ciemna zamglonego lica,
Smutna, jak zawiej, mglista, jak śnieżycą,
Bóg mój jest ciemnym, Bóg sierot żalonych,
A nie łąk kwietnych i dziatek radosnych.

Gdy róża z bladych ma liści wystrzelić,
I drzewa wszystkie gdy ma wdzięki wcielić.
Przeszkody znosi za to z Boga dane,
By róże miały kwiaty malowane.

I aby zorzom równe były z lica,
I każda blaski krwią serca nasycza?
I róże kwitną w własnej krwi skąpane,
Bóg mię dręczeniem losu budzić raczy!

Sniącą w zawiązkach, różą, lub maliną,
Płomykiem gwiazdki kwitnącej naznaczył,
I rzekł niech będzie z tych gwiazd które giną.
Której zginienie na szczęście przeznaczył.

Bóg jako różom stawia im przeszkody,
By do piękności, do tej myśli Bożej
Blask rozwinęły w płaczu swej urody.

Poetka się dłużej zastanawia nad chwilą cierpie-
nia, a potem myślą zwrócona do męża o nim wspo-
mina i zapatrzona w przeszłość dalek mówi...

Czasem dwom duszom Bóg stwarza myśl jedną,
Na jedną piękność Bóg nas stworzył dwoje

W jej odsyłaczu czytamy:

„Göthe najpierwej poznał prawdę, że w każdej
roślinie, gdy ma się ku kwitnieniu, powstaje na miej-
scu, gdzie się kwiaty mają zawiązać, szereg prze-
szkód, uciśnień do zwalczania. Na ich złamanie musi
każda roślinka przejść przez koleje walk żywotnych,
kwiat jest zatem blaskiem, pięknością widomą i uja-
wnieniem *takiego zwycięstwa*. Ujawnieniem zwycię-
stwa, po tym dramacie w tych tak namiętnych, choć
nieraz nieznaczących postępach. Dlatego zapewne
kwiat każdy tak szlachetnie wygląda“. (Przypisek
autora wiersza).

Kwiaty mdlejące cućcie oczy moje,
Niech się raz jeszcze ku niemu rozwidnią,
A wy modlitwą za nami też lećcie.
A w locie naszym, kwiatami nam świećcie.
Kwiatem, co świeży wam rośnie pod ręką,
Gdy się z tą waszą puściecie lirenką,
Których się kwiatów tak cudnie mnoży,
Gdy się wam ręka na strunach położy
Bo w kwiatach iście przebiera niedbale.
A kwiaty w śpiewnym k'wam lecą chorale,
Coś nakształt marzeń tych o złotym świetle,
Gdzie się jasności na dźwięki zmieniają,
Niby malują a niby śpiewają.
Ale wy sami o tem lepiej wiecie.
Że są tam smutki, jasne przezroczyście,
Że lzy są świeże, jak krynice czyste!

Przeczuła pani Konstancja odkrycie naukowe,
wskazujące, że barwy zamienić można na odpowie-
dnie dźwięki, a dźwięki tak samo na barwy.

Pani Konstancja miała dziwną intuicję. Nauka
jak widzimy ustaliła, jako niezbity fakt, że wszyscy
promienieujemy, jedni mniej, drudzy więcej. Ona zaś
nad głowami kilku dobrze jej znajomych osób wi-
działa aureolę, zdając sobie sprawę, że promiennosc
wśród ludzi może być większą lub mniejszą, wogóle
w zależności od stopnia ich uduchowienia.

W tym wierszu, który wypadkiem się przecho-
wał, znajduje się jakby synteza duszy tej co pisała.
Przyznaje, że ból, który się pieśnią wyraża, ją za-
bija. „Bo mnie już wkrótce ta piosenka zabije“.

Do duszy jej przemawia Lenartowicz, „bo wszę-
dzie kwiaty piękne na niwach polskich zbiera“ —

więc poetka mówi, że w jego pieśni to cała ziemia śpiewa. — A potem zdaje sobie sprawę z potrzeby nieszczęść. Kwiat jest piękny przez ujawnienie zwycięstwa. Z tego powodu rozumie potrzebę ciężkich przejść; one są podstawą tryumfu, radości. I dlatego nawet rozdźwięk nastąpił tych dusz, którym Pan Bóg dał myśl jedną... na jedną piękność. Bóg ich stworzył dwoje, że Bóg, go zabrał nie narzeka, choć do głębi boleje. Rozumie, że po wielkim bólu, po wstrząśnieniu całego jestestwa nastaje stan pogębienia i dlatego tak trafnie go opisuje. „Gdy myśl zwątlona nie myśli o niczem, chętnie się pięknym naciesza obliczem, bo niby cała we wzroku osiada. I tylko wzrokiem świat z piękności bada“. A rzewność wytryska w chwili rozstania, już ze łzą nie walczy, leży to w prawdzie „iż ptaszek płacze w chwili pożegnania“. W parę lat rozmyślając nad swoim nieszczęściem pisała: „Nasze szczęście zależy od podobieństwa naszego do Boga. Gdyśmy to podobieństwo utracili, aby je nam oddać, Bóg zsyła cierpienia. Cierpienie zaś jest poniekąd modlitwą. Ono jest wołaniem do Boga. Udoskonalając naszą duszę, ono nas do Niego zbliża“. Ta rezygnacja była zrozumieniem celów Bożych. Organizm tylko fizyczny został moralnem cierpieniem zużyty.

Zimę w 1868 z siostrami spędziła w Rzymie, gdzie celem jej przybycia było pielegnowanie pasierba rannego, jako wolontariusza w żuawach papieskich w bitwie pod Mentaną, stoczonej z wojskiem Garibaldi'ego. Cieszyła się z powtórnego ślubu

siostry, pani Swieykowskiej, zawartego w wiecznem mieście z margrabią Emanuele de Noailles¹, którego nadzwyczaj cenila. Człowiek — mawiała — zdolny jak on do kochania kobiety przez piętnaście lat z zadziwiającą stałością, ogniem pełnym młodości i do przekształcenia się za wpływem ubóstwianej istoty ze światowca na historyka, powinien być czczony przez całą pleć niewieścią, a jego szczątki kiedyś mogłyby się dla niej stać relikwiami. Jego jednak rozum ścisły, logiczny, pozbawiony wyobraźni nie przemawiał do jej umysłu, umiającego się zagłębić a posiadającego siłę imaginacji, nadającej właściwy koloryt każdej myśli. Ona słynęła z dowcipu, umiała dawać przezwiska trafne i zabawne, widzieć często śmieszną stronę w zdarzeniach życiowych, a przytem rzewne struny potrafiły wszystko odczuć i wyrozumieć. Zastanowienie dało jej pobłażliwość, kochała ludzi, mając wyrozumienie dla ich słabości. Skromna i pełna prostoty, czuła odrazę do wszelkiej prozopopei lub użycia słów napuszonych. Nazywała się symplicjuską, stroniącą od ludzi udrapowanych w togi wielkości przy uroczystym wyglądzie.

Bóg ją dziwną obdarzył zdolnością intuicji i telepatji. Matkę jej w Kamieńcu zabili żydzi, którzy jako robotnicy odnawiali mieszkanie. Korzystając, iż służące przy Niedzieli Palmowej były w kościele, i że

¹ Margrabia de Noailles, autor rozprawy *la Poesie en Pologne* i trzytomowego dzieła „*Henri de Valois et la Pologne en 1572*“, uwieńczonego przez Akademię Francuską.

prócz nich nikogo nie było w domu, zakneblowali jej usta, aby krzykiem nie zwołała sąsiadów, zamordowali nieszczęśliwą ofiarę i uciekli ze skrzyniami pełnymi drogocennych sreber. Straszny ten obraz widziała przez sen jej córka, zanim się jeszcze zdarzył ten krwawy dramat. Opowiadała o tem, jak o senniej zmorze, nie przywiązując do tego znaczenia.

Będąc jeszcze bardzo młodą, bawiąc na wakacjach u pani Teresy Lachman w roku 1855, widziała najwyraźniej na szybach okien, jakby wymalowane wizerunki w całej postaci Turków, o których jej matka mówiła, że to są jej przyjaciele Turcy, zabici na wojnie krymskiej, którzy przyszli się z nią pożegnać.

Odwiedzała ją raz jakaś postać tajemnicza, widziana przez służącą i która znikła nie otworzywszy drzwi.

Ten szósty zmysł bynajmniej nie wpływał na wyodrębnienie jej z życia potocznego. Lubiła dzieci i przedstawiała z niemi. Cieszyła się z ich koncepcików upatrując zawsze jakieś pole do rozwijania w ich umysłowości. W 1872 przebywała jakiś czas u pp. de Noailles. Siostrę tę ogromnie kochała. Pobyt u niej wpłynął na pewne ożywienie. Zaczęła na nowo czytać, śledzić wypadki polityczne zwracając jej umysł do tej lubej wizji królującej nad wszystkim, że przepowiednie Wernyhory i księdza Marka się sprawdzą... i umarła Ojczyzna na nowo ożyje. I wiersze były pisane zawsze w tym nastroju cichym i miłującym, który jej nie opuszczał.

Przejeżdżając przez Wrocław, w roku 1874 zachorowała na tyfus, po którym wielce osłabiona przez dłuższy czas przeleżała w Rogalinie (w 1874). Wuj jej hr. Bernard Potocki zawiózł ją do sanatorium w Berlinie dla wzmocnienia organizmu. Jej siostra przyjechawszy ze Stanów Zjednoczonych dokąd jej małżonek jeździł, jako ambasador Francji, wysłała zaraz zaufaną pielęgniarkę do Berlina, dla przywiezienia im do Paryża, niedomagającej pani Raczyńskiej. Aleznaczony dzień wyjazdu do stolicy nad Sekwaną stał się dniem jej rozstania się z ziemią.

Jakaś nieoczekiwana niedyspozycja się przyplątała, której osłabiony organizm nie mógł wytrzymać i pojednana z Bogiem zakończyła niespodzianie ziemską pielgrzymkę.

Była ona prawdziwym obrazem kulturalnej niewiasty. Posiadała największą ogłędę, najwyższą kulturę — kulturę ducha. Jej usta nigdyby nie skaląły się kłamstwem. U niej słowo było wcieleniem myśli, a czyn wcieleniem słowa. Stąd jednolitość w charakterze i w życiu.

I ta dusza, tak ojczysty kraj miłująca powinna być nieco znaną. Jej plemieniu, do którego w inkwizycji poetycznej się zwracała, aby nie zbaczało z droki Ideалу, a kończyła, żegnając je czule wraz ze swoją ziemią.

Przecuciem wiedziona, że z nią się żegna na zawsze mówiła: „Kraju, do ciebie dusza powraca przed zgonem“.

Miło zauważyć iż na polskiej niwie wyrósł tak szlachetnie piękny kwiat.

Do wieńca ludzi zasłużonych przyłącza go — bezbrzeżna jego miłość.

KILKA SŁÓW O UJEJSKIM

Ujejski był w sile wieku gdyśmy go poznali.

Było to w roku 1866. Mógł wówczas liczyć lat czterdzieści parę. Krzepki, czerstwy — był obrazem zdrowia. Z pozoru miał wygląd pospolitego, barczystego mężczyzny. Krwisty, nos wklęsły, oczy zbyt oddalone, usta barwne, nieźle wykrojone, okolone orzechowym wąsem z bródką royale — oto wizerunek atlety, człowieka wyrobionego fizycznie, który z duchowością nie miał nic wspólnego. „Jednak patrząc uważniej tem okiem co widzi“, co innego poza tem dostrzec jeszcze było można. Oczy mają w spojrzeniu pewną charakterystyczną intensywność, rodzaj aparatu fotograficznego, który widać ma siłę odtwarzania tego co widzi. Usta trzymają się miary, bo też właściciel jest miarowy w wypowiedzeniu każdego słowa. Włosy ciemne kasztanowate, o naturalnych karbach, twarz rumianą okalają. Te falujące włosy, są włosami artysty a kolor twarzy zdradza rozwinętą wrażliwość. Poeta jest starannie ubrany, uczesany; trzyma się prosto, mówi mało, ale dobitnie — wyraźnie. Każde słowo jest jakby sakramentem, zna-

kiem widzialnym, niewidzialnej myśli. Jako człowiek, który się trzyma na wodzy, ma w sobie coś ze lwa, z ujarzmionego lwa, i czuć przy zetknięciu się z nim, iż sprawdza słowa Szekspira: „Moje namiętności, są to niewolnicy uwięzieni — oni z więzienia mej woli bez mego rozkazu wyjść nie mogą”¹.

Ta siła bezwiednie już imponowała. Na razie nie zdaliśmy sobie sprawy z tego, co się później zrozumiało. Światowej uprzejmości, która szuka sposobu objawienia się ruchem, mową, uwagą, nie miał wcale. Był tylko grzeczny, lecz bez chłodu i sztywności. Uprzejmość zastępował zainteresowaniem się osobą, lub przedmiotem rozmowy. Słów nie trwonil, zatem monetą próżnych słów nie płacił. Słuchał uważnie, odpowiadał dobitnie. Ojciec mój acz zapalony wielbiciel Wiktora Hugo, uważał go za rodzaj szaleńca, z powodu jego politycznych dążeń. Nazwać kogoś socjalistą, równało się dać patent niepoczytalności. Można więc sobie wyobrazić, jakie to wrażenie sprawiło w naszym salonie (bawiliśmy we Lwowie przejazdem), gdy Ujejski odwiedzając moją matkę, na wstępie oświadczył, że jest socjalistą. „Chyba nie” — uśmiechnęła się nasza matka niedowierzająco, nie chcąc twierdzenia zapewne brać na serjo. „Tak, jestem czerwonym i socjalistą z przekonania”. Mówił to zawsze na wstępie przy zawieraniu każdej nowej znajomości. Celowo chciał ten paszport pokazywać. W ciągu rozmowy widać było, że

¹ Szekspir: „Henryk V”.

Chryścjanizm pojmował w duchu i głęboko nim był przejęty.

Uspokoila się moja matka, że nie z terrorystą miała do czynienia. Ideolog, mówiono, a w świecie, zwłaszcza płci pięknej, taka nazwa wywoływała co najmniej wzruszenie ramion. Objawiano tem wyższość — w życiu zaś salonowem żadna idea nie zamącała spokoju drzemiących mózgów. Socjalizm był nieznaną teorią. Zapominano, że aby zwalczać najfałszywszą teorię, należy ją najprzód poznać, — a tu dawano odprawę bez walki. Więc gdzież mogło być zwycięstwo?

Ujejski był człowiekiem o wielkiej sile ducha i niespospolitej koncentracji myśli. Ubóstwiał Słowackiego, którego poznał w Paryżu w 1846. Wieszcza polubił złotowłosego młodzieńca, którego nazwał barankiem — zapewne dla fałstych kędziorów — i wiersz mu dedykował. W pośmiertnych pismach Słowackiego znajduje się ów wiersz młodemu Kornelowi poświęcony. Całe życie autor z „Dymem pożarów” oddychał promiennem wspomnieniem tego zbliżenia, a przywiązanie pośmiertne, zamiast się zmniejszyć, wzmacniało się z latami.

Wiemy jak odczuł rok 1846 — jaki był silny porryw serca i jaką skargą wybuchnął do Ojca Miłosierdzia, — jaki jęk spiżowy wydobył, żaląc się na rozpanoszoną złość ludzką, na straszne przez nią zarządzane krzywdy.

Znaleziono, że za gorąco przemówił młody poeta; Rzymowi wyperswadowano, że skarga dzieci do

Ojca ma coś buntowniczego. Zaufanie nazwano bluźnierstwem i w pierwszej chwili ów przepiękny hymn bólu postanowiono na indeksie. Zapewne przyczepiono się do jednego wyrażenia:

I śmiech nam rzuca jak głaz na piersi —
A gdzie wasz Ojciec, gdzie wasz Bóg?

Ale nie zrozumiano intencji, nie zrozumiano, że za skargą był ból i że jego korzeniem była prawda, pokora, przyznanie się do win.

Ileż to razy tyś nas nie smagał,
A my nie zmyci ze świeżych ran
Znowu wołamy — On się przebłagał —
Bo On nasz Ojciec — bo On nasz Pan...
Sądź nas po sercu, nie wedle słów!

Autor dotknięty tem do żywego, na to patrzeć i na to pozwolić nie mógł. Pojechał do stolicy Piotrowej i wymową z serca pochodzącą przekonał cenzorów, że się omylili. Przekonani zadość uczynili słusznemu żądaniu. Sam zwykły Ujejski ten fakt żywo opowiadać, wskazując, jak rzecz każdą wyświecić należy.

Po drodze do kraju bawiąc w Wiedniu spotkał ponętą, ładną iście, romantyczną piękność, dziedziczkę pięknego imienia i pańskiej fortuny — hrabiankę Komorowską, krewną po mieczu osławionej Gertrudy Szczęsnego.. Poeta aczkolwiek tego nie szukał — zdobył jej serce, choć sam związku tego nie pragnął; — nie mógł chyba nie wywzajemnić się tej, która mu duszę oddała. Obawiano się poety w rodzinie jego przyszłej żony — bez stanowiska, bez na-

zwiska głośnego, bez mienia, — a ponieważ nie chciano tego związku, córka zamożnych rodziców wiana nie dostała. Trzeba było pracować na życie.

Poeta chwycił się leemiesza. Uważał, że w Polsce to pierwszy obowiązek uprawiać ziemię i zbliżyć się do ludu, pomagać, oświecać. Chciał własnym przykładem udowodnić, że dar poezji, praktycznej strony życia nie przygnębia. Wziął rządową dzierżawę od magistratu lwowskiego, Zubrzę pod Lwowem i tam z żoną zamieszkując gospodarował z zapalem. Zubrza stała się folwarkiem wzorowym, mleczne gospodarstwo zostało na wielką skalę wprowadzone i ogrodnictwo we wszystkich gałęziach.

Ujejski był wrażliwy na wpływ muzyki. Fale dźwięku nie przechodziły powierzchownie, lecz utrwały się w jego duszy jak w fonografie, a on po swojemu je wyśpiewywał. Z muzyków najwięcej pokochał Szopena. Był Szopenistą w całym znaczeniu tego słowa. Szopena tłumaczył żywym słowem — tu dał miarę rozciągłości swego talentu. Oddał tragedję marsza żałobnego i filuterję dziewczyny trajkotki. Pascal, żądny prawdy na dwóch przeciwstawieniach opartej, byłby mu złożył medal uznania.

Państwo Ujejscy po śmierci hr. Komorowskiej przeniesli się nie do Pawłowic, na Podolu galicyjskim, lecz do Lwowa, gdzie go prace społeczne i narodowe powoływały i gdzie, mieszkając w Zubrzy, zaglądał coraz częściej. W czamarce obcisłej, starannie uczesany i ubrany, poeta w swej powiększonej działalności stawał się poetą czynu.

Plotki ludzkie rozłączyły państwa Ujejskich. Bieg życia rozdzielił nas od niego i tylko z dzienników wiadomem było, że Kornel daje ciągle oznaki życia. W r. 1876 został wybrany do Rady Państwa. Długo się wahał z przyjęciem tej godności, nie chciał się mieszać do polityki wobec panujących na tem polu wybiegów i zdrady. Czyniąc jednak zadość życzeniu ziomków zgodził się wreszcie wziąć udział w życiu politycznem, ale w otwartej przyłbicy dla obrony i opieki słabych, uciśnionych i skrzywdzonych. — „To wszystko co obowiązuje poszczególną jednostkę, zwykł był mawiać, — obowiązuje i państwo. Rząd i Państwo podlegają tym samym prawom moralności“. W parlamencie należał do grupy secesjonistów. Wszystkie kwestje go zajmowały: — gospodarcze, szkolne, ekonomiczne. Przed zachodem życiowym odwiedził Italję, zbliżył się do Lenartowicza. Pełen zapału oczekiwał co roku tej wojny, mającej być hasłem odrodzenia Ojczyzny, bowiem z marzeń ojców nie abdykował nigdy. Z jakimże zapałem witał rozbudzenie się ducha narodowego w 1860, nawet zaś i wówczas gdy Powstanie poniosło klęskę wierzył, że po naszej stronie jest zwycięstwo, bo idea zawsze zwyciężyć musi.

W r. 1893 rodacy uczcili we Lwowie sędziwego poetę wspaniałym jubileuszem, pomimo że się temu opierał. Ostatnią swoją myśl testamentem mógł wówczas wypowiedzieć, że „tylko to ma wieczną wartość, co człowiek w usługach wielkiej idei dla swego ducha uczyni, a ten szczęśliwy i błogosła-

wiony, kto swym dorobkiem z bliźnimi podzielić się może i wzbogaci ich dusze podnosząc je i doskonaląc. A wszystkich dobrych Polaków, w różnych obozach politycznych, pracujących w czystości ducha dla Polski, wolnych od wszelkich ambicji i celów osobistych Boże błogosław w ich pracy, a co w niej spaczono — prostuj:

Żyj Polsko!“.

Spełnił godnie nasz poeta swe posłannictwo a gdy 19 grudnia 1897 Bóg go do siebie powołał we wsi Hołojowie, każde serce polskie odczuło tę stratę.

Śmiercią swą zespolił się jeszcze ściślej ze społeczeństwem, pojęto, że autor „Z dymem pożarów“ stojący na straży ducha narodowego i po zgonie z łaski Bożej wytrwa na tym posterunku i że będzie mógł na tamtym świecie powtórzyć to, co kiedyś w młodości napisał:

A tu w piersiach co rzadko rozpiera wesele,
Proroco dzwonią serca — na wieczną niedzielę.

Z miłością po tej ziemi każdy wzrok się toczy,
A gdy to się dziać będzie, — ja otworzę oczy.

Był jednym z tych mężów, którzy przez życie idą nieugięci, przekazując dalszą pracę pokoleniom, bo wątpić nie umieją, a pracują „usque ad finem!“.

ANTONI EDWARD ODYNIEC

(SYLWETKA POETY).

Była to wyjątkowa natura — rozśłoneczniona, promienna, chwaląca Boga najlepszym czynem: kochaniem ludzi.

Poznałam go w roku 1875, gdy już był w sędziwym wieku, co mu bynajmniej nie przeszkadzało być młodszym od młodych. Gorącość ducha jest jedynym ciepłkiem, strzegącym od skostnienia uczuć i zamrożenia wrażeń.

Wzrostu średniego, w opiętym surducie, trzymał się prosto i chód miał żwawy. Czaszka pokryta brunatnym włosiem, być może po części pożyczanym. Rysy foremne odpowiadały estetyce, oczy z pod ciemnych okularów patrzyły wyraźnie i ciekawie.

Wyraz ust i oczu miał wdzięk osobliwy, przebiła się tam dobroć przy wrodzonej roztropności. Uśmiech bywał czasami pełen filuternej wesołości. Trzymały się go żarty dowcipne, młode a sympatyczne finezją i delikatnością, zwłaszcza gdy ku płci pięknej bywały zwrócone. Był to człowiek dawnych form i niebywałego ugrzecznienia.

O ile sobie przypominam, poznałam go pewnego

wieczoru u Deotymy. Jako młoda entuzjastka cieszyłam się niewymownie ze sposobności uściśnięcia dłoni przyjaciela naszego wieszczą. Wierny druh z lubością wspominał przeszłość, nie będącą dlań ziemią martwą, ale cudną krainą zamieszkałą najżywotniejszymi wrażeniami lat niedawno ubiegłych. Wspomniałam o pani Ankwicz Kuczkowskiej (Henryecie, Ewie), która podczas naszego pobytu w Rzymie tyle o nim mówiła, ciesząc się z ożywionej z nim korespondencji. — „Ja zawsze do tej przemilej pani pisuję“ — powiedział Odyniec, i jął się rozwodzić nad zaletami jej umysłu i serca. Przypomnił czas przepędzony z Adamem w Rzymie, przemile chwile na „Piazza di Spagna“, gdzie gwarzono z panienkami... gdzie do nastroju twórczego pobudzała Adama gra na fortepianie córki domu. A w przystępie ukazującej się na widnokręgu chmury smutku, żalu za słoneczną idyllą, zakończoną zawodem, ścisnąc mnie mocno za rękę rzekł z przejęciem: „Moja pani, czemu im nie było danem się pobrać! Adam i Ewa — stworzeni byli dla siebie! Jaka to szkoda!“ Wydawało się, słysząc go, że gorzki ten zawód zamiast czterdziestu pięciu lat temu, miał miejsce dopiero w ostatnich czasach. Odyniec był uosobieniem przyjaźni. Jest to cechą szlachetności radować się z darów cudzych i z lubością je podziwiać. Posiadał on przymiot ten w najwyższym stopniu, lubił i umiał uwielbiać. Uwielbienie składa się nie tylko z uznania prawdy, ale i z jej umiłowania i dlatego pewno staje się podniętą dla ducha.

Adam był jego słońcem, oświecającem całe kregi myślenia nie tylko przeszłości, ale i smutnej teraźniejszości. W Warszawie bawił jak na wygnaniu, wszak był on poetą Wilna, gdzie żył duszą, gdzie nawzajem był kochany. Wszystko tam doń przemawiało, nie tylko ludzie, ale i kamienie, świadki przeszłości, którą tak ukochał. Smutne warunki kraju zniewoliły go do przeniesienia się do syreniego grodu, gdzie miał zamężną córkę za doktorem Chomętowskim. Przychodzące na świat wnuki były uśmiechem jego życia. Był to sui generis wyjątkowy okaz ludzkości, czyniący zaszczyt dobrej uprawie chrześcijańskiej kultury w Polsce.

W salonie Deotymy on znowu był słońcem. Szukano jego obecności dla światła, którym promieniał, myśl swą rozprzestrzeniając bez afektacji, bez sztucznej pozy, w pogoni jedynie za prawdą, w celu wzajemnego przez nią zbliżenia się wszystkich spotykanych ludzi. Nie przybierał nigdy tonu kaznodziei, gdy oświeślał horyzont jaźni, wykazując całą siłę życiowej prawdy; umiał to czynić w tak zręczny sposób, iż rozmówca mógł mniemać, że to właśnie on sam, mimo roli cichego słuchacza, był siewcą myśli, poglądu, tezy, obrazowości tak umiejętnie rozwiniętej przez poetę. W toku rozmowy, potakiwując osobnikowi, który z łaski jego rzecz pojmował, kilkakrotnie dłoń jego ściskając powtarzał: — „Tak to, tak, tak, a nie inaczej!“ O Mickiewiczu potrafił rozprawiać bez końca, o profesorze jego Borowskim, o początkach twórczości Adama, a na prośby

Deotymy, tej „duchowej siostrzyczki“ — jak ją nazywał, cenne te wspomnienia spisał. Drukowała je wówczas „Kronika Rodzinna“.

W salonach był zawsze wesół, uśmiechnięty, pełen wytwornej grzeczności, objawiającej się nieustanną chęcią sprawienia przyjemności każdej spotkanej jednostce, nawet tej, z którą dopiero co się zaznajomił. Typ to był jedyny w swoim rodzaju. Cierpienia, zawody, przykrości codziennego życia Bogu jednemu powierzał. Dla ludzi miał w podarunku przemile obcowanie, tchnące radością życiową, okruciami której pragnął każdego bliźniego obdarzyć.

To skupienie ducha, ta łączność z Bogiem miała swe ujście w rozsiewaniu między ludźmi mądrych a serdecznych słów. Pamięć posiadał niezrównaną, mógł przy natężeniu woli wiersz raz przeczytany, wypowiedzieć dosłownie z pamięci. Na wieczorach, gdy o to bywał proszony, zdobywał się na takie pokazy. Mogło to być niekiedy żmudnem, zwłaszcza kiedy nie był w usposobieniu, nawet przykrem do wykonania, wydało mu się jednak, że drożyć się z własną osobą nie wypada, a zresztą, czyż godzi się odmawiać bliźniemu?

Zasadą jego było nie cenić nigdy swego wysiłku lub fatygi, a odrazu służyć czem mógł „Kronika Rodzinna“ powstała głównie dzięki jego inicjatywie. Po śmierci dawnego druha, Ignacego Chodźki, wysłane zostały Odyńcowi listy, które pisywał z zagranicy, z Włoch, z Rzymu, z Drezna, odbywając po-

dróż tę z Mickiewiczem. Warto było je ogłosić jako przyczynek do biografii wieszczu i właśnie w tem nowo otwierającym się piśmie. Mogły się tam zdarzyć niewielkie luki, brakowało bowiem kilku ważniejszych skryptów, prawdopodobnie zarzuconych. Poeta był arcyporządnym i skrzętnym archiwistą swoich papierów i zbiorów. Pełno miał przechowanych notatek z owych czasów, łatwo mu więc było w razie potrzeby, przy żywym swym umyśle i niezawodzącej pamięci, dopełnić gdzie tego zachodziła potrzeba brakujących ustępów.

Bywały wówczas wieczorki u pani z Chomętowskich Borkowskiej, redaktorki „Kroniki Rodzinnej“, które Odyńiec okraszał opowiadaniem i dowcipem.

U Krasińskich, u Walewskich, gdzie się jego obecnością cieszone, potrafił, narzekając na ślepotę, wynaleźć zawsze najładniejszą młodą osobkę, a mile z nią rozmawiając, umiejąc słuchać, podając zręcznie temat do gawędki, zawiązywał z nią żywy kontakt, mimochodem kształcąc jej umysł. Przybierał niekiedy rolę czulego ojca, umiał dawać pożyteczne rady, na pożegnanie zaś prosił o pozwolenie obdarzenia całusem milej interlokutorki.

Przywoływany do starszych panów z jakim to zapalem mówił o powołaniu Filaretów, unosząc się nad charakterem Zana, niezłomnością Czeczotta, silną wolą i wytrwałością Domejki, którego przyjazdu do Europy oczekiwał.

Człowiek ten obdarzony był zdwojonem uczu-

ciem, niezwykle wrażliwością, wyrażającą się stałością i wiernością.

Nigdy nie zapomnę miłych chwil z nim spędzonych. Pewnego razu obdarzywszy nas swą obecnością, po obiedzie, na którym byliśmy tylko z nim we troje, jał nam opowiadać fakty z życia Adama.

Były wśród nich szczegóły intymne i mówiąc je, zastrzegał, żeby nikomu nie zostały powtórzone. Wyjawiam je dopiero po latach tylu, gdy życie Odyńca, tego znakomitego syna Ojczyzny naszej, stało się chlubną własnością całego kraju.

Wzbudaliśmy w nim widać przyjazne zaufanie, skoro dzielić się chciał z nami wspomnieniem dawnem, lecz tak żywym jakgdyby się tyczyło dnia wczorajszego. Zaczął tedy mówić przyciszonym głosem, patrząc nam w oczy:

— „Adam w Petersburgu, przez prokurę trzymał do chrztu nowonarodzone dziecię państwa Malewskich. Malewski, jak wiadomo był filaretą, dawniejszym jego towarzyszem i przyjacielem. Żona jego Helena była córką pianistki pani Szymanowskiej a starszą siostrą Celiny, matki chrzestnej dziecięcia, a zatem kumy Adama. Ktoś, rozmawiając z Mickiewiczem uczynił uwagę, że Kościół nie pozwala „kumom“ na zawieranie pomiędzy sobą związków małżeńskich. Adam miał na to się odezwać: — „Żałuję, szkoda, żałuję“. Znowu ktoś niebacznie doniósł listownie to zdanie pannie Celinie. W umyśle jej skrytował się plan, na razie trzymany w ukryciu. Postanowiła udać się do Paryża,

aby zostać żoną wieszczka. Zdołała uprosić krewnych swych pp. Wołowskich, aby ją zabrali do nadsekwaniańskiej stolicy. Został o tem powiadomiony Adam, nie myślał jednak wcale poddać się temu wyrokowi. Przyjeżdża tedy do Paryża panna Celina. Na wieczorku u Wołowskich czy u Faucher'ów, pani Faucher była Wołowska z domu, (tego szczegółu nie pamiętam dokładnie) zjawia się Adam i prawie na wstępie zaprasza podróżniczkę do drugiego saloniku na osobną rozmowę i zapytuje ją z niemym wyrzutem, w jakim celu przyjechała do Paryża. Dodaje przytem, iż nadzieja jej była płonna, że zamiar ów do skutku nie dojdzie. Ona przeczyć mu nie próbuje, przyciszonym głosem odpowiada: „Wracam do kraju“. Miała się przytem podobno rozplakać. Adam zrazu nic się nie odezwał, gdy jednak pomyślał, nad tym faktem, żal mu się zrobiło panienki, dlatego to doniósł mi w liście, że się wszystko teraz zmieniło, że za trzy tygodnie bierze ślub z Celiną! Prawda, że to ciekawe, ale — dodał przyciszonym głosem, — o tem mówić nie trzeba“. Żył tak przeszłością, że sprawę, która miała miejsce przed laty traktował jako aktualną. — „Oto — dodał — jak się przedstawia sprawa ożenku Adama“.

„Z początku założenie domu i życia rodzinnego wydawało mu się niepodobieństwem, ale przekonały go do tego szczere lzy Celiny. Łzy miały siłę rozkazu, któremu ulec musiał. Ale to szczegóły poprzedzające ślub, nie są znane nikomu, nikomu... — dodał, ściskając mnie mocno za rękę. — Proszę to za-

chować dla siebie. — Adam, mówił dalej — to był człowiek, o którym nikt, kto nie miał szczęścia go poznać, wyobrażenia mieć nie może!“ I w oczach naszych rósł pomnik Adama, wyobrażający szlachetność najwyższą.

Dobrze było przestawać z naszym poetą. Obcowanie z nim ulepszało ludzi. Żądny dobra, nietylko szukał go wszędzie, ale i wszędzie umiał je znaleźć. Uważał on, iż w każdym człowieku tkwi zarodek Dobra, że więc chodzi tylko o wyszukanie i umiejętne wyzyskanie tego pierwiastku. Był żyjącą antytezą Byrona.

Ludzie, mawiał, tyle mu dobrego wyświadczyli, tyle im został dłużny wdzięczności, iż żałował, że im odwzajemnić się nie był w stanie.

Pojmował, że wszelkie przeciwności i zawody, których i jemu los nie szczędził, są najlepszym wykształceniem dla duszy, mawiał zawsze, że Bóg niemi hebluje duszę. Wszakże, dodawał, możemy z nich Bogu czynić ofiarę i siłą cierpienia miłosierdzie Boże przebłagać.

A zatem, uczmy się cierpliwości, oczekując lepszych czasów, które kiedyś przyjdą.

Nigdy nie tracił nadziei co do Zmartwychwstania Ojczyzny. Zostanie nam ona oddaną, na to szczęście jednak zasłużyć trzeba cnotą!

Rok 1877 przywitał pisząc wiersz o „Dwóch siekierkach“, myśląc, że wojna wschodnia, to zew zapowiadający odbudowę kraju. Z radością zatem rok

ów witał, cieszył się nadzieją i wyczekiwał jej spełnienia.

Tym razem jeszcze ta nadzieja zawieść miała, jednakże cierpliwość poety pozostała niewyczerpaną, rezygnacja jego bowiem nie była siłą bierną, ale przeciwnie siłą aktywną, współpracującą z Wola Bożą. W 1878 w salonie Deotymy powstał projekt uczczenia sędziwego poety obchodem jubileuszym, przypominającym mu czterdziestolecie pożytecznej działalności literackiej.

Zebrano wśród znajomych i uczestników t. zw. „Czwartków“ Deotymy wcale pokąsną sumę, którą zużyto na nabycie i ofiarowanie jubilatowi cennej pamiątki.

Był to kałamarz w kształcie pomnika, o rozmiarach architektonicznych, odrobiony z hebanu, układany kamieniem lapis lazuli, ozdobiony statuetkami alegorycznymi ze złoczonego brązu.

Na wieczór został z góry ułożony program, wszystkie panie proszone były o przyniesienie doniczki kwiatów.

Wszyscy zebraliśmy się punktualnie o oznaczonej godzinie. Gdy ukazał się poeta, powitany został przez pleć piękną kameljami, wnuczki zaś rzuciły mu pod nogi płatki róż. Odyniec czuł się prawdziwie rozrzuwniony. Głos jego miękki a silny przybrał ton łzawy, uważał się niegodnym tytułu względów. Deotyma podając mu rękę wprowadziła go do sali, w której rozdane były rzędami krzesła. Dla jubilata przygotowany był fotel, na którym wzbraniał się usiąść.

Deotyma usiłowała go do tego skłonić usilnymi prośbami.

Certując się o to ukląkł Odyniec przed poetką, ona szybko uczyniła to samo, wreszcie Odyniec zdecydował się zająć wskazane mu miejsce:

Nastąpiły mowy przy wręczaniu upominku: Deotyma jasno i przejrzyście mówiła o zasługach jubilata i o jego pracy. Pług uderzył w rzewną nutę wspominając Wilno i czasy filareckie, potem zaś smutne klęski krajowe, które nie zdołały wykołieć poety z roli siewcy dobrego ziarna.

Dominującą cnotą Odyńca była niezwykła skromność. Nie przyznawał on sobie żadnej zasługi, a nawet lekceważył swój prawdziwy talent.

Przyznawał sobie jedynie to, że kocha i czuje gorąco, nie uważał jednak, aby mógł przewyższać w czemkolwiek innych.

Upłynęło lat kilka, siły fizyczne powoli opuszczały poetę, wyzwał się tedy z więzów ziemskich coraz bardziej się wznosząc w krainę ducha.

W roku 1884, 8-go grudnia w dzień moich imienin otrzymałam od niego miły list z życzeniami. Chociaż choroba przykuwała go już do łóżka, o znajomych swoich nie przestawał myśleć.

Skleroza opanowywała coraz silniej organizm. Z wiosną 1885 w piękny ranek kwietniowy, cicho bez trwogi odszedł sługa Boży. poeta wiosny, do tej krainy, gdzie wiosna rozkwitać nie przestaje, bo zwie się ona Miłością Bożą, nie zna granic czasu będąc sama Wiecznością.

Słońce przeszłości blaskiem swoim nie oświeca tej sylwetki. Tak, — ja ją widzę i rysuję ją przy zmierzchu. Przywołuję dawny obraz wyobraźnią, ale niestety nie przedstawia się w pełnym świetle. Gubią się kontury — jasność z cieniem się zlewa. Jest to pamiątka widziana bardzo dawno i odczuta o zmierzchu.

W dzieciństwie mieszkając w Paryżu nad Sekwaną, pamiętam świetlaną postać o złotych włosach, modrych oczach, różowych policzkach, istny powiew wiośniany przylatujący do salonu, darzący nas uściskiem i głosem dźwięcznym przemawiający do starszych. Srebrzysty śmiech zdawał się mocen wszystkie troski i frasunki zagłuszać. Wiem, że o tej miłej osobie mawiano, że się zwie księżniczką Janiną Czetwertyńską. Wiem też, iż była dla nas bardzo łaskawą, nie dziwiła się, że dzieci hałasują, że się odzywają głosem krzykliwym, tłumaczyła, że trzeba dać ujście żywemu usposobieniu, a po gawędce zasiadała do fortepianu, grała i śpiewała, sprawiając nam wielką uciechę. Były to pieśni po-

dobno wielkich poetów, do których powiadano, że ona muzykę śliczną ułożyła. Zachwycano się niemi. Ja tylko wiem, że wówczas dzieciaki lubiły się temu przysłuchiwać z instynktu, nie mogąc ani sądzić, ani rozumieć.

Wieczorem przy herbacie słyszę, jak nasza matka opowiada naszemu ojcu: „Wiesz, że Toulangeon, margrabia de Toulangeon, koniuszy cesarski w Janince się kocha, lecz ona trzyma go w odwodzie, bo nie chce się decydować“. Nasz ojciec ujmował się za młodzieńcem. Niema sensu biedaka tak zamęczać, dawać mu miłym obejściem nadzieję, zgóry wiedząc, że ona jest płonną, narażać go na rekę, którą później otrzyma, gdy te panie wrócą do swoich kątów, a panna Janina obraz pamiątkowy kilkunastumiesięcznego flirtu wklei do albumu wspomnień. — „Powinieneś to jej matce powiedzieć“ — odezwała się nasza matka. — „Ale przecież wiesz, że na nic by się nie zdało, wychowała jedynaczkę na swobodzie i pozbyła się sama wszelkiego nad nią wpływu“. Ten argument ojca naszej matki nie przekonywał. Zdawało się jej, że jej mąż będąc w tak zażyłych i przyjaznych z księżną stosunkach, powinienby w tym przedmiocie z nią się rozmówić. „Ona cię tak lubi“, perwadowała nasza matka. — „Zapomnieć nie może, żeś dawniej, gdy była nauczycielką, był tak dla niej uprzejmym, a bynajmniej nie po światowemu z podkreśleniem takiej nadetatowej uprzejmości, ale po prostu po chrześcijańsku“. „Po ludzku — dokończył mój ojciec — wszak to było bardzo naturalne, skoro

była miła i sympatyczna, a dla tego że siedziała na uboczu, i że liczni goście na jej wartości się nie poznawali, nie było racji, ażebym ja tracił przyjemność z nią rozmawiać. „A więc przemów do matki”. Lecz wysłano nas spać, nie dosłyszaliśmy końca rozmowy. Wiem, że w kilka dni potem przyleciała znowu księżniczka Janina. — „Cóż — pytała się nasza matka — oświadczył ci się? i cóżś mu odpowiedziała?” „Gdy zaczynał oświadczyzny, nie dałam mu ich dokończyć, powiedziałam, że czas wszystko wyjaśni i rozjaśni i że liczyć na moją przyjaźń może i że...” „Ale — mówiła nasza matka — czy się godzi kogoś tak dręczyć. Moja droga, zastanów się, że spełniasz zły uczynek”. — „A jak kochanej pani powiem przyczynę, podzieli moje zdanie — odezwała się Janina. — Chodzi mi przede wszystkim o naszą sprawę, o sprawę Polski, (były to gorące czasy od 1862 roku). Oboje cesarstwo na mnie łaskawi, uważają mnie za nieurzędową delegatkę nieszczęśliwego i prześladowanego kraju, pozwalają mi mówić o wszystkim co się u nas dzieje, biorą to pod uwagę. Cesarz twierdzi, że sprawa Polski żywo go obchodzi; ale te względy dla mojej osoby przeważnie pochodzą z tego powodu, że chcą mnie wydać za pana de Toulangeon. Zapewne myślą, że jestem dobrą partją i że ożenkiem on się majątkowo poprawi”. — „Ależ on cię kocha” — twierdziła nasza matka. — „Może się przywiązał, przyzwyczaiwszy się do tej myśli; jest niezawodnie sympatycznym towarzyszem wycieczek i wieczorów tanecznych, ale ja za cudzoziemca nigdy

za mąż nie wyjdę, a obowiązek względem kraju każe mi o tem zamilczeć”. — „Więc co myślisz robić?” — pytała się starsza rozmówczyni. „Jeszcze korzystać z łask cesarskich, żeby ciągle być na straży ich uczuć względem Polski. Z panem Toulangeon miłe chwile spędzać na rozmowie, a potem zniemacka z mamą wyjedziemy!” „I wszystko się przerwie” — dokończyła nasza matka. — „Tak, w istocie nagle i niespodzianie wyjedziemy. Mama będzie mogła później margrabiemu donieść że — zaniemogłam, listy będą coraz rzadsze, a potem się wstąpi do krainy milczenia. I bez przykrego zerwania wszystko się rozwiąże!”

W kilka miesięcy potem, może dłużej, może i w rok — byliśmy z naszą matką w Szwajcarji w Interlaken, gdy przyszedł list od naszego ojca. Przed naszymi oczami roztaczał się cudny pejzaż — Jungfrau oświecona promieniami słońca, podtrzymywana druchnami zielonych gór, wzbudzała nasz zachwyt. Siedziałyśmy na ławce, ciesząc się tym widokiem, kiedy nasza matka przeczytawszy list, z zajęciem, do nas się odezwała. „Ojciec mi pisze, moje dzieci, że był na weselu księżniczki Janiny Czetwertyńskiej”. Obieśmy naraz krzyknęły: „A więc wyszła za mąż!” „Tak, i za bardzo miłego, przystojnego a co więcej znaczącego człowieka”. — „Z miłości?” — było nieśmiało zapytanie. — „Tak, z miłości” — odpowiedziała nasza matka. — „On pannie się podobał, a ona taka miła, taka wyrwiduszką, kłóży

jej nie kochał“ — dodała jedna z nas — i myśl ta już śmiało została wypowiedziana.

„Opowiem wam, co ojciec o tem pisze — ciągnęła nasza matka. — Na wsi, na Pobereżkiem Podolu, w majątności Czetwertyńskich odbywał się ten arcy-sympatyczny ślub. Po powrocie z kościoła w parku, niedaleko domu mieszkalnego, ustawiono stoły dla uczty weselnej. Panna młoda życzyła sobie, by przedniejsi gospodarze, wiosek okalających jej dobra, przybyli na te gody. Liczba ich była pokaźna, przewyższała tę, którą stanowili krewni i obywatele sąsiedni, i znajomi przybyli z dalszych stron. Sama ślicznie w ślubnej sukni wyglądała. Włosy miała rozpuszczone i po ukraińsku przepaskę na czole zwaną członkiem. Nastrój bardzo podniosły. Wiele rzeczy opowiem, pisać o tem trudno“.

Wówczas nastrojem podniosłym zwano nastrój patryjotyczny.

Działo się to jesienią w roku 1863.

W rok później słyszałyśmy, że państwu Jełowickim, mieszkającym w Kijowie, Bóg dał córeczkę.

W kilka tygodni potem dowiedziałyśmy się, że uroczna nasza dawna księżniczka Janina skończyła życie prawie nagle.

My dzieci, zrozumiwałyśmy, że powodem nieszczęścia było prześladowanie moskiewskie. Ona zanie mogła i jednocześnie jej dziecinka. Recepty przy flaszeczkach po rosyjsku były napisane, nawet w polskich sklepach i aptekach nie uwzględniano polskiego języka dla Polaków.

Pani Jełowicka z umysłu po rosyjsku się nie uczyła, jako języka naszych ciemieńców. Leżało w jej ideologii pokazanie im, że narzuconej mowy Polki pod przymusem nie przyswoją sobie. Chciała wykazać, że wszystko co się ich tyczy nam jest obcem.

Ciężko tę nieświadomość przyplaciła.

Nie znając rosyjskiego języka biedaczka omyliła się. Lekarstwo dla niej przeznaczone dała malutkiej. Ta w kilka godzin zakończyła życie. I ona z rozpaczyny wkrótce za nią poszła.

Matka i mąż — pozostali niepocieszeni!

S T A R Y D A G E R O T Y P

Stary już, stary bardzo dagerotyp, ledwie że się dostrzega zarysy konturów. Ponieważ się jakoś dziwnie przechował, próbujemy odnaleźć główny rysunek, szczegóły zaś wprawne oko widza uzupełni, przyjrzawszy mu się bacznie.

Widzę więc w miejscu kuracyjnem „Schwalbach“, w skromnem mieszkanku, zajmowanem chwilowo przez pewną polską rodzinę, jak dwie małe dziewczynki kręcą się pod okiem rodziców, używając swobody, nauczycielka bowiem jest na urlopie. Widzę jak obie, starsza sześciolatka, druga licząca zaledwie lat cztery przestępują próg bawialnego pokoju.

Wtem odzywa się ojciec: — „A teraz dzieci, ciacho sza! ani mru-mru! Pan Gaszyński czytać nam będzie“. W istocie pan ów siada przy okrągłym stole, książkę trzymając w ręku. Jest to ów dobry, miły pan, który głaszcze nas po głowie i przynosi cukierki, ten sam, tylko dziś ma krawat inny, zamiast czarnego, atlasowego przypiętego do gorsu szpilką z perłą, ma na sobie ciemno-zielony krawat w dużą

kokardę związany. Długi czarny surdut, srebrne włosy, może zbyt długie, ładnie twarz okalają, oczy patrzą tak mile, zda się, że wzrokiem pieści tych, na których spogląda, uśmiech jego radość wywołuje. Przyjemnie się popatrzeć na niego. Dzieci zbliżają się nieśmiało. Marynia ma ołówek i papier, na którym niezgrabnie kreśli jakieś literki. Lorcja tuli do siebie lalkę. Siadają na niskich stołeczkach. Choć to lipiec, ale zimno na dworze, deszcz bije nieustannie o szyby. Godzina trzecia a w pokoju ciemnawo. Miły pan zaczyna czytać. Jest tam mowa o Ludwini, dziewczynce, którą Pan Bóg do siebie powołał. Ten pan musiał ją bardzo lubić, bo ma łzy w oczach czytając o niej. Mówi, że była kwiatkiem, jak kwiatek zwiedła, a nam się też na płacz zbiera. Papa mówi do mamy: „To mowa o Ludwini Słoneckiej przybranej córce naszej przyjaciółki i sąsiadki pani Grochołskiej z Kulczyn“. I papa i mama są smutni żałują, że Ludwinia sobie poszła do nieba. Potem znowu ten pan czyta o jakiejś czarnej sukience. Jedna panienka mówi swojej mamie, że zawsze będzie nosiła żałobę, bo zginął jej narzeczony walcząc za Ojczyznę. Biedaczka! Szkoda jej! Jeszcze ten miły pan wspomina ciągle o jakiejś pani, leżącej w grobie, którą dzieci osierone tak kochają, że dla tych dzieci Bóg jej pozwoli zmartwychwstać. I wciąż mowa o tej pani, o mękach, które przecierpiała i o tem, że wróci do życia, bo była dobra i jest tym dzieciom potrzebna, a nie tylko dzieciom, ale i sąsiadom. Słyszymy jeszcze jak ten pan opowiada o jakimś Zygmuncie, co

wszystko o tej pani wiedział, a i teraz wie, i co dobry jest jak anioł. Bardzo nas ten anioł z nieba zacieka-
wia, chciałoby się wiedzieć, jak aniołowie wyglą-
dają, ale tu mama każe nam iść spać, chociaż na
świecie jeszcze biały dzień.

Mineło dziesięć lat, pasowana na dorosłą pannę
mała Marynia wkroczyła w siedemnastą wiosnę, już
jej pora znaleźć męża, wszakże matka wyszła za mąż,
licząc lat szesnaście bez trzech tygodni.

Szukając książki do czytania w podręcznej bi-
bliotece mojej matki, natrafiłam na zbiór poezyj
Gaszyńskiego z portretem autora i z dedykacją dla
rodziców. Przypomniałam sobie wówczas ów stary
dagerotyp zawieszony w przybytku pamięci, mogłam
sobie z niego zdać sprawę i odtworzyć w myśli wi-
zerunek poety. Był on prawdziwie przystojny, profil
miał iście klasyczny, nos wychodzący z czoła z nie-
wielkim garbem, oko pięknie narysowane, pełne wy-
razu, usta kształtne, czerwone, nieco mięsiste, ozna-
czają, jak twierdzi zdaje się Lavater hojność i wspa-
niałomyślność. Przypominając sobie postać dawno
niewidzialną, zrozumiałam, iż ów osobnik był praw-
dziwie wytwornym obrazem ludzkości. Wzór to jesz-
cze był przyjaciela, gdyż przywiązany całą duszą do
Zygmunta Krasińskiego, po zgonie tegoż stał się mo-
ralnym i umysłowym opiekunem jego synów a na-
wet i córeczki.

Dlatego to pani Liza Krasińska, wraz z dziećmi,
zimowała wówczas w Aix w Prowancji, które było
miejszem pobytu Gaszyńskiego. Ludzie z owych cza-

sów o starannej powierzchowności, o wytwornem
obejściu i wykwinnym układzie wnętrza duszy
i umysłu mieli jeszcze bardziej wytworne i wyrafi-
nowane. Zaczność bez cienia pedanterji zdradzała się
w jego uśmiechu, rozjaśniając mu oblicze.

Teraz zaś w wieku więcej niż dojrzałym, kiedy
idąc szlakiem życiowym po wielu przejściach, zbli-
żam się do Wieczności, biorę dagerotyp i odczytuję
co pod nim nakreśliła siedemnastoletnia dziewczyna.

Widzę, że ów ledwie dostrzegalny wizerunek
przedstawia mi portret poety, prawdziwego poety,
bo twórcy myśli, słowa i czynu. Życie jego jest pro-
stolinijne. Powstaniec z 1831, następnie wygna-
niec, dźwiga z godnością brzemień swej tułaczki. Pra-
cuje, aby zarobić na życie, lecz walka o chleb po-
wszedni acz z trudem zdobywany nie odciąga go od
możności pielęgnowania kwiatów poezji. Jest świad-
kiem epopei z 31: jego wiersze odzwierciedlają
nastrój owych czasów, stanowiąc dokument chwili
dla historyka; beletrystyk zaś oceni je z punktu wi-
dzenia sztuki i jak jubiler przez lupę, ciekawy czy-
telnik przez natężoną uwagę przyglądać się będzie
tym starannie opracowanym klejnotem. Wiemy, że
w skarbcu literatury nawet i drobne klejnociki są
pożądane.

Spizowy charakter dał nam wzór przyjaźni,
wszak wiadomo jak rzadkiem zjawiskiem jest obe-
cnie to uczucie. Ludzie bowiem tylko prawdziwie
dobrzy, mogą sojusz taki zawierać. Przyjaźń jest ro-
dzajem zakonu opartym na współpomocy i na po-

święceniu. Dla popełniania przestępstw, zbrodni, kradzieży, ludzie się stowarzyszają, lecz tacy towarzysze prawdziwej przyjaźni nie znają.

Słusznie mówi Adam: — „Świątym jest na ziemi, kto umiał zawrzeć przyjaźń ze Świątymi!“

Niech więc widz, oglądający wyblakły dagerotyp doda w swej duszy wszystko czego mu brakuje i zechce zarazem udzielić mi rozgrzeszenia, że ten ledwo dojrzany obrazek, miałam śmiałość wydobyć z zakątka pamięci, aby mu go dać do przejrzenia.

WOJCIECH HR. DZIEDUSZYCKI

Kiedy zaglądam w przeszłość lat ubiegłych, ogarnia mnie zachwyt gdy spojrzę na dotąd w mej pamięci dobrze zachowany wizerunek Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. Jak to miło móc stwierdzić, że ludzkość tak dodatnim okazem człowieczeństwa poszczycić się może.

Mąż ów ponad poziom wyrosły w życiu swoim kroczył na pozór zwyczajnie, jak gdyby wyróżnić się nie chciał od otaczającego go tłumu pospolitych ludzi. Wzrok jego duchowy ogarniał wszystkie widnokreśli, sięgał do wszystkich sfer działalności ludzkiej. Rozwinął nadzwyczajną czynność w zdobywaniu wiedzy, stając się jej pionierem na różnych polach, dla korzyści współbraci. Serce gorące szukało tylko sposobności do objawienia się czynem. Nie przeglądał się w lustrze samochwały lub zadowolenia ze siebie. Efektów nie szukał. Szedł drogą prostoty do prawdy.

Wzrostu wysokiego, twarzy pociągłej o bladej cerze, oczy miał niebieskie o spojrzeniu intensywnym i pełnym, jakgdyby przeniknąć chciał wszystko

na wzór promieni Roentgenowskich, czy to chodziło o ludzką osobistość czy też dzieło sztuki, obraz czy rzeźbę, na które padło. Szukał zawsze ducha, dociekał do głębi, czy to patrząc na jednostkę, czy mając do czynienia z rzeszą zebraną w jakimś przedsięwzięciu.

Tow. Osad Rolnych zaprosiło zdaje mi się w 1881 hr. Wojciecha Dzięduszyckiego, znanego już ze swej działalności profesorskiej we Lwowie na Uniwersytecie Jana Kazimierza, oraz jako wybitnego parlamentarzystę, na prelegenta. Dał on wówczas w sześciu odczytach skrót historii filozofii greckiej. Mówił dobitnie i głośno, akcentując każde zdanie mające większą wagę. Po wykładzie spędzał wieczór u znajomych, gdzie najczęściej przy kolacji, z łatwością improwizował wiersz okolicznościowy zwykle humorystyczno-żartobliwy, zakończony pełnym kurtuazji zwrotem, dla podejmujących go gospodarzy. Pewnego wieczoru gdy w kole dobrych znajomych, jakaś nadobna pani przybyła dla poznania przyjeźdnego profesora posła, zadała mu na wstępie pytanie z dziedziny filozofii. Odpowiedział jej znanym francuskim przysłowiem: „Madame, on ne parle pas de corde dans la maison d'un pendu!” Gdy raz na takim zebraniu grano w sekretarza, jedna z pań podsunęła prelegentowi zapytanie wyrażone po francusku: „Dokąd sięgają kresy głupoty ludzkiej?” — „O wiele dalej, niż granice Miłosierdzia Bożego” — brzmiała odpowiedź.

O swej politycznej działalności nie lubił Dziędu-

szycki wówczas wspominać w Warszawie, wolał pozostać w dziedzinie filozofii, historii i estetyki.

Pewnego razu w rozmowie, wspominając o szczęśliwie odbytych z pomocą Bożą studjach skarżył się, że brakowało mu zmysłu do muzyki, że nie rozumiał poezji tonów, ani harmonii dźwięków. Uczuł, że temu zaradzić trzeba, że pod tym względem człowiek kulturalny nie powinien być analfabetą. Nasz poseł zatem udał się w Wiedniu do profesora muzyki, aby nauka tej sztuki ułatwiła mu jej zrozumienie. Prosił swego nauczyciela o wykłady historii muzyki, ilustrowanej wykonywaniem dzieł mistrzów, o których była mowa. Doszedł tą pracą do głębszego pojęcia o muzyce, do oceny klasycznych utworów. Polubił w szczególności sposób, Bacha, Beethovena i Mendelsohna, rozumiawszy całą ich głębię. Słuchał tych utworów nie tylko z przyjemnością, ale z przejęciem, przyznawał się jednak do wyłącznego kultu dla muzyki klasycznej, że zaś pozostawał obojętny dla lirycznej, dziedzina ta nie była mu znana.

W Warszawie wykład jego poważny a nie pedantyczny, dobrze zbudowany, wzbudzał wielkie zainteresowanie.

W Wiedniu nie mógł przyłączyć się do żadnej partii politycznej; konserwatyzm jego nie umiał się pogodzić ze strupieszalnością prawicowców, lub z pesymizmem Stańczyków. U niego żyć, to było nie siedzieć na miejscu, lecz działać, kroczyć szlakiem życiowym, powiększać dobytek przeszłości nabywaniem wiedzy, ulepszaniem wynalazków na każdym

polu doświadczeniem, zwanem „Postępem“. Zamiłowanie do filozofji i estetyki dały mu kult dla Grecji, nic więc dziwnego, że stworzył własne stronnictwo zwane „Klubem Ateńczyków“. Odpowiadało to jego idei szukania i zastosowania Piękna w Życiu, ujawniając je prawdą i wytwarzając atmosferę o radosnym powiewie. „Ateńczycy“ rozumieli potrzebę wolności osobistej dla jednostki, kierującej się rządem opartym na logice i własnej sumiennej kontroli. W takim rynsztunku mogli iść społeczeństwem walcząc o sprawiedliwość, będącą dla nich jedynym celem do osiągnięcia. Klub ten cieszył się popularnością, opierając się bowiem na ogólnie ludzkich zasadach, nie zamykał drzwi przed postępem.

Nadzwyczajna organizacja umysłowości tego człowieka, pozwalająca mu się wcielać w każdą dziedzinę pracy, acz bardzo różnorodnej.

Jako profesor wzbudzał entuzjazm młodzieży, wprowadzając ją na szczyty piękna i wskazując górne ideały. Jako poseł słynął z wymowy, porywał słuchaczy, gdyż słowa jego szły z duszy a rozumowania były na podstawach ścisłej logiki oparte. Założyciel klubu, umiał tętnić weń intensywne życie. Jako rolnik, prowadził w majątku gospodarstwo wzorowe, trzymając się twardo odziedziczonej ziemi, ulepszał o ile tylko mógł wyborową kulturą. Postępowaniem swoim zyskał sobie przyjaźń całego sąsiedztwa i mir w dalszej okolicy, tak iż stał się głową, leaderem partji zachowawczej w Galicji Wschodniej. Każdą rolę tej tak różnej pracy wyko-

nywał doskonale jako fachowiec całkowicie danej gałęzi oddany, czyniąc to z prawdziwym zamiłowaniem, myśląc jedynie o powierzonym sobie dziele, bez żadnej miłości własnej. Był to prawdziwy zdobywca, wiedzę zdobywał dla udzielania jej drugim, siejąc wszędzie dobre ziarno, niosąc gdzie tylko mógł kaganiec oświaty. Zręczny i odważny szermierz słowa, w parlamencie wiedeńskim walczył ciągle dla swego kraju „pro domo sua“.

Ustawiczna troska o kraj ojczysty ożywiała pana Wojciecha. Przeświadczony o tem, że jeżeli część Polski pod zaborem austriackim potrafi się podnieść — stać się może dźwignią dla pozostałych dzielnic, starał się czynić co było w jego mocy, aby do tego dzieła odrodzenia przyłożyć rękę.

Obdarzony fenomenalnym instynktem politycznym, przeczuwał przyszłość, do tego stopnia, iż namawiał Austrię do przystąpienia do „Entente Cordiale“. Może tkwiła mu w pamięci myśl Juljana Klaczki (złączenie trzech królestw: Polski, Czech i Węgier pod jednym berłem, jak za czasów Jagiellonów). Kombinacja ta należenia do tego sojuszu była nawet przychylnie rozpatrywana w ministerjum austriackim. William Steade, korespondent „Times’a“ w Wiedniu z lubością stwierdzał rozwój tej idei zbliżenia monarchji austriackiej do Entente Cordiale. Przyłączenie to byłoby doszło do skutku, gdyby nie upór Franciszka Józefa, który nie chciał złamać słowa, danego Wilhelmmowi.

W polityce zewnętrznej uznać musimy jasny po-

gład Dzieduszyckiego, w wewnętrznej również zdumiewa nas jego dalekowidztwo.

Okres walki o reformę wyborczą przypadł za czasów gdy Körber był prezesem Koła Polskiego. Chodziło o uzyskanie zgody tegoż koła na wprowadzenie piątej kurji i ogólnego powszechnego głosowania. Wojciech Dzieduszycki jako warunek przyjęcia tej noweli stawiał, aby język Polski był zapewniony drogą prawną, a nie jak dotychczas, by pozwolenie posługiwania się tym językiem było oparte jedynie, na rozporządzeniu cesarza. Otrzymanie tego uprawnienia dla polskiej mowy, mogło być zatem wielką wygraną, łatwą do zrealizowania, gdyby temu zamiarowi nie stanęły na przeszkodzie intrygi swoich, zapewne powodowane zazdrością.

Zazdroszczono prezesowi Koła Ateńczyków laurów zasługi, które w razie przeprowadzenia tej ustawy byłyby mu przypadły w udziale.

Tu możemy znowu podziwiać hart duszy męża stanu. Te niesprawiedliwe postępowanie, nie zraziło go do pracy, nie zmroziło jego zdolności. Kroczył rażno i śmiało szlakiem życiowym, zawody zostawiając poza sobą.

Walczył bez przerwy w parlamencie austriackim mieczem wymowy, w obronie naszej narodowości, uciskanej podatkami, której przemysł rozwijający się coraz bardziej, rozmyślnie zabijano.

Dla wypoczynku po twardej iście żołnierskiej kampanji, brał się do pracy literackiej. Wybitny

mąż stanu, minister w Wiedniu dla spraw galicyjskich potrafił w chwilach wolnych władać piórem.

Czynił to niekiedy jako pedagog, gdy pisał historję filozofji lub historję malarstwa we Włoszech, jako historyk i polityk, dając obraz dokładny i barwny starożytnych Aten, jako wywiadowca dusz ludzkich w swoich studjach estetycznych. W studjach z Włoch wykształca uczucia przeciętnego czytelnika, każe mu nie tylko sądzić prawem logiki i rozumu, ale pokazując mu posąg uwydatniający tragedję odgrywającą się w duszy Niobe, chce, aby się widz przejmował w duszy tym samym bólem aby go wchłaniał i tym sposobem wzbudził w sobie zależne współczucie.

Udatne jego przekłady Shakespeare'a, oraz innych poetów angielskich ukazywały się w „Przeglądzie Polskim“ w Krakowie. Nie zaniedbywał przeto i publicystyki. Jako testament polityczny zostawił nam rozprawę p. t. „Dokąd nam iść wypada?“ Umysł jego pełen finezji szukał rozprężenia w wynajdywaniu komicznych stron życiowych. Uzbrojony w łuk dowcipu, trafnie wycelowaną strzałą humoru umiał ukazać z całą powagą każdą sytuację komiczną. Kiedy minister Weckerler uskarżał się przed nim, że w czasie manifestacji anty-austriackiej w Belgradzie podczas jego tam pobytu, tłumy krzyczały: „Precz z Austrią“, Dzieduszycki z całą powagą zauważył: „Oczywiście powinny były krzyczeć: „Precz z Austrią i z Węgrami“. Zapytany raz przez cudzoziemca jak się zapatruje na sprawę prowadze-

nia rządów w Austrii, odpowiedział: „Austria składa się z 17-stu narodowości, każda posiada swoje prawodawstwo, swój język, swoją kulturę, własne obyczaje. Należy, wzięwszy to wszystko pod uwagę, przedsięwziąć odpowiednie postanowienia i uchwały, zastosowane do potrzeb każdej z tych siedemnastu narodowości, potem zaś postąpić wręcz przeciwnie do powyższych zamierzeń, a otrzyma się wówczas pełny obraz tego w jaki sposób sprawowane są rządy w monarchji“.

Cudzoziemiec ów sądził, że mąż stanu stroi sobie żarty, po kilku jednak latach pobytu w Wiedniu i przypatrzeniu się zbliska temu co się działo, przyznał głośno i otwarcie słuszność wielkiej prawdy zawartej w napozór humorystycznej odpowiedzi Dzieduszyckiego. Będąc w Jockey-Klubie w Budapeszcie zwrócił uwagę podającemu ostrygi, iż należało je zwać nie „Ostern“ ale „Ostern-Ungarn“. Gdy dowiedział się o wybuchu powstania w Bośni, objaśniał wszystkich, że następca tronu serbskiego udał się do wyroczni Delfickiej, która dała mu taką odpowiedź: „Prowadź wojnę. Bośnia i Serbja złączą się pod jednym berłem“.

Dzieduszycki jest żywym przykładem tego, że jak zima daje ziarnu, przykrytemu śniegiem, czas stosowny na kielkowanie i rozwinięcie się w zboże, tak jedna praca dla drugiej jest należnym wypoczynkiem, dającym umysłowi czas na rozrost myśli. Człowiek ten nie tylko nie stracił dnia, ale nawet ani godziny, ani minuty. Jednakże najlepiej zbudowany or-

ganizm może w końcu tak nieustanną pracą zostać wyczerpany. Nie umiał myśleć o sobie, na leczenie nie miał czasu. Pieczołowitość rodziny o zdrowie jego wydawała mu się przesadą. Na parę lat przed wojną on, który z przewidywanej burzy światowej wynioskował tak szczęśliwe horoskopy dla Polski, nie mógł być świadkiem jej odrodzenia.

Zakończył zasłużony żywot 23 marca 1909 roku.

Cześć jego pamięci.

Wojciech Dzieduszycki przedstawia nam obraz kulturalnego i genialnego Polaka, który powierzone mu przez Opatrzność talenta powiększył najgorliwszą pracą. Pokazał społeczeństwu, że można w sobie jednoczyć najrozmaitsze zalety, być dobrym małżonkiem, wzorowym ojcem rodziny, rolnikiem, obywatelem, znakomitym profesorem, świetnym mówcą, wybitnym mężem stanu, pisarzem o głębszym zakresie, myślicielem i publicystą: Typ to nader rzadki, tembardziej go ocenić należy i w galerji wzorów do naśladowania dla naszej młodzieży umieścić.



245857

SPIS TREŚCI

	Str.
SŁOWO WSTĘPNE (M. Sokolnicki)	5

Część I:

POLACY W PARYŻU I WE FRANCJI (ogólny rzut oka na towarzystwo polskie w Paryżu. Salon Ks. Czartoryskich. Emigracja, X-za Zmatwychwstańcy	11
--	----

Poszczególne sylwetki:

Generał Rybiński	50
Ludwik Wołowski	54
Druh Mickiewicza	63
Sylwetka Wołyniaka	69

Część II:

POLACY WE FLORENCJI (typy Polaków, emigrantów z 1831 r. Salon hr. Raczyńskich Gen. Bosak — Marja z Wodzińskich Orpi- szewska)	73
--	----

Poszczególne sylwetki:

Kilka słów o Teofilu Lenartowiczu	84
---	----

Część III:

POLACY W DREZNIE (Życie towarzyskie w Dreźnie emigracji polskiej. Ireneusz Za- łuski, Gustaw Olizar — J. I. Kraszewski itd. .	102
---	-----

Poszczególne sylwetki:

Z Bispingów Generałowa Kicka (portret z 1830)	128
Wspomnienie o Gustawie Olizarze	133

Część IV:

Z Ankwiczów Henryeta Kuczkowska . . .	145
Kilka słów o Szopenie	162
Z Wodzińskich Marja Orpiszewska . . .	180
Delfina Potocka	189
Hr. Liza Krasińska	202
Konstancja z Lachmanów Raczyńska . . .	237
Kilka słów o Ujejskim	259
Antoni Edward Odyniec	266
Wyblakły szkic	276
Stary Dagerotyp	282
Wojciech hr. Dzieduszycki	287